M.B. im L. W.

- Sezon w Zakopanem — str. 1 i 4
- Wyrzuciła dziecko do śmietnika — str. 5
- Czy zima musiała nas zaskoczyć? — str. 7
- Tama na wódczanej rzece — str. 13
- Zabawa w śmierć — str. 14

Nr Indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 6 (1506) ROK XXX 7 LUTEGO 1987 ROKU CENA 25 ZŁ

Foto: Grzegorz Gałasiński

Co czeka turystę w Tatrach? Niebezpieczeństwa, przyjemności, trudności, o których dobrze wiedzieć przed wyjazdem w góry!

W Zakopanem sezon

ZOFIA KĘDZIORA

Zakopane jest piękne, ma swoją niepowtarzalną atmosferę i nigdzie tak, jak tutaj, nie udaje się urlop. Niestety bywają momenty w Zakopanem, kiedy przybysz czuje się jak intruz. W zatłoczonym autobusie do Kuźnic można usłyszeć od górala:

— *My do was nie przyjeżdżamy, to wy też nie przyjeżdżajcie do nas.*

SZKODA, ŻE NIE MOŻNA UMYĆ SIĘ NA ZAPAS

Za pośrednictwem Biura Obsługi Ruchu Turystycznego „Tatry" można wynająć prywatną kwaterę, gdzie za łóżko płaci się ponad 350 złotych, ale oprócz tego osobna opłata za kąpiele wynosi 80 złotych. Można też, tak jak ja z przyjaciółmi, wynająć kwaterę prywatną poprzez PTSIT „Sports-Tourist", gdzie łóżko w pokoju dwu- lub trzyosobowym kosztuje około 550 złotych, ale za to nie płaci się już osobno za kąpiele. W momencie wypisywania rachunku zostaliśmy zapewnieni przez panią, która zajmuje się w biurze załatwianiem formalności, że kąpać możemy się raz dziennie, a gospodarz ma obowiązek zapewnić nam ciepłą wodę przez dwie godziny rano i dwie godziny wieczorem.

Ufnie i w dobrym nastroju poszliśmy pod wskazany adres. Było to niedaleko dworca PKS. Pokoje były czyste, ładnie urządzone i ciepłe. Niestety dobry nastrój prysł, gdy okazało się, że kurki od prysznica są odkręcone, a gospodyni oświadczyła, że przysługuje nam tylko jedna kąpiel na tydzień i w najbliższym czasie ten szczęśliwy dzień w tygodniu wyznaczy.

— *To w związku z zarządzeniem naczelnika Zakopanego* — wyjaśniła.

O braku wody w Zakopanem słyszeliśmy, o potrzebie jej oszczędzania również. Jednak każdy, kto jeździ na nartach, odczuł na własnej skórze i wie doskonale, że po dniu spędzonym na stoku trzeba się koniecznie umyć. Po prostu nie ma innej możliwości.

Okazało się jednak, że naczelnik nie wydał żadnego zarządzenia, które ograniczałoby możliwość mycia się. Owszem, apelował o oszczędność i rozsądek w używaniu wody.

Gdy na początku stycznia 1987 roku rozmawiałam z kierownikiem zakopiańskiego oddziału Rejonowego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji z Nowego Targu, inż. Bernardem Grzybem, powiedział, że wprawdzie przed świętami były duże obawy, ale wody nie zabrakło. Budynki podłączone do miejskiej sieci wodociągowej nie miały kłopotów. Gorzej było z tymi, które posiadają własne źródła.

Ponieważ w 1986 roku było mało opadów, obniżył się poziom wód gruntowych i z niektórych studni nie można było korzystać. Tam gdzie dało się odczuć braki, czyli w osiedlach na skraju Zakopanego i w niektórych domach wczasowych, na przykład na Cyrli lub Krzeptówkach, była ona dowożona beczkowozami.

— *Przewidujemy* — powiedział, — *że wody może brakować w ferie, gdy najwięcej ludzi przyjeżdża do Zakopanego. Stan wody na ujęciu w Kuźnicach jest niewysoki, a jeśli będą długotrwałe mrozy, to jeszcze się obniży, bo wydajność ujęć maleje w związku z niską temperaturą.*

Gdy zabraknie wody, wprowadza się stopnie ograniczenia:

1. Ograniczenie o 50 proc. zaopatrzenia w wodę domów

4

Czy można zapewnić prawidłowy rozwój społeczny bez zwalczania wszelkich negatywnych zjawisk w naszym życiu?

Najłatwiej obrazić się na rzeczywistość

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

21 stycznia 1987 roku w porannych „Sygnałach dnia" prowadzący audycję poinformował, że Ogólnopolski Komitet Przeciwpowodziowy na trzy posiadane telefony ma tylko jeden jako tako sprawny. Odpowiedni urząd telekomunikacyjny zgłoszenie przyjął i... kazał czekać. Prowadzący tego dnia audycję przypomniał, że już kiedyś była podobna sytuacja i gdy rozpoczęła się powódź, Ogólnopolski Komitet Przeciwpowodziowy nie posiadał łączności ze swoimi terenowymi jednostkami. Ale widać dla łącznościowców nazwa Ogólnopolski Komitet Przeciwpowodziowy z niczym się nie kojarzy.

Tego samego dnia w Ministerstwie Łączności odbyła się konferencja prasowa, na której minister Władysław Majewski omówił wyniki pracy w 1986 roku. Jak napisał Cezary Rudziński w „Trybunie Ludu":

„Bilans w ocenie ministra jest pomyślny. Polska Poczta, Telegraf i Telefon przekroczyła planowaną wartość robót i usług. Zanotowano w ub. r. dalszy ilościowy i jakościowy rozwój polskiej telekomunikacji. Do sieci przyłączono 145 162 nowych abonentów telefonicznych, co jest rekordem w historii naszej łączności".

Pobiła też ona kilka innych rekordów. Na przykład — jak to stwierdził tenże Cezary Rudziński — list nadany 12 grudnia 1986 r. w UTP Gdynia 2 szedł do Warszawy... 40 dni. A nie jest to jedyny rekord tego typu. Na 500 listów, które przyszły do „Trybuny Ludu", w dwu dniach poprzedzających konferencję prasową w Ministerstwie Łączności, listy nadane w Warszawie szły od 4 do 8 dni, a jeden nawet 2 tygodnie. Każdy zresztą ze swojej praktyki i kontaktów z pocztą mógłby też coś dorzucić.

Minister Władysław Majewski — trzeba to przyznać obiektywnie — nie krył faktu, że *„niezadowalająca jest jakość usług łączności, zwłaszcza pocztowych i telekomunikacyjnych"*. I nie udało się — mimo różnych prób — zmienić tego stanu rzeczy. A powodem jest brak ludzi do pracy, jak też niezbędnych materiałów. Stwierdził też, że 95 proc. przesyłek dociera na trzeci dzień do urzędu doręczającego, co nie znaczy, że do adresata. Ale mimo tak optymistycznego — jak na społeczne odczucie — wyniku kontroli około 100 milionów listów krajowych dociera do adresata z opóźnieniem. No i, żeby nam było miło, zapowiedział podwyżkę opłat krajowych, za paczki średnio o 100 proc., a za listy — 50 procent.

Wytykanie jednak tych faktów pocztowcom budzi u nich niezadowolenie i posądzenie, że szkaluje się ten piękny i trudny zawód. Mrozy, jakie nas nie tak dawno nawiedziły i jakie mogą się jeszcze powtórzyć, spowodowały zakłócenia w różnych dziedzinach życia. Między innymi w komunikacji. Trzeba było długo czekać na mrozie i śniegu na tramwaje i autobusy. Ulegały one częstym awariom, kursowały nieregularnie. Grzęzły w śniegu. Od mrozu pękały linki przytrzymujące sieć trakcyjną, a także szyny. Pasażerowie nie byli tym zachwyceni. Powszechnie narzekano i krytykowano komunikację miejską i nie tylko. I pracownicy MPK natychmiast się obrazili.

Słyszałem w „Radioranku", jak zadzwonił do Łódzkiej Rozgłośni PR motorniczy i poskarżył się, że wszyscy tylko ich krytykują, a oni przecież pracują na chłodzie, mrozie, w śniegu i to często dłużej niż 8 godzin. To prawda. Powody do skarżenia się na trudne warunki pracy mieli też pracownicy handlu, PKP, PKS, MPO i wielu innych. Ale przecież z każdym zawodem związane są jakieś trudności, szczególnie już zimą. Ktoś też za to odpowiada, że nie zadbał na czas i we właściwy sposób o swoich pracowników, aby stworzyć im możliwie dobre warunki pracy w te trudne dni. W Gdańsku na przykład Sekretariat KW PZPR postanowił zająć się stopniem przygotowania do zimy przedsiębiorstw gospodarki komunalnej i innych i wyciągnąć stąd właściwe wnioski, gdyż stan przygotowania uznano za wielce niewłaściwy. Czy zatem wszyscy w Gdańsku mają się obrazić na Sekretariat KW PZPR?

U nas bowiem powszechną

METODĄ NA KRYTYKĘ JEST OBRAŻANIE SIĘ

Opowiedział mi niedawno pewien emerytowany działacz, który mimo emerytury nie potrafi żyć bezczynnie, że na posiedzeniu ważnej komisji, gdy poddano krytyce przedstawiony materiał, jego autorzy obrazili się, bo przecież oni wiele pracy włożyli w przygotowanie tego materiału. I nie mogli pojąć, że komisja może uznać przedstawiony materiał za niewystarczający i źle przygotowany. Liczy się bowiem nie ilość włożonej pracy, a jej wartość merytoryczna.

Często można się spotkać z takim na przykład zarzutem:

— *My tu właśnie będziemy obchodzili jubileusz, a wy nas krytykujecie!*

Albo:

— *My robimy wszystko, aby jak najmniej niszczyć środowisko, a wy tego nie doceniacie i nas krytykujecie!*

3

Zdarzyło mi się już niejeden raz w mojej praktyce

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Bohdan Gadomski, Jacek Głębski, Witold Kasperkiewicz, Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakonieczny, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski, Maciej Świerkocki, Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli, osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 255. H-2.

Przegląd prasy

Ważne znaczenie miało obradujące w ubiegłym tygodniu Plenum KC KPZR. Bardzo obszerny referat poświęcony przebudowie i polityce kadrowej wygłosił Michaił Gorbaczow. W dyskusji uczestniczyły 34 osoby spośród 77 zapisanych do głosu. W przemówieniu końcowym — opublikowanym w „TRYBUNIE LUDU" (nr 26) — przywódca radziecki, powołując się na Lenina, rzucił znamienne hasło:

WIĘCEJ ŚWIATŁA!

„Naród — mówił on — potrzebuje całej prawdy. (...) Jak nigdy potrzebujemy obecnie więcej światła, ażeby partia i naród wiedziały o wszystkim, żeby nie było u nas ciemnych zakamarków, w których mogłaby się ponownie rozplenić pleśń, o wszystkim, czemu obecnie wypowiedzieliśmy zdecydowaną walkę, która jest jeszcze daleką do zakończenia. Dlatego — więcej światła! (...) To właśnie atmosfera jawności i demokracji pozwoliła wysoko podnieść głowę klasie robotniczej, chłopstwu i naszej inteligencji, wszystkim zdrowym siłom. Jeśli pojawi się demagog, to oni sami go utemperowują. Działo się to na moich oczach dziesiątki razy".

Z wystąpieniem tym koresponduje wypowiedź członka Akademii Nauk ZSRR Dymitra Lichaczewa dla wydawanego w języku polskim miesięcznika radzieckiego „MŁODOŚĆ" (nr 1). Wybitny uczony mówi: *„Należy wybierać drogę absolutnej uczciwości. Jest najłatwiejsza, choć na pozór wydaje się trudna. Żadne dobra materialne nie dadzą się porównać z tą jedną wartością — umiłowaniem prawdy. Tylko na tej drodze człowiekowi uda się uniknąć kompleksów, nieśmiałości życiowej. Tylko człowiek uczciwy może prawidłowo oceniać siebie, nie ma do siebie pretensji, nie odczuwa niezadowolenia z siebie, ze swego życia".*

Lichaczew ciekawie charakteryzuje inteligencję człowieka. *„Niektórzy uważają* — czytamy — *że inteligentny to ten, kto dużo przeczytał, otrzymał wykształcenie (najczęściej humanistyczne), wiele podróżował, zna kilka języków. Moim zdaniem człowiek może posiadać to wszystko i nie być inteligentnym. A można z kolei nie posiadać wiedzy i wykształcenia, a być mimo to człowiekiem inteligentnym. (...) Inteligencja to nie tylko wiedza, to także zdolność rozumienia innego człowieka. Przejawia się ona w tysiącach drobiazgów, w umiejętności prowadzenia sporu z godnością, skromnego zachowania się przy stole, udzielenia pomocy innemu w sposób niezauważalny (właśnie niezauważalny), o ochronie przyrody, nieśmieceniu wokół siebie zarówno niedopałkami, jak też obelżywościami, głupimi pomysłami (to również śmieci i to jeszcze jakie). Złośliwe reakcje, gburowatość i niezrozumienie innych — to oznaka słabości duchowej, ludzkiej niezdolności do życia. (...) Życzliwość i dobroć czynią człowieka nie tylko zdrowym fizycznie, lecz także pięknym. Tak, właśnie pięknym".*

W NASZYM KRAJU

sporo się ostatnio mówi i pisze o stosunkach między państwem a Kościołem. Zbliża się bowiem trzecia wizyta papieża. Zabrał na ten temat również głos kardynał Józef Glemp. W homilii wygłoszonej 6 stycznia w Warszawie, którą wydrukował tygodnik „KIERUNKI" (nr 5), prymas mówił: *„Jeśli te stosunki mierzyć niektórymi pismami Urzędu ds. Wyznań, kierowanymi do władzy duchowej, w których ujawnia się silne podłoże przebrzmiałego józefinizmu i aktualniejszego woluntaryzmu — to te stosunki są złe. Jeżeli się czyta półprawdziwe artykuły o dochodach księży proboszczów, a przemilcza się, że ten proboszcz — jako rządca parafii — opłaca również księży wikariuszy, katechetów, organistę, kościelnego, grabarza, pomoc domową, ubezpieczenie budynków, ich konserwację itd. i że od pensji pracowników kościelnych musi od przyszłego roku płacić ubezpieczenie w wysokości nie 33 proc., ale aż 43 proc. — to taki artykuł jest prowokacyjny i nie tworzy pożądanej atmosfery. Jeśli tworzy się stowarzyszenia księży pod opieką władz państwowych bez porozumienia z władzą kościelną i uzależnia się tych księży rozmaitymi pochlebstwami, wracając do bardzo złych doświadczeń minionego okresu — to także nie służy to budowaniu sprzyjającej atmosfery wśród wierzącego społeczeństwa. Jeżeli grupy młodych ludzi poddaje się izolacyjnemu wychowaniu, uważając, że Kościół nie ma prawa interesować się ich postawą wiary, a nadto wpaja się w tym zamkniętym wychowaniu mityczną ideę Kościoła jako instytucji chytrej, żądnej wpływów — to nie tylko oddala się klimat sprzyjający porozumieniu, ale wręcz kształtuje zasady, które to porozumienie czynią wątpliwym".*

Zdaniem prymasa, napór ze strony władzy napotyka reakcje obronne Kościoła, które czasem przyjmują formy polityczne. *„Jesteśmy zdecydowanie przeciwni uprawianiu w kościołach polityki w sensie ścisłym — bez względu na to, jakiej byłaby orientacji. Jeśli o tym wspomniałem, to dlatego, że w tym kierunku idą pretensje władz pod adresem Kościoła".*

Redakcja tygodnika „ODRODZENIE" (nr 5) zorganizowała interesującą dyskusję na temat telewizji. Wzięli w niej m.in. udział Aleksander Krawczuk, Władysław Loranc i Mieczysław F. Rakowski. Szukano odpowiedzi na pytanie —

JAKA MA BYĆ TELEWIZJA?

Na wstępie minister Krawczuk stwierdził, że ludzkość nigdy przedtem nie posiadała tak potężnego środka szerzenia i kształtowania kultury oraz dodał, że on sam nie ma istotnego wpływu na program telewizji. *„To są dwa fakty bezsporne* — podkreślił — *o których trzeba pamiętać".*

Jerzy Koenig, były dyrektor Teatru TV, powiedział: *„Mnie bardzo... peszyły wszystkie wyniki badań OBOP. Układało się to w pewną prawidłowość. Przedstawienia, które naszym zdaniem były przedstawieniami udanymi, czy istotnymi, miały dosyć niską tzw. oglądalność i bardzo nieduży procent ocen bardzo dobrych. I odwrotnie — przedstawienia, których my właściwie powinniśmy się wstydzić, zyskiwały ogromną popularność i bardzo chętnie były oglądane".*

Mieczysław F. Rakowski, wicemarszałek Sejmu, były wicepremier odpowiedzialny m.in. za telewizję, mówił: *„Nie mogę pozbyć się odczucia, że na przełomie lat 80. telewizja była znacznie śmielsza, znacznie odważniejsza w podejmowaniu wielu problemów aniżeli w połowie obecnej dekady. Wówczas nie cofała się przed pokazywaniem różnych problemów politycznych, społecznych, ekonomicznych w sposób drastyczny, albo też, powiedziałbym, prawdziwy. Później stała się bardziej układzona i ugrzeczniona. Odejście od tego ugrzeczniania — w moim przekonaniu — jest sprawą niezwykle ważną".*

Andrzej Bober, były pracownik TV, wyjaśnił, że ugrzecznienie ludzi spowodował czas weryfikacji, sądów i przesłuchań. *„Nauczyli się raz jeszcze, po raz drugi, trzeci czy czwarty tej znanej zasady, która wyraża się w tezie: bierni, ale wierni. Są dyspozycyjni, wykonują polecenia swoich szefów, starają się nawet w kawiarniach telewizyjnych nie wygłaszać swoich poglądów na temat spraw, których dotyczą robione przez nich programy".* W wyniku weryfikacji odeszła poza tym z TVP część profesjonalistów.

Mieczysław F. Rakowski przyznał, że w 1982 roku popełniono pewne błędy, ale bronił weryfikacji jako wymuszonej przez sytuację polityczną. *„Jeśli ci, którzy uważają, że zostali potraktowani w sposób, ich zdaniem, brutalny, albo też niesprawiedliwy, odczuwają potrzebę i chęć włączenia się, to powinno się to czynić i otwierać dla nich drzwi w telewizji. Jednakże pod warunkiem, że jedni nie będą oczekiwać od drugich pójścia do Canossy".*

Anna Rosel-Kicińska, dyrektor generalny TVP, poinformowała, że badania wykazują, iż 36 proc. społeczeństwa ocenia telewizję jako dobrą i bardzo dobrą, a 11 proc. jako słabą. Wyraziła ona przypuszczenie, że ludzie nie oceniają telewizji, która jest, lecz jedynie telewizję oglądaną.

W najnowszym wydaniu „POLITYKI" (nr 5) niezawodny jak zwykle

DANIEL PASSENT

zauważył i wykpił drukowany przez nas w numerze świątecznym fragment powieści Jacka Krakowskiego pt. „Sodoma". Z opinią znakomitego felietonisty popularnego tygodnika liczymy się bardzo, jak zresztą z każdą uwagą krytyczną. W tym przypadku jednak większe zaufanie mamy do fachowych recenzji literackich. W miesięczniku „TWÓRCZOŚĆ" (nr 7) znany krytyk Henryk Bereza tak ocenia najnowszą powieść łódzkiego pisarza:

„Ma to być powieść niekiedy tak fantastyczna jak trylogia Słyka, użytkowy (czasopiśmienny) język narracji kłóci się z jej naturą, taki stan rzeczy można tłumaczyć dwojako, albo nawiązaniem do fantastyki naukowej, albo nawiązaniem do utopijnej ambicji Stanisława Ignacego Witkiewicza, któremu marzyła się powieść intelektualna pisana językiem intelektualnym, z czego wyniknęło «Jedyne wyjście» (...)

Z Witkiewiczem łączy Jacka Krakowskiego skłonność do filozofowania na własny rachunek i chyba również mało nabożny stosunek do akademickich i w ogóle oficjalnych filozofii.

O takiej formacji cywilizacyjnej i kulturalnej, w której działania ludzkie tracą spójność, sens i cel, filozofuje się w «Sodomie» w duchu równie skrajnego jak u Witkiewicza katastrofizmu, choć stosunek do filozoficznego języka jest u obydwu autorów nieco odmienny.

Witkiewicza stać na gwałt, karykaturę i sadyzm w stosunku do intelektualnego języka, parodia oficjalnych języków filozofowania jest stosunkowo najłagodniejszym narzędziem jego literackiego działania, w «Sodomie» parodiuje się filozoficzną oficjalność, nie naruszając w niczym założeń językowej intelektualności powszechnego użytku, konfrontując ją zewnętrznie bądź z niskim językiem wulgarnym, bądź z wysokim językiem natchnionym. (...)

To, co nazywam parodią filozofowania poprzez konfrontację z wulgarnością, nie polega na nadużywaniu czy choćby tylko używaniu potocznych nazw męskich i żeńskich organów płciowych lub czynności, do jakich one służą, lecz na tym, że te organy i użytki, jakie można z nich zrobić, stanowią opokę, na której mieszkańcy «Sodomy» zbudowali swoją jedyną prawdziwą filozofię i jedyną prawdziwą religię. (...)

Poezja seksualności, która w «Sodomie» ujawnia się wielokrotnie, jest może nie całkiem zgodna z główną ideą tej powieści, ale ona właśnie najskuteczniej neutralizuje jej artystyczne ryzykanctwo. Jeśli patronem tego ryzykanctwa miałby być Stanisław Ignacy Witkiewicz, należałoby Jackowi Krakowskiemu życzyć, żeby «Sodomie» nie przypadł w udziale los «Jedynego wyjścia»".

Powieść Jacka Krakowskiego — czytaną w maszynopisie — pozytywnie ocenili także inni recenzenci. Z opiniami ich zapoznamy naszych Czytelników w późniejszym terminie.

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Podwójna buchalteria

Ktoś mi zarzucił, że uprawiam „podwójną buchalterię moralną", niejeden raz bowiem pisałem, iż zła praca, a zwłaszcza dobrowolne i zorganizowane powstrzymywanie się od pracy pod postacią strajku wyrządza szkodę krajowi i społeczeństwu, gdyż zmniejsza produkcję, czyli uszczupla ogólną pulę dóbr do podziału.

Zarzucono mi, że krytykowałem zasadność strajku u nas, uznając go za ostateczność, lecz „nabieram wody w usta", ilekroć strajkuje się w krajach kapitalistycznych i — jak twierdzi mój surowy krytyk — postępuje tak cała nasza propaganda, która bądź to ogranicza się tylko do informacji o strajkach na Zachodzie, bądź nawet wyraża sympatię dla strajkujących, a już wcale nie słyszy się u nas i nie czyta wyrazów potępienia dla tamtejszych strajkujących, mimo iż rodzimych strajkowiczów odsądzaliśmy rzekomo od czci i wiary. Powinniśmy więc uznać jednoznacznie, że strajki są dobre lub złe bez względu na ustrój społeczny, któremu przysparzają kłopotów.

Mam dużo uznania dla ludzi posługujących się w ocenie faktów prawidłami logiki, w tym wypadku jednak mój krytyk stosuje chwyt czysto formalny, żeby nie powiedzieć werbalny, igrając dowolnie słowem „strajk", zamiast podłożyć pod nie, w każdej sytuacji, określoną treść społeczną. Nasi oponenci jednak nie biorą (oficjalnie!) wcale pod uwagę, że cele strajków mogą być różne — służyć mniej czy bardziej słusznym sprawom pod względem moralnym.

W imię czego bowiem strajkują z reguły pracownicy (lub studenci) w krajach kapitalistycznych? Z reguły domagają się oni od rządu respektowania przysługującego ludziom elementarnego prawa do pracy i protestują przeciwko redukcjom zatrudnienia (albo też przeciwko ograniczaniu, np. wskutek wygórowanego czesnego, powszechnego dostępu do studiów).

Czy strajki, które przed kilku laty rozlały się po całej Polsce, paraliżując produkcję, transport, pracę administracji i szkolnictwa były protestem przeciwko wyrzucaniu ludzi na bruk przez państwowego pracodawcę, czy były oporem przeciwko groźbie bezrobocia? Albo przeciwko utrudnianemu przez wysokie koszty dostępowi dzieci proletariatu do oświaty?

Prawdę mówiąc polityce wewnętrznej naszego państwa można zarzucić raczej zbyt doktrynalne rozumienie zasady pełnego zatrudnienia (również i tych, co, owszem, chcą pobierać zapłatę, ale się nie utrudzić). Zrozumieliśmy dziś, że wyolbrzymienie roli czynnika społecznego w gospodarce doprowadziło do ukrytego bezrobocia, ale ci, którzy przewodzili pamiętnym strajkom całkiem niefrasobliwie wysuwali postulaty płacowe bez względu na konsekwencje, które my dziś musimy ponosić.

Uważam, że „podwójną buchalterię" wobec strajków uprawiali u nas przede wszystkim liderzy ówczesnej opozycji (wystarczy zajrzeć do tekstów ich wystąpień), a na Zachodzie uprawiają spowinowacone z nimi te związki zawodowe, które w konflikcie między kapitałem a pracą, między gwarancją zatrudnienia a zagrożeniami bezrobocia, chytrze manewrują, żeby nie narazić się ani swojej klienteli, ani ukrytym mocodawcom i podejmując się mediacji biorą w istocie stronę pracodawców. Umiarkowana politycznie prasa zachodnia nieraz obnaża te powiązania.

Ale mniejsza o politycznych macherów, którzy z takich interesów żyją, niepokojące wydaje mi się, że u wielu naszych „szeregowych" obywateli nastąpiło ostatnimi czasy, z winy wielce zawikłanych procesów społecznych i politycznych, tak silne zagubienie wśród sprzecznych kryteriów, że nikomu nie dowierzają całkowicie, nie ufają w niczyją ideowość i bezinteresowność, w najlepszym razie gotowi są uznawać, że „prawda leży pośrodku".

Myślę, że w wielu sprawach mniejszej wagi i o znaczeniu praktycznym rzeczywiście prawda leży nieraz pośrodku, ale w sprawach decydujących o losach kraju, o jego przyszłości racje są bardziej jednoznacznie podzielone i neutralność postaw nie jest tytułem do chluby.

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów"

Można będzie przeczytać między innymi:

- **reportaż MARKA NIEDŹWIECKIEGO o człowieku, który obraził się na partię, ponieważ nie przydzielono mu kombajnu do zbierania ziemniaków:**
- **opowieść FRANCISZKA LEWANDOWSKIEGO o przyjęciu delegacji polskiej z Adamem Mickiewiczem na czele przez papieża Piusa IX:**
- **artykuł WITOLDA KASPERKIEWICZA o krętej i stromej drodze polskiej reformy gospodarczej:**
- **reportaż MARIUSZA J. SARNOWSKIEGO z interesującej podróży pociągiem i autobusem na północ Meksyku, do miasta, które stanowi jeden z dwóch najważniejszych punktów przerzutowych do USA:**
- **relację anonimowego pracownika budownictwa — spisaną przez ZOFIĘ KĘDZIORĘ — na temat organizacji i warunków pracy na pewnej budowie:**
- **reportaże MARII-MAGDALENY STARZYCKIEJ o tym, jak żyją, bawią się i świętują Portugalczycy:**
- **rozmowę przeprowadzoną przez DARIUSZA DOROŻYŃSKIEGO z komendantem wojewódzkim Straży Pożarnej w Łodzi:**
- **rozmowę LUCJUSZA WŁODKOWSKIEGO z Józefem Spychalskim, autorem książek — „Trudne powroty" i „Powtórka z ideologii", byłym I sekretarzem Komitetu Łódzkiego PZPR:**
- **artykuł EDMUNDA LEWANDOWSKIEGO o szansach wychowania socjalistycznego.**

ze str. 1

dziennikarskiej usłyszeć groźbę, że jeśli krytyki się nie odwoła, to... załoga stanie. Proszę zwrócić uwagę, że u nas wszyscy występują w imieniu: załogi, środowiska, społeczeństwa, narodu. W dyskusji z jednym z Czytelników „Odgłosów", który nieustannie powoływał się na środowisko, zapytałem: — przepraszam, a jakie to jest środowisko i kto pana upoważnił do występowania w jego imieniu? Okazało się, że chodzi o... biuro, w którym ten pan pracuje, a upoważnili go koledzy z pokoju, z którymi właśnie dyskutował.

Urszula Szyperska napisała niedawno w „Polityce", w artykule „Chłopiec do bicia", że *„serial „Alternatywy 4" bardzo zdenerwował prezesów spółdzielni mieszkaniowych"*. Powinni się jeszcze zdenerwować „ciecie", wynalazcy, hydraulicy i kto tam chce. Najprościej jest bowiem obrazić się na rzeczywistość i uznać, że ona nie istnieje, istnieją tylko nasze o niej wyobrażenia.

W tejże „Polityce" Stanisław Kwiatkowski w artykule „Informacja — miesień polityki" pisze: *„Zdarzyło się, że politykowi z trudem przychodziło pogodzić się z wymową materiałów CBOS, bo kolidowało to z jego własnym wyobrażeniem o rzeczywistości. Trafia się to zwłaszcza urzędnikom rozmiłowanym w słuchaniu własnego głosu, przywykłym do optymizmu oficjalnych sprawozdań. (...) Bywało, że obrażano się na subiektywizm i ostrość społecznych odczuć, ich krzywdzącą dla władzy wymowę. Okazuje się, że można wiedzieć z podręcznika, iż „idee, które opanowują masy, stają się siłą materialną", ale stwierdzenie to odnosi się chętnie tylko do idei pozytywnych"*.

Idee negatywne w takiej sytuacji są odrzucane, jako subiektywne, nieprawdziwe, wrogie. A przecież — pisze dalej Stanisław Kwiatkowski — *„to, co subiektywne, jeśli krąży wśród ludzi i ma rozległy zasięg społeczny, staje się faktem obiektywnym, z którym mądry polityk musi się liczyć, nawet jeśli będzie to nieprawdopodobna plotka rozmijająca się z faktycznym stanem rzeczy"*. Liczyć się z czymś, to nie znaczy akceptować, ale brać pod uwagę w rozważaniach o teraźniejszości i przyszłości. To również przygotować się do zwalczania takiej plotki, do wyjaśniania istoty sprawy, aby niedostatek informacji i brak interpretacji nie powodował negatywnych reakcji.

U nas — niestety — ciągle nie można przezwyciężyć zjawiska rozmijania się urzędowego optymizmu ze społecznymi odczuciami. Wyraża się to niekiedy nawet w nierzetelności sprawozdawczej, czym ostatnio zainteresowała się nawet Prokuratura Generalna. Nieprzepartą cechą urzędników jest podobanie się zwierzchności. Aby tylko nie podpaść, aby dobrze wypaść, aby być pochwalonym, dostać premię i nagrodę. Reszta furda! Jakoś to będzie! Stąd ogromna obawa przed krytyką, a już publiczną, prasową, radiową czy telewizyjną w szczególności. Zwierzchność gazety czyta, radia — niekiedy — słucha, ogląda telewizję, a już przede wszystkim DTV. W DTV musi zatem być urzędowy optymizm.

CZY SPOŁECZEŃSTWO MOŻE ROZWIJAĆ SIĘ BEZ KRYTYKI?

Oczywiście, że może. Ale czy to będzie rozwój? I czym się zakończy? W „Sprawozdaniu z prac Komisji KC PZPR powołanej dla wyjaśnienia przyczyn i przebiegu konfliktów społecznych w dziejach Polski Ludowej", wśród wielu przestróg i zaleceń znajduje się i takie:

„Warunki ekonomiczne, w jakich działamy, muszą być prawdziwie i obiektywnie przedstawiane narodowi. Nie wolno ukrywać trudności i wyolbrzymiać osiągnięć, gdyż rodzi to w konsekwencji wyobrażenia i oczekiwania na wyrost, niezgodne z rzeczywistym stanem rzeczy".

Jak dowiodła praktyka, szkodliwa jest zarówno „propaganda sukcesu", jak i „propaganda klęski". Natomiast nikomu nie zaszkodziła rzetelna, oparta na faktach krytyka. Przeciwnie — wielekroć pomogła w przezwyciężaniu trudności, niedomagań, w wychodzeniu z różnorakich sytuacji kryzysowych. Krytyka powinna pobudzać twórcze myślenie. Aby to było możliwe, trzeba koniecznie przezwyciężyć działanie mechanizmów obronnych, które podsuwają najłatwiejszą reakcję — obrazić się, nie dać się, dać odpór! Skutkiem krytyki natomiast powinno być zastanowienie się nad tym, czy krytykujący nie ma racji? Choćby tylko w części? Bo przecież cechą każdego z nas jest dążenie do ułatwiania sobie życia, a to nieuchronnie musi rodzić skostnienie, wpadanie w stereotypy, odrywanie się od rzeczywistości, szczególnie, gdy rodzi ona konflikty i zmusza do intensywnego działania. A nasza rzeczywistość jest właśnie taka.

Jesteśmy w sytuacji, kiedy nie można już kierować, programować, planować, zarządzać przy starym sposobie myślenia. Niezbędne jest nowe spojrzenie na wiele zjawisk i procesów. Nowa, twórcza ocena faktów. Przy starym, skostniałym sposobie myślenia, zrobić tego nie można.

„Aby nie powtarzać błędów przeszłości — napisał 23 listopada 1986 roku w „Sowietskoj Industrii" W. Kulikow — *trzeba dzisiaj wyciągnąć z nich wnioski. Jeden z nich polega na tym, że w minionych latach zmiany w sferze sił wytwórczych starano się uzyskać bez istotnych przemian w systemie gospodarowania i w stosunkach produkcji. Uważano, że te ostatnie są, w istocie rzeczy, raz na zawsze określone oraz wolne od sprzeczności i odchyleń. Wydawało się, że stosunki te, rzekomo bez przeszkód zapewniają rozwój sił wytwórczych, udostępniają pole dla rozwoju nauki i techniki oraz wdrażania ich osiągnięć do produkcji. Poglądy te są dalekie od prawdy"*.

Stwierdzenia te odnoszą się nie tylko do dokonujących się procesów w ZSRR po XXVII Zjeździe KPZR. Mają znaczenie powszechne. Dla nas również.

Na X Zjeździe PZPR przyjęto „Program", który sięga roku 2000. Otóż w tym „Programie" znajduje się określenie niezbędnych przesłanek dla osiągnięcia wytyczonych celów. Są to:

„Zdolność rozpoznawania sprzeczności oraz dostrzegania w porę nowych problemów i zadań, konsekwentne kierowanie się w ich rozwiązywaniu interesami klasy robotniczej i ogółu ludzi pracy, codzienna, żywa więź ze społeczeństwem, krytycyzm i samokrytycyzm, gotowość do usuwania błędów i do zmiany przestarzałych metod działania, czujność wobec prób opóźniania procesów socjalistycznego rozwoju...".

JAKIE SĄ CELE PROGRAMOWE?

„Do 2000 roku, a więc w ciągu 15 lat, dochód narodowy powinien wzrosnąć co najmniej o 75 procent. W warunkach istnienia bariery w sferze zatrudnienia i ograniczeń energetyczno-surowcowych, osiągnięcie tego poziomu wymaga wzrostu wydajności pracy co najmniej o 65 proc. oraz obniżenia energochłonności i materiałochłonności produkcji o 30—40 procent. Tylko w ten sposób możliwe będzie zwiększenie o 50 proc. spożycia na jednego mieszkańca oraz osiągnięcie innych wielkich celów społecznych".

Warto przy tym pamiętać, że po drodze jakby — choć mieszczą się one w celach strategicznych — jest kilka istotnych spraw do załatwienia. „Program" wymienia ich 8: problem mieszkaniowy, racjonalne wyżywienie, edukacja narodowa, ochrona zdrowia, ochrona środowiska naturalnego, poprawa warunków życia weteranów pracy i walki, rozwój i upowszechnienie kultury, umocnienie zdrowia moralnego społeczeństwa. Każdy z tych problemów sam w sobie — to sprawa nie lada, a jest ich aż 8. Na dodatek w najkrótszym czasie, bo do 1990 roku, trzeba powstrzymać dekapitalizację majątku produkcyjnego, osiągnąć równowagę rynkową i uporządkować płace.

O rozmiarach tych przedsięwzięć niech nam da wyobrażenie

Najłatwiej obrazić się na rzeczywistość

PRZYKŁAD DEKAPITALIZACJI MAJĄTKU PRODUKCYJNEGO

Według danych Ministerstwa Gospodarki Materiałowej i Paliwowej z kwietnia 1986 roku, produkcyjne środki trwałe stanowią 53,1 proc. ogólnej wartości całego majątku trwałego i nie charakteryzują się dobrą strukturą. Budynki i budowle stanowią 62,2 proc., maszyny i urządzenia — 24,6 proc., a środki transportu — 10,4 procent. Wymaga to dużych kosztów eksploatacji majątku trwałego i daje małą jego produkcyjność. Jest to skutek niewłaściwej polityki inwestowania. Ale nas przede wszystkim interesuje stopień dekapitalizacji majątku trwałego.

W 1984 roku wartość umorzenia wynosiła 33,8 proc. i najwyższa była w leśnictwie — 49,7 procent, a najniższa w transporcie i łączności — 19,2 procent. W przemyśle natomiast najwyższa była w lekkim — 51,3 procent.

Zużycie budynków i budowli średnio wyniosło 30,2 proc. i najwyższe było w przemyśle paliwowo-energetycznym — 35,8 procent. Maszyn i urządzeń średnio wyniosło 60,9 procent, [illegible]

Foto: Grzegorz Gałasiński

procent. Natomiast środków transportu średnio wyniosło 55,8 proc. i najwyższe było w przemyśle elektromaszynowym.

Dla prawidłowej eksploatacji maszyn i urządzeń potrzebne są części zamienne, ale przemysł nasz mógł otrzymać tylko od 40 do 50 procent tego, co potrzebował.

Inny i bardzo wymowny przykład. Pod koniec 1985 roku w spółdzielniach mieszkaniowych było zarejestrowanych 731 tys. członków oczekujących na mieszkanie, 1 100 tysięcy pełnoletnich, z pełnym wkładem kandydatów oraz przeszło milion takich, którzy dopiero gromadzą wkłady, a 700 tysięcy z nich nie osiągnęło jeszcze pełnoletniości. Spółdzielczość daje rocznie mieszkania około 90 tysiącom rodzin. W spółdzielczych mieszkaniach żyje już 2,4 miliona rodzin, a 2,8 miliona chce zamieszkać. Przy obecnym tempie budownictwa mieszkaniowego otrzymają oni mieszkania za... 30 lat.

Przypominam: do 1990 roku pozostały 3 lata. Do 2000 — lat 13.

Przykłady takie można mnożyć.

I dlatego w cytowanym już „Programie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej uchwalonym przez X Zjazd PZPR w lipcu 1986 roku", po wyliczeniu 8 problemów wymagających pilnego rozwiązania, znalazło się następujące ważne zastrzeżenie:

„Stwierdzamy wyraźnie: żadnego z tych celów nie można osiągnąć przy obecnym poziomie wydajności i jakości pracy, przy obecnym poziomie organizacji i kierowania oraz wykorzystania bazy materialno-technicznej".

Można powiedzieć, że sytuacja nasza przypomina

ZAMKNIĘTE KOŁO

Wszyscy zgodnie przyznają, że decydującym frontem walki o przyszłość Polski jest i przez długi czas będzie gospodarka. W gospodarce rozgrywa się bitwa o samorządność, o powodzenie reformy gospodarczej, o poziom naszego życia. A jednocześnie widać to wyraźnie, że nie będzie postępu w gospodarce, jeśli nie zmieni się sposobu myślenia. Zatem równoległym polem walki jest świadomość społeczna. Powodzenia na jednym polu zależą od powodzeń na drugim i zależność jest tu wzajemnie sprzężona, jest to sprzężenie zwrotne. Zmiany muszą się na obu polach dokonywać jednocześnie, równolegle i wzajemnie na siebie oddziaływać.

W dyskusji „Sztandaru Młodych" zatytułowanej „18 tez w decydującej sprawie" i opublikowanej w numerze z 23—25 stycznia 1987 roku Sergiusz Protoklitow tak mówi o znaczeniu postępu naukowo-technicznego:

„W potocznej świadomości postęp naukowo-techniczny to coś, bez czego można się doskonale obyć, bez czego przedsiębiorstwa mogą spokojnie istnieć. Uważam, że jeśli ktoś nie rozumie, czym jest postęp naukowo-techniczny, jak z niego korzystać, jak go tworzyć — powinien odejść. Dotyczy to wszystkich: zarówno dyrektora, jak i inżyniera, czy nawet robotnika, w zależności od wykonywanej pracy".

Ktoś powie na to: zbyt radykalne żądanie! Może się tak wydać, ale posłuchajmy jeszcze przez chwilę, co ma dalej do powiedzenia Ser-

„Zmiany w myśleniu nie nastąpią za miesiąc czy za rok. W niektórych zakładach już zaczyna się myśleć nieco nowocześniej, ale są to wyjątki. Zmiany te następują zbyt wolno w porównaniu z potrzebami gospodarki.

Trzeba więc odpowiedzieć na pytanie: kto nie chce postępu? Kto się go boi? Dla kogo jest zagrożeniem?".

Myślę, że pytania te odnoszą się nie tylko do postępu naukowo-technicznego, ale do wszelkiego postępu, czy jak to się teraz modnie mówi: innowacyjności, innego, nie odpowiadającego wygodzie działaczy, kierowników, zarządzających i administrujących — sposobu myślenia.

W naszym życiu gospodarczym i społecznym można obserwować zadziwiające zjawisko. Absolwenci wyższych uczelni, którzy powinni byli zetknąć się z dialektyką, poznać jej prawa i wiedzieć cokolwiek o wszechzwiązku rzeczy, o wzajemnych zależnościach i powiązaniach, postępują w praktyce w sposób absolutnie idealistyczny, wbrew dialektyce, jako metodzie widzenia rzeczywistości, związanej z materializmem — nie bez powodu nazywanym — dialektycznym. W wyniku takiego, idealistycznego sposobu widzenia rzeczywistości następuje atomizacja gospodarki. Wiele przedsiębiorstw dba nie o funkcjonowanie swoje w globalnym systemie gospodarczym, ale o swoje wyjątkowo wąsko pojęte interesy partykularne. Byle u nich wszystko było w porządku. Przynajmniej w statystyce, w sprawozdaniach, w opiniach zwierzchności. Byle ich nikt nie krytykował.

„Sztandar Młodych" doniósł 22 stycznia 1987 roku, że przed sądami toczą się sprawy cywilne, w których nabywcy „FSO 1500" skarżą producenta, czyli FSO na Żeraniu, o to, że „nabito ich w butelkę", czyli oszukano. Sprzedane im samochody psują się, karoseria rdzewieje w zastraszająco szybkim tempie, jakość produktu jest fatalna. Takie zastrzeżenia można przecież odnieść do wielu towarów: ludzie narzekają na jakość telewizorów, pralek, lodówek, butów, mebli, artykułów spożywczych i wielu innych. Producenci niektórych z nich są w uprzewilejowanej pozycji monopolisty. Wiedzą, że klient nie ma wyjścia: podoba mu się, czy nie, ale kupić musi. Nic więc sobie nie robią z uwag, skarg i krytyki. Tym bardziej, że większość towarów nie jest produkowana w takiej ilości, aby zaspokajała popyt. Na samochody czeka się w kolejce, są trudności z kupnem telewizorów kolorowych — mimo stale rosnących cen — lodówek, pralek i temu podobne. Po co więc przejmować się krytyką jakości. Usprawiedliwienie zawsze się znajdzie. A to zima była surowa, a to występują okresowe trudności transportowe, a to brak surowców, komponentów, kooperant nawala i tak dalej. Co innego, gdy krytykuje się działalność pozaprodukcyjną tych przedsiębiorstw, które czują się bezapelacyjnie panującymi na rynku monopolistami, tu już niezmiennie reakcją jest obrażanie się.

„Konieczna jest konkurencja — powiedział we wspomnianej już dyskusji w „SM" Grzegorz Ciesielski. — *Niestety w kraju zbyt dużo jest producentów-monopolistów, którzy kontrolują całą produkcję w danej dziedzinie, narzucają ceny i nie muszą troszczyć się o klasę i jakość wyrobów. W efekcie nie muszą martwić się, że ich produkty są przestarzałe. Musi zaistnieć prawdziwa konkurencja, a nie fikcyjna np. między dwoma producentami, których wyrobów i tak na rynku brakuje"*.

Monopolista nie musi dbać ani o postęp naukowo-techniczny, ani o poszukiwanie nowych sposobów myślenia, które byłyby w opozycji do panujących schematów. Po co mu to? Przeciwnie — innowacyjność może mu zagrozić, naruszyć spokój, nabawić kłopotów. Tylko w powieściach kryminalnych — i to obcych autorów — bohaterzy przyznają się, że kłopoty to ich specjalność. W życiu — jak pokazuje praktyka — kłopotów unika się. W cenie jest święty spokój. Ale ten święty spokój prostą drogą prowadzi do stagnacji. Tą drogą nie wolno nam pójść w żadnym wypadku. Jest to droga, która prowadzi do klęski.

„Marks wyobrażał sobie socjalizm jako planową produkcję społeczną — napisał 12 listopada 1986 roku w „Socjalisticzeskoj Industrii" laureat Nagrody Leninowskiej Jegor Isajew. — *Nasze społeczeństwo zrozumiało teraz, że jest zdolne do precyzyjnego planowania i umiejętnego zarządzania. Jest to historyczny moment porównywalny jedynie z Październikiem. Rzeczywiście rewolucyjny moment. Społeczeństwo stanęło przed odległymi jeszcze, ale zupełnie realnymi perspektywami, wiele rzeczy odrzuca i obala, wydaje zaciętą walkę zakorzenionym w świadomości ludzi stereotypom. I to właśnie nazywamy przebudową. Czeka nas ciężka praca, której nie będą towarzyszyły fanfary"*.

W tej ciężkiej pracy sięgnięto w ZSRR po oręż krytyki. Krytyka jest wielce przydatna w procesie przebudowy. Krytyka przyśpiesza proces przeobrażeń, zmusza do poddania rewizji stereotypów i do ich obalenia. Zmusza do poszukiwania nowych rozwiązań. Nic nie stoi na przeszkodzie — poza przyzwyczajeniami właśnie i stereotypami — aby również i u nas szerzej i śmielej sięgnąć do krytyki. Aby zamiast obrażać się na krytykę i na rzeczywistość, zacząć poszukiwać innego sposobu widzenia rzeczywistości, aby zacząć się liczyć z faktami, a nie mity i własne wyobrażenia brać za fakty.

W wielu dziedzinach życia odstajemy od najbliższych sąsiadów, od wielu krajów europejskich, a także i azjatyckich. Mit o „dziesiątej potędze świata", o „drugiej Japonii" należy już do niechlubnej przeszłości. Prawda jest zupełnie inna. Być może prawda o naszym zapóźnieniu rani narodową megalomanię. Zawsze chcieliśmy być czymś innym: jak nie „Chrystusem narodów", to przynajmniej „przedmurzem chrześcijaństwa". A tu przychodzi wlec się w ogonie.

Spójrzmy więc odważnie prawdzie w oczy i przyznajmy, że za nasze zapóźnienie winę ponosi już nie historia, ale my sami. To zapóźnienie powstało z braku dyscypliny, poszanowania pracy, naruszania praw ekonomicznych, zastoju intelektualnego, rozmijania się teorii z praktyką. Jeśli więc chcemy — a musimy — dotrzymać kroku innym, a przede wszystkim ich dogonić, to precz trzeba odrzucić wszelkie uprzedzenia, mity, stereotypy i zacząć myśleć i pracować po nowemu. Pomocna w tym może być i będzie krytyka i samokrytyka.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

ze str. 1

wczasowych i hoteli (gdy o 20 proc. zmaleje wydajność ujęć);

3. Zamknięcie domów wczasowych i hoteli, (gdy o 40 proc. zmaleje wydajność ujęć);

Takie ograniczenie pierwszego stopnia wprowadzono zimą roku 1984—85, gdy były bardzo duże mrozy.

W Jaszczurówce, na Potoku Olczyskim, przygotowywany jest punkt poboru wody dla beczkowozów, wspólny dla odbiorców podłączonych i nie podłączonych do sieci wodociągowej.

DO KUŹNIC

autobusu o 7.55 nie było, ten o 8.40 też nie przyjechał... Jest taksówka! Kapitalnie!

— Do Kuźnic proszę.

— *Tam państwa nie zawiozę, najwyżej do Ronda. Przed świętami naczelnik Zakopanego wydał zakaz wjazdu taksówek do Kuźnic.*

Już po raz drugi w Zakopanem odjęło nam mowę.

— *Ale państwo spokojni* — cieszył się taksówkarz. — *Wiozłem przed kilkoma minutami parę z nartami, ci to przeklinali!*

Dla tych, którzy uprawiają narciarstwo i jeździli na Kasprowym, nie ma najmniejszej wątpliwości, że to zarządzenie cofające pozwolenie wjazdu taksówek do Kuźnic bardzo utrudnia życie. Ci, którym zdarzyło się być w Zakopanem w szczytowym okresie napływu turystów, ze zgrozą opowiadają o przeżyciach związanych z jazdą w zatłoczonym autobusie. Przede wszystkim na autobusach nie można polegać. Wszyscy odczuliśmy to na własnej skórze. Autobus po prostu może nie przyjechać, a następny być dopiero za 40 minut.

Załóżmy, że autobus jednak przyjedzie. Praktycznie szansa, aby dostać się do środka autobusu jadącego do Kuźnic, jest tylko na przystanku początkowym na dworcu PKS. Bardzo często zdarza się, że potem przeładowany autobus zatrzymuje się już tylko między przystankami, aby wypuścić „miejscowych". Szansa, aby wsiąść na przystanku początkowym nie jest zbyt duża, bo oczekujących jest na ogół więcej niż może wsiąść do środka, nawet przy zastosowaniu metody „na wcisk". O tym, kto dostanie się do środka decydują mocne łokcie. Takie wsiadanie w tłumie jest niebezpieczne. Trzeba uważać, aby nie zostać wepchniętym pod koła ruszającego pojazdu.

Najbardziej nieprzyjemna z całej podróży do Kuźnic jest chwila wysiadania. Tutaj szczególnie ma znaczenie zasada „kto pierwszy, ten lepszy". Pierwszy w kolejce po miejscówki na Kasprowy jest oczywiście lepszy, bo im szybciej będzie przy kasie, tym ma większą szansę na wcześniejszy wjazd na górę, czy na jakąkolwiek miejscówkę w tym dniu. Wyścigi z nartami z autobusu po oblodzonych schodach prowadzących do kas stały się legendarne.

Teraz zrozumiałe będzie, jakim ułatwieniem życia dla narciarzy są taksówki, które nie tylko pozwalają uniknąć niebezpiecznej jazdy w tłoku, ale dają szansę na wyprzedzenie autobusu, czyli zwiększają prawdopodobieństwo kupienia miejscówek. Działa wprawdzie „komunikacja wahadłowa", autobus, który kursuje między Rondem a Kuźnicami, ale jeździ on co 30 minut, a to zdecydowanie za rzadko.

Naczelnik Zakopanego i Gminy Tatrzańskiej, mgr Robert Kłak powiedział, że to zarządzenie zabraniające wjazdu taksówek do Kuźnic zostało wydane ze względu na ochronę środowiska, a przede wszystkim kieszeni niezamożnego turysty. Zastanawiałam się, czy można dbać o czyjąś kieszeń wbrew woli jej posiadacza? Każdy ma chyba prawo dysponować własnymi pieniędzmi.

Gdyby było więcej takich tras zjazdowych, jak te na Hali Gąsienicowej i Hali Goryczkowej, nie byłby Kasprowy tak obciążony. Myślę, że nie tędy droga, aby odstraszyć narciarzy, ale od 10 stycznia 1987 r. zakaz cofnięto.

W Zakopanem sezon

SPÓR W GOPR

Tatry mogą być groźne. W sezonie zimowym już dwóch turystów straciło życie, a 10 stycznia 1987 r., goprowcy ściągali zwłoki następnej osoby. W góry wyszedł sam. Nie dokonał nawet wpisu do książki wyjść. Po dwóch dniach jego nieobecności, kierownik schroniska zawiadomił ratowników GOPR, którzy ze śmigłowca spenetrowali teren. Zwłoki dostrzeżono pod Mnichem. Spadł. Miał tylko 21 lat.

Często ludzie sami ściągają na siebie niebezpieczeństwo przez lekkomyślność i beztroskę. Na przykład mężczyzna, który wybrał się w góry z 10-letnim chłopcem upadł nagle twarzą w śnieg tuż przy dyżurce na Hali Gąsienicowej. Co by było, gdyby to zdarzyło się w innym, bardziej niebezpiecznym miejscu? Mężczyzna ten, przed wyruszeniem w góry, w autobusie do Kuźnic miał podobny atak. Jednak nawet to ostrzeżenie nie powstrzymało go.

Przyczyną wielu wypadków jest nieznajomość warunków jakie są w górach. Właśnie przez to trzy osoby spadły z lawiną z Przełęczy pod Kopą Kondracką. Jedna z nich doznała bardzo ciężkich obrażeń, konieczna była nawet trepanacja czaszki.

Wszyscy, którzy wyruszają w góry, w ciężkich momentach liczą na pomoc goprowców. Od ratowników z Hali Gąsienicowej dowiedziałam się, jak wielu wymaganiom trzeba sprostać, aby ratownictwo wykonywać jako zawód. Muszą oni zatem być członkami rzeczywistymi Klubu Wysokogórskiego, zdobyć uprawnienia co najmniej pomocnika instruktora w Polskim Związku Narciarskim i doskonale znać Tatry. Nie od razu też zdobywa się odznakę GOPR. Trzeba na nią zasłużyć i zapracować.

Najpierw, aby zostać kandydatem na kandydata do GOPR powinno się przejść odpowiednie przeszkolenie. Okres kandydowania trwa około dwóch lat. Przez ten czas kandydat bierze udział w akcjach ratowniczych, a poza tym odbywa kursy: letni i zimowy, po których obowiązany jest złożyć odpowiednie egzaminy. Dopiero po tym wszystkim może przypiąć z dumą odznakę GOPR.

Gdy rozmawiałam z ratownikami GOPR w dyżurce na Hali Gąsienicowej odniosłam wrażenie, że siedzą na wulkanie.

— *Kto wie, może już niedługo nas tu nie będzie* — powiedział jeden z nich.

O nieprzyjemnej atmosferze w Grupie Tatrzańskiej GOPR jest już głośno w kraju. Pisał o tym „Sztandar Młodych", „Przegląd Tygodniowy", „Prawo i Życie", „Sportowiec".

Pierwsze oznaki narastającego konfliktu pojawiły się już dość dawno, gdy nie doszło do skutku szkolenie ratowania z powietrza, które miał przeprowadzić GOPR z Tatr dla ratowników morskich. Szkolenie to przeprowadziło potem dwóch członków Grupy Tatrzańskiej w czasie swoich własnych urlopów.

— *Nie warto grzebać tak głęboko, to historia* — machnął ręką jeden z ratowników — *ważne jest co jest teraz i jaka czeka nas przyszłość.*

Goprowcy są niezadowoleni, protestują przeciw „Zarządzeniu nr 20" wydanemu przez naczelnika GOPR. Między innymi jedno z postanowień tego zarządzenia zmienia system pracy. Ten dawniejszy bardziej im odpowiadał, bo pracowali przez tydzień zmianami po 12 godzin, a potem mieli tydzień przerwy na odpoczynek. Pensja etatowego ratownika nie jest wysoka, toteż część wolnego czasu wykorzystywali na wykonanie dobrze płatnych prac wysokościowych. Mówią, że teraz pracują jak urzędnicy: pięć razy w tygodniu po 8 godzin, z wolną sobotą i niedzielą. W te dni, gdy w górach jest najwięcej turystów dyżurują ochotnicy. Sprawa trafiła nawet do Sądu Pracy.

Najbardziej poruszyło ich jednak, gdy 8 listopada 1986 r. Rada Naczelna zawiesiła działalność Rady Grupy Tatrzańskiej, która — jak twierdzą ratownicy — sprzeciwiała się stylowi rządzenia przez naczelnika i pozbawieniu jej samodzielności.

Na posiedzeniu w grudniu 1986 r. Komisja Rewizyjna RN GOPR uznała, że uchwała z 8 listopada jest niezgodna ze statutem, bo nie ma w nim takiego zapisu, który dawałby prawo Radzie Naczelnej zawieszenia rady grupy regionalnej. Poza tym już wcześniej, bo w maju 1986 r. dyskutowano nad tym problemem na III Zjeździe Delegatów GOPR i delegaci wspólnie uznali, że Rada Naczelna nie może tego zrobić.

14 grudnia 1986 roku odbyło się nadzwyczajne zebranie całej Grupy Tatrzańskiej, na którym doszło do konfrontacji stron. Obszernie opisuje je Jerzy Łaniewski w artykule pod tytułem „Demokracja na grani" drukowanym w „Sportowcu", 13 stycznia 1987 roku.

Bardzo ważne są uchwały, które tam podjęto.

1. Za niezgodne ze statutem uznano zawieszenie Rady Grupy Tatrzańskiej oraz przekazanie kompetencji naczelnika grupy naczelnikowi GOPR Jerzemu Komornickiemu. Było 120 głosów za, 1 przeciw, 6 wstrzymujących się.

2. Uchwalono votum zaufania dla Rady Grupy Tatrzańskiej, 93 osoby głosowały za, 8 przeciw, a 20 wstrzymało się.

3. Uchwalono również protest przeciw insynuacji, jakoby istniała sytuacja zmierzająca do rozbicia jedności całego GOPR. Zebrani podkreślili, że Grupa Tatrzańska jest i pozostanie integralną częścią GOPR, nigdy nie istniała i nie istnieje jakakolwiek rozbieżność między ochotnikami i zawodowcami. Tym razem 123 osoby głosowały za, 3 wstrzymały się.

4. Nadzwyczajne zebranie przypominało, że ratowanie ludzi, niezależnie od zaistniałych konfliktów jest jedyną powinnością ratownika. Temu celowi należy poświęcić wszystkie siły. Wszyscy głosowali za.

Konflikt, jaki opisuję, nie jest prawdopodobnie czymś wyjątkowym, zdarzały się już nieraz spory między kierownictwem a pracownikami. Wyjątkowa jest natomiast praca jaką wykonują goprowcy. Określenie „praca" jest tu za ubogie, bo ludzie ci ratują życie! Są zawsze przygotowani, aby nieść pomoc. W ich przypadku nie są to tylko puste słowa. To piękne, że ostatnia uchwała to podkreśla.

Są uchwały, ale co dalej? Ratownicy GOPR lada chwila spodziewają się dalszego ciągu sporu, ale mają obawy, że będzie dla nich niekorzystny. Są plotki o rozwiązaniu dotychczasowych umów o pracę i podpisywaniu nowych na zmienionych warunkach. To pozwoliłoby na wykluczenie „niesfornych"...

Nie chcę oceniać, kto ma rację, komu należą się przeprosiny. Zastanawiam się tylko, czyim kosztem odbywa się ten ciągnący się spór?

TEATR POTRZEBNY

Już samo wejście do Teatru im. Stanisława Ignacego Witkiewicza w Zakopanem stanowi przeżycie, zamiast cerberskiej sztywności — gorące powitanie w drzwiach. Również dalej jest trochę nietypowo, bo przecież rzadko zdarza się, aby widz był częstowany dla rozgrzania gorącą herbatą, lampką wina lub zsiadłym mlekiem, gdy jest upał.

Panuje nieskrępowana atmosfera, można zagadnąć aktora, co słychać lub odwrotnie, samemu zostać o to zapytanym. Niekonwencjonalna w tym teatrze jest widownia, bo tworzą ją kawiarniane wygodne stoliki, przy których siedzi po kilka osób lub na niektórych przedstawieniach poduszki. Bardzo przyjemne wrażenie sprawia też wnętrze teatru, urządzone ze smakiem i pewnego rodzaju niewymuszoną elegancją. Teatr, jako gatunek sztuki, wymaga eleganckiej oprawy i sądzę, że tak właśnie myślą twórcy tej sceny.

Jest to teatr stworzony przez ludzi młodych, absolwentów krakowskiej szkoły teatralnej. Do Zakopanego przyjechali, bo chcą robić coś samodzielnie, sprawdzić się, a pracując tutaj mogą czuć się potrzebni. Nie traktują swojej działalności w Teatrze im. S. I. Witkiewicza jako wygnania czy trampoliny, dzięki której mogliby dostać się gdzieś „wyżej".

Za datę powstania teatru przyjmuje się 24 lutego 1985 roku, setną rocznicę urodzin Stanisława Ignacego Witkiewicza. Myślenie Witkacego o sztuce stało się inspiracją dla twórców. Do tradycji teatru witkiewiczowskiego nawiązuje jedno z pierwszych przedstawień pod tytułem „Dziura w oparach absurdu wykuta" Juliana Tuwima i Antoniego Słonimskiego. Dowcipne teksty, doskonale zinterpretowane i przeplecione *„najbardziej zdartymi szlagierami z lat 20 i 30"*, zapewniają doskonałą zabawę.

31 grudnia 1986 roku była nowa premiera. Zespół przygotował seans dadaistyczno-surrealistyczny zatytułowany „Cabaret Voltaire" według tekstów „Niemy kanarek" Georges Ribemont-Dessaigner, „Serce na gaz" Tristana Tzara i wierszy Paula Eluarda w reżyserii Andrzeja Dziuka.

Nie jest to spektakl schlebiający publiczności, a raczej bardzo ryzykowne przedstawienie. Jeżeli ktoś, idąc na „Cabaret Voltaire", nastawi się na obejrzenie jakiejś historyjki na scenie, bardzo się rozczaruje, bo przedstawienie składa się z ciągu żywych obrazów, które odwołują się do wrażliwości plastycznej widza.

Odtworzone „Śniadanie na trawie" Maneta w czarno-białej tonacji czy zacytowany Marcel Duchamp, który na nowojorskim wernisażu wystawił autentyczny water-closet. Są to momenty żartobliwe, na przykład anty-ślub: młoda para, ale nie tak nobliwa, jak to zwykle bywa, bo panna młoda jakby trochę w nieładzie, z podkasaną sukienką, a księdzu spod sutanny wystaje diabelski ogon.

Aktorzy Dorota Ficoń, Andrzej Jesionek, Lech Wołczyk dzięki swoim wysokim umiejętnościom pokazali w przedstawieniu, jak ludzie nie mogą się czasem porozumieć, mimo że mówią tym samym językiem. I zrozumiałe powszechnie wyrazy. Koniecznie trzeba też wspomnieć o niezwykle udanej muzyce Jerzego Chruścińskiego.

Już niedługo Teatr im. S. I. Witkiewicza obchodzić będzie drugą rocznicę powstania, którą chce uczcić następną premierą. Julia Verno przygotowuje „Gracza" Fiodora Dostojewskiego. Temat tego utworu jest nadal aktualny. „Gracz" opowiada o moralnym upadku człowieka owładniętego przez ruletkę. Ruletka, która wchłania, wciąga i wysysa swoje ofiary może mieć znaczenie symboliczne, bo tak jak bohater Dostojewskiego jest opętany grą, tak współczesny człowiek ucieka od rzeczywistości w hazard, narkomanię, alkoholizm.

Andrzej Dziuk, kierownik artystyczny teatru powiedział mi, że na sukces pracują w zespole wszyscy, nie tylko świetni aktorzy, ale również pracownicy, którzy wspomagają i przygotowują ich pracę. Poza tym teatr wiele zawdzięcza swoim przyjaciołom, prawdziwym przyjaciołom, których w Zakopanem mają wielu.

ZOFIA KĘDZIORA

Fot: Grzegorz Galasiński

EUGENIUSZ IWANICKI

Siódmy wyrok

Tadeusz N. jest absolutnym pechowcem: zaledwie przejawi inicjatywę, zaraz zjawia się milicja. Taki niefart może załamać najsilniejszego. Innym jakoś się udaje, choć dokonują karkołomnych „skoków", ryzykują jak diabli, „robią" sklepy lub magazyny na chama, a on jeśli wszystko obmyśli do najdrobniejszych szczegółów, zaplanuje jak to widział w zagranicznych filmach, to i tak zaraz się wydaje i trzeba kolejny raz wędrować za kraty. A tych ostatnich Tadeusz N. wprost nie cierpi.

No bo wystarczy tylko pomyśleć: w latach siedemdziesiątych aż sześć razy stawał przed obliczem Temidy i za każdym razem, kiedy kładła na szale wagi jego uczynki, szala oznaczona napisem „zło" zdecydowanie przeważała. Wspomniane sześć wyroków to 12 lat odsiadki plus 64 tys. grzywny, nie licząc nadzoru ochronnego.

Urodził się w 1946 r. i gdy podrósł poszedł do szkoły. I od razu stwierdził, że to instytucja nie dla niego. Po co się uczyć, skoro i tak ministrem nie zostanie? Ledwo ukończył podstawówkę już z radością rzucił się w wir samodzielnego życia. Wkrótce okazało się, że bezczynność jest nudna, że jak coś się nie zmieni, to chyba zwariuje. By odmienić monotonię, ożenił się. Ale szybko przekonał się, że to sytuacja nie dla niego. On, wolny ptak, natura samodzielna, a tu jakieś obowiązki, tolerowanie czyichś kaprysów i łez. Nie, za nic na świecie. Więc się rozwiódł.

Praca. Ten krzyż pański dźwigał zawsze niechętnie i z przykrością. W każdym razie jako zawód wyuczony podaje: kamieniarz, choć należy przypuszczać, że niczego specjalnie nie umie. Nawet kraść nie potrafi.

29 września 1986 roku o godzinie szóstej rano właściciel zakładu kamieniarskiego mieszczącego się przy ulicy Wojska Polskiego zawiadomił milicję, że w nocy ktoś dokonał włamania i zabrał kilka płyt marmurowych. Właściciel nawet podał wartość skradzionego materiału kamieniarskiego: 1.013.000 zł. Wszak wiadomo, że dzisiaj są takie czasy, iż lepiej nie umierać, jeśli się nie ma pieniędzy, a już broń Boże zażyczyć sobie nagrobek. Sama płyta z czarnego marmuru ze złoconymi literami kosztuje grubo ponad sto tysięcy, nie mówiąc o reszcie.

Milicjanci stwierdzili, że złodzieje rozpletli siatkę ogrodzeniową, potem łomem ukręcili kłódkę w magazynie, a skradzione płyty wywieźli samochodem. Niestety, nie zostawili żadnych odcisków palców i zachodziło podejrzenie, iż pracowali w rękawiczkach.

Natychmiast — jak to się mówi językiem urzędowym — rozpoczęto czynności rutynowe, czyli dochodzenie. Pierwsze pytanie: komu są potrzebne takie płyty? Odpowiedź: temu, kto wie co z nimi można zrobić. A kto to wie najlepiej? Oczywiście kamieniarz. Spenetrowano więc wszystkie cmentarze i zakłady kamieniarskie Łodzi. W czasie tych czynności trafiono do zakładu prowadzonego przez brata poszkodowanego na ulicy Doły. Niestety niczego nie znaleziono, a właściciel czyli brat miał alibi i to niezbite. Podobne alibi przedstawili zatrudnieni tam robotnicy.

Sprawdzając alibi robotników zatrudnionych w zakładzie na ulicy Doły, sprawdzono także ich przeszłość. Nie, nie chodziło, by się dowiedzieć, który z nich jakie miał stopnie w szkole podstawowej, czy kto odbył służbę wojskową, ale milicjanci byli ciekawi, czy któryś z nich nie wchodził już w kolizję z prawem. I od razu natrafiono na Tadeusza N. Jego przeszłość kryminalna była barwna, obfitowała w paragrafy i odsiadki.

Oczywiście Tadeusz N. wyśmiał milicjantów i także przedstawił alibi na całą noc 28 września: noc tę spędził u swojej przyjaciółki i jeśli władza chce wiedzieć szczegóły, to on może im wszystko opowiedzieć, ale na ucho.

Niewątpliwie, opowieść Tadeusza N. mogłaby niejednego zaciekawić, a ja żałuję, iż milicjanci nie wyrazili zgody bym ją zrelacjonował. Mógłbym teraz przytoczyć, co smakowitsze fragmenty, co ubarwiłoby niniejszą opowieść. Przedstawiciele władzy zgarnęli Tadeusza N. do samochodu i pojechali do domu owej przyjaciółki, mieszkającej od kilku lat z Tadeuszem N. pod jednym dachem. Na widok milicjantów Maria D. aż załamała ręce: czegóż chcecie od tego biednego człowieka, który nosa z domu nie wystawia, do knajpy nie chodzi, po ulicach się nie włóczy, a tylko przebywa ze mną, zajmuje się różnymi kulturalnymi zajęciami, pije herbatę, patrzy mi słodko w oczy i mówi miłe słówka?

Niestety, milicjanci nie dali się wywieść w pole Marii D., a tylko zaczęli bezceremonialnie zaglądać w każdy zakamarek. A gdy zajrzano do tapczanu sprawa od razu stała się jasna: 9 płyt leżało niczym balast na dnie kosza balonu stratosferycznego. Maria D. od razu w krzyk i płacz, że o niczym nie wiedziała, że być może zostały przyniesione z tapczanem, kiedy kupowała go przed laty, a może ktoś w złości podrzucił chcąc skompromitować tak szlachetnego i uczciwego człowieka, jakim był i jest Tadeusz N.

Tadeusz N. od razu przyznał się do kradzieży. Złożył zeznania. Wskazał wspólników. Niestety, to co powiedzieli wspólnicy, nie w pełni pokrywa się z tym, co mówi Tadeusz N. Otóż twierdzi on, że 28 września 1986 r. udał się do mieszkania znajomego — oczywiście nazwiska ani adresu domu nie zna i nie pamięta — o pseudonimie Gebels. Odwiedził znajomego tak sobie, bez powodu, jak to czasem bywa wśród przyjaciół. Nawet nie pili, bo i po co. W czasie rozmowy Gebels zaproponował „skok". Powiedział, że trzeba zrobić włamanie do zakładu kamieniarskiego i zabrać płyty marmurowe. Zgodziłem się — mówi Tadeusz N. — bo przecież prosił kumpel, więc jak mogłem odmówić, no nie?

Ustalili, że Tadeusz N. przed północą przyjedzie po Gebelsa „warszawą" swojej przyjaciółki razem z kimś trzecim, bo płyty to nie paczka papierosów, trzeba mieć siłę na ich dźwiganie.

Tu ciekawostka: Tadeusz N. nie posiada prawa jazdy, a wspomniana „warszawa" od roku jest wyrejestrowana /czyli nie można nią poruszać się po drogach publicznych. Stąd przeświadczenie Tadeusza N., że nawet jeśli samochód zostawi jakieś ślady to i tak na jego wykrycie nie będzie praktycznie żadnych szans.

Wkrótce zatrzymano Gebelsa, to znaczy Romana G. oraz przez Gebelsa czyli Romana G. jest inna i barwniejsza. Otóż dzień 28 września 1986 r. był dniem kosmicznego wprost picia. Jak tylko się obudził, jeszcze przed śniadaniem wypili z Tadeuszem N. pół litra. A że ich suszyło poszli do restauracji „Stylowa" na piwo, gdzie łyknęli po parę kufli. Dopiero po powrocie zjadł podane przez matkę śniadanie. Tu Roman G. zaznacza, że mimo iż ma lat 35 to od siedmiu lat nie pracuje pozostając na utrzymaniu mamy. Mama go kocha i pragnie zaoszczędzić życiowych kłopotów, aby jak najdłużej mógł cieszyć się swobodą, bowiem życie przed nim i jeszcze się narobi. A wracając do meritum, to dalszy ciąg dnia był bardzo alkoholowy. Bo oto około godziny 13.00 przyszedł do niego Jan K., więc ponownie poszli do „Stylowej" na piwo. To rozbudziło jedynie apetyt: udali się przeto do „Delikatesów" i kupili dwie półlitrówki, butelkę wina i dwie butelki szampana „Iskra". I dali w gaz! Czy coś pamięta? Raczej nie, bo wkrótce „urwał mu się film".

Oprzytomniał około szóstej wieczorem. Wtedy zobaczył Tadeusza N. jak coś mówi. Zrozumiał, że namawia go do dokonania włamania. Ten Tadeusz N. już od tygodnia go nachodził i ciągle mówił o tych płytach i o pieniądzach, które na tych płytach zarobią. Był namolny i nie rezygnował. Co w takiej sytuacji robić? Więc Roman G. zgodził się dla świętego spokoju. A w ogóle, to zaczęło się wesoło, bo łom, jaki wzięli był za krótki i kłódka nie puszczała. Wówczas pojechali do domu Jana K. po większy łom, jeździli starą „warszawą" i dopiero wtedy Tadeusz N. sforsował drzwi do magazynu. On, Roman G. i Jan K. zostali na lipku. Ale było widno i wtedy wykręcili korki z latarni. Czas się dłużył. A Jan K. był do niczego, cały „połamany" przez wódkę. Więc Roman G. zaciągnął go do Jolki z postanowieniem, że zaczekają, aż Tadeusz N. przygotuje płyty do wywózki. Ale Jolka zna się na rzeczy i wie co mężczyznom najbardziej jest potrzebne. Wyjęła dwie półlitrówki i kieliszki.

Tej nocy ani Roman G., ani Jan K., już nigdzie nie wychodzili. Spali kamiennym snem.

A pechowiec Tadeusz N. uczciwie zapracował na siódmy wyrok taszcząc samotnie płyty do samochodu.

Historia jak z ubiegłego wieku, na szczęście z happy endem:

...Wyrzuciłam swoje dziecko do śmietnika...

WITOLD WERNER

Tego mglistego, jesiennego dnia nic nie zapowiadało sensacji. Przynajmniej dla lekarza pełniącego dyżur na oddziale ginekologiczno-położniczym szpitala wojewódzkiego. Tak było do chwili, gdy wczesnym popołudniem rodzice przywieźli na ostry dyżur niepełnoletnią jeszcze dziewczynę.

— *Co się stało?*

— *Wróciliśmy do domu z przejażdżki samochodem i zastaliśmy córkę wycierającą w łazience krew z podłogi. Mówi, że ma krwotok z tej, no... No, sam pan wie, jak to się nazywa...*

Lekarz nie miał za sobą zbyt długiego stażu pracy (co w efekcie okazało się nie bez znaczenia), ale jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że pacjentka kilka godzin wcześniej musiała rodzić. Pierwsze pytanie było odruchowe:

— *A co z dzieckiem? Gdzie ono jest?*

— *Jakie dziecko?* — dziewczyna nie ukrywała zdziwienia i zdenerwowania zarazem.

— *Jak to jakie? Przecież ty kilka godzin temu rodziłaś!*

— *Ja? Ależ skądże! Pan się myli! Ja nigdy nie rodziłam! Miałam tylko krwotok...*

Jedyną rzeczą, na jaką mógł się zdobyć lekarz, było połączenie się z komendą wojewódzką.

Ekipa dochodzeniowo-śledcza zjawiła się na miejscu już po kilkunastu minutach. Dziewczyna była jednak uparta:

— *Nie rodziłam... Nic nie wiem o dziecku... Ja tylko miałam krwotok...*

Lekarz twardo jednak obstawał przy swoim:

— *Poród odbył się prawidłowo, siłami natury. Obawiam się, że nie można wykluczyć ingerencji osób trzecich. Ktoś jeszcze musiał przy tym porodzie uczestniczyć. Bo po pierwsze: odebranie porodu przez samą rodzącą jest co prawda możliwe, ale w tym przypadku chyba niezbyt prawdopodobne. A po drugie — i to najważniejsze — krocze zostało nacięte! Może niezbyt fachowo, ale nacięte zostało z całą pewnością. Co do tego jestem absolutnie pewien. Gdyby pękło samo, w trakcie porodu, brzegi rany byłyby postrzępione, nierówne. Tymczasem tu są gładkie, jakby przecięte skalpelem. O ile teoretycznie można przyjąć, że dziewczyna sama odebrała sobie dziecko, o tyle absolutnie niemożliwym wydaje mi się, że nacięła sobie sama krocze!*

Równocześnie w rodzinnym miasteczku dziewczyny, odległym o dwadzieścia kilka kilometrów, trwają gorączkowe poszukiwania noworodka. Przeszukuje się śmietniki, doły kloaczne, szamba, okoliczne lasy. Bez rezultatu. A czas płynie. Było zaledwie kilka stopni powyżej zera. Od przypuszczalnego czasu porodu minęły przynajmniej dwie godziny. Nikt już właściwie nie wierzy w znalezienie dziecka przy życiu. Chyba, że nastąpi cud. A dziewczyna milczy nadal.

Dopiero po blisko dwóch godzinach rozmów z oficerem śledczym, zdecydowała się wyjawić prawdę:

— *Tak, urodziłam... Sama sobie odebrałam poród... Dziecko zawinęłam w szmaty i wyrzuciłam najpierw do wiadra, a później do pojemnika na śmieci stojącego na moim podwórku...*

Oficer prowadzący dochodzenie natychmiast łączy się z funkcjonariuszami poszukującymi dziecka. Chwile oczekiwania dłużą się w nieskończoność. I wreszcie jest odpowiedź:

— *Mamy dziecko! Żyje! Było przysypane śmieciami i chyba dlatego nie zamarzło!*

Cała służba zdrowia została postawiona na nogi. Oddział intensywnej terapii, krew, inkubator — wszystko czeka na małego pacjenta. Jego stan okazał się na szczęście nie aż tak tragiczny, jak można się było tego spodziewać. Uratowało go to, że... było zimno. Trwał bowiem w stanie jak gdyby hibernacji i właściwie tylko temu zawdzięcza życie.

Prokurator, opierając się na wypowiedzi lekarza, że poród musiał odbyć się w obecności osób trzecich, decyduje o zatrzymaniu rodziców dziewczyny pod zarzutem współudziału w próbie zamordowania — czy jak kto woli — pozbycia się dziecka.

— *Był to dla nas potworny szok* — powiedzą po kilku miesiącach — *bo to i areszt, i ciąża córki, i fakt, że tak nagle zostaliśmy dziadkami...*

Czy rzeczywiście? Czy ciąża córki mogła zostać niezauważona przez rodziców, a szczególnie przez matkę? Takie wątpliwości miał również i prokurator. Tymczasem — choć brzmi to nieprawdopodobnie — okazało się, że tak właśnie było!

— *Od pewnego czasu zauważyłam, że dziewczyna sporo je* — powie matka na sali sądowej — *ale myślałam sobie: ma apetyt, to co jej będę żałować! Niech sobie je. Sąsiadki też zauważyły, że ona tyje. Mówią: „Pani córka pewnie chodzi w ciąży". Ale gdy ją o to zapytałam, zaprzeczyła. Później jednak i mnie wydało się to podejrzane. Ale ona uspokajała mnie, że wszystko jest w porządku, i jeśli jej nie wierzę, to razem możemy iść do ginekologa. Nie uwierzyłam i poszłyśmy. Na nieszczęście pani ginekolog (bo do lekarza — mężczyzny wstydziłam się z nią iść), która w miasteczku prowadzi prywatną praktykę, nie było akurat w domu. A że córka szła tak pewnie, tak zdecydowanie, więc sama zwątpiłam. Może naprawdę tylko przytyła od jedzenia? Może niesłusznie ją podejrzewałam? A przecież, gdyby wtedy się przyznała, gdyby powiedziała, że jest w ciąży, nikt by jej głowy nie urwał. Pewnie, byłby to cios, ale przecież nie taki, jaki spadł na nas później...*

Tymczasem rozpętała się prawdziwa kampania przeciwko dziewczynie. Gdy przyszedł moment wypisania jej ze szpitala, nie pozwolono, by zabrała ze sobą dziecko. Zgłosiło się nawet kilka małżeństw, skłonnych adoptować noworodka. Planowano umieszczenie chłopca w domu dziecka — wszędzie, byleby tylko nie był z matką. „*Dzieciobójczyni*" — tylko to jedno słowo słyszała za swymi plecami.

Sąd — bo cała ta sprawa musiała tam znaleźć swój epilog — stanął jednak na słusznym stanowisku, że żaden dom dziecka, żadna rodzina zastępcza, nie zastąpi dziecku jego naturalnej rodziny. Tym bardziej, że jego dziadkowie cieszyli się w miasteczku doskonałą opinią, a i matce też właściwie nic nie można było zarzucić. Dlatego też, jako prawnych opiekunów ustanowiono dziadków, zawieszając prawa rodzicielskie matki do chwili, gdy z jej postępowania będzie jednoznacznie wynikać, że dorosła już do roli psychicznej i biologicznej matki.

Głównych bohaterów całej tej historii spotkałem w kilka miesięcy później, w parku. Ona — niewysoka, ładna, pulchniutka dziewczyna, pchała przed sobą wózek z rumianym, zdrowym, uśmiechniętym chłopczykiem. Nie od razu zgodziła się na rozmowę.

— *Trudno mi o tym mówić. Chciałabym zapomnieć, ale nie mogę. Wiem, że zrobiłam źle, ale prawda jest gorzka: wyrzuciłam swoje dziecko do śmietnika... A wszystko zaczęło się tak pięknie, tak pięknie, że aż banalnie.*

To była wielka miłość. Na początku chodziliśmy ze sobą zwyczajnie, jak dziewczyna z chłopakiem. Nawet nie od razu poszliśmy do łóżka, ale kiedyś przecież nastąpił i ten moment. Później on poszedł do wojska. Nie wiedziałam jeszcze wówczas, że w łonie noszę już jego dziecko...

Najpierw zaczęłam tyć. Nigdy nie miałam takiego apetytu jak wtedy. Do ostatnich dni nie czułam żadnych ruchów płodu. Chciałam nawet kiedyś iść z mamą do ginekologa — właściwie dla własnego spokoju — bo jednak miałam niejasne przeczucie, że jestem w ciąży. Ale co innego mieć przeczucie, a co innego mieć pewność. A ja tego do końca właściwie nie byłam pewna!

A wtedy, w tamten dzień... Rodzice wraz z bratem pojechali gdzieś samochodem, ja zostałam w domu. Czułam się nie najlepiej, bolał mnie brzuch. Myślałam, że to tylko drobny rozstrój żołądka. W pewnej chwili poczułam bóle coraz silniejsze i powtarzające się w regularnych odstępach czasu. Wtedy zrozumiałam, że rodzę. Ale nie wiedziałam, nikt mi nie powiedział, nikt nie uświadomił jak, którędy się on odbywa! Usiadłam na ubikacji i w tej pozycji urodziłam. Trwało to zaledwie kilka minut. Byłam zaszokowana. Myślałam, że ono nie żyje. Zawinęłam dziecko w szmatę i wyrzuciłam do wiadra. Ogarnęłam się trochę i poszłam wyrzucić zawartość wiadra do pojemnika przed domem. Następnie wróciłam i zaczęłam zacierać ślady tego, co przed chwilą się wydarzyło. I wtedy właśnie wrócili rodzice. Powiedziałam im, że miałam krwotok. Myślę, że oni wtedy już się domyślali całej prawdy. Aby nie wywoływać niepotrzebnych plotek pojechaliśmy prywatnie najpierw do jednego lekarza, potem do drugiego i trzeciego. Ale żadnego z nich nie było w domu. I tak dojechaliśmy do szpitala wojewódzkiego. Tam dopiero lekarz stwierdził, że rodziłam. Bałam się jednak przyznać do tego. Bo to i wstyd przed rodziną, znajomymi, koleżankami z klasy... Bałam się, że przez to nie będę mogła chodzić dalej do szkoły... Chciałam to wszystko ukryć, zatuszować... Nie udało się. Na szczęście nie udało się.

W szpitalu zrozumiałam, co zrobiłam. Wtedy jednak było już za późno. Zbyt dużo osób wiedziało o wszystkim. Musiałam brnąć więc dalej. Dlatego kłamałam.

Czy żałuję? Tak. Kocham to dziecko, kocham też jego ojca. Bardzo chciałabym, abyśmy byli razem, we trójkę...

Cała sprawa zakończyła się właściwie happy endem. Dziewczyna zrozumiała swój błąd, sąd okazał się wyjątkowo wyrozumiały, dziadkowie troskliwie zajęli się wnukiem. Koleżanki z klasy cieszą się, że zostały „ciociami", znoszą mu ciuszki, słodycze, zabawki. Mały jest rozpieszczany przez matkę i dziadków, ojciec dziecka, gdy wróci z wojska, pragnie być z nim i jego matką. Nawet lekarz zrozumiał, że czasem rana szarpana też potrafi mieć gładkie krawędzie. I wszystko byłoby pięknie, gdyby nie jedno „ale".

Dlaczego pozwolono tej dziewczynie urodzić praktycznie bez żadnej opieki lekarskiej, w warunkach antysanitarnych? Dlaczego nigdy nie była badana przez ginekologa? Dlaczego nie wiedziała, jak i którędy dziecko przychodzi na świat? Gdyby jeszcze mieszkała w zapadłej wsi... Ale jej miasteczko położone jest zaledwie dwadzieścia cztery kilometry od dużego wojewódzkiego miasta! A ona sama jest — a raczej była — uczennicą — i to nawet niezłą uczennicą — liceum ogólnokształcącego. Dlaczego więc? Pytania można by mnożyć.

Powie ktoś: incydentalny przypadek. Czyżby? Ile — w skali kraju — jest jeszcze dziewcząt, które sądzą, że w ciążę można zajść od pocałunku? Ile jest takich, które ginekologiczny fotel uważają za „dopust boży"? Ile jest takich, które dopiero na sali porodowej dowiadują się „jak" i „którędy"? Dlaczego w szkołach średnich nie przeprowadza się obowiązkowych badań ginekologicznych, tak, jak ma to miejsce np. z uzębieniem? Dlaczego młodzi ludzie nadal tak mało wiedzą o sprawach seksu czy fizjologii ciąży?

Starowicz, Wisłocka czy Imieliński nie załatwią sprawy za wszystkich. I dotąd, dopóki choć jedna młoda dziewczyna będzie miała podobne wątpliwości, zawsze można się spodziewać, że jeszcze jedno nowe ludzkie życie znajdzie swój początek — a być może i koniec zarazem — w śmietniku...

AKCESORIA SAMOCHODOWE — taniej można kupić w „Uniwersalu". Wśród przecenionych artykułów tej branży znajdują się m.in. rozdzielacze do samochodów Nysa, Żuk i Warszawa, wieszaki do silnika Fiata 126p, kopułki do Nysy, Żuka, Poloneza i FSO 1500, błotniki i reflektory do Trabanta, klocki hamulcowe do Wartburga i szereg innych akcesoriów i części do samochodów różnych marek.

Przecena w „Uniwersalu" objęła również towary innych branż: odzież (w tym także zimowa), dziewiarstwo, tkaniny sukienkowe i kostiumowe, dywany chińskie i mongolskie, płyty gramofonowe, kilka wzorów obuwia i galanterii, artykuły szklane, w niewielkiej ilości także kosmetyki. Średnia obniżka cen wynosi 41 proc. i dzięki niej w kieszeniach klientów pozostanie około 8,5 mln zł.

PRZYJEŻDZAJĄ MEBLE do „Domusa" przy ul. Piotrkowskiej. Na skutek występujących w czasie najsilniejszych mrozów zakłóceń w transporcie magazyny wielu fabryk zapełniły się po brzegi. Obecnie więc, gdy kłopoty minęły, dostawy przychodzą bardzo często. Niedawno sklep otrzymał m.in. bardzo atrakcyjne — choć niezbyt tanie — zestawy segmentów Kamena w I i II gatunku, w cenie od 230 do 260 tys. zł, zestawy segmentowe Książ, poszukiwane, wielofunkcyjne zestawy młodzieżowe Domino, nadające się do małych, blokowych pomieszczeń. W sprzedaży są także jeszcze niewielkie ilości szyplaini z Czechosłowacji.

Transport, służący klientom do odwożenia zakupionych mebli do domów przez cały czas funkcjonuje bez zakłóceń.

SKANDAL Z MIĘSEM — tylko tak można określić sytuację w sklepach mięsnych, jaka panowała przez cały styczeń. Kilometrowe kolejki, ustawiające się na długo przed otwarciem placówek, w środku — awantury zdenerwowanych klientów i... niemal puste półki. Tak źle nie było co najmniej od pół roku. Na pewno w czasie mrozów spadł skup zwierząt rzeźnych, ale są przecież zapasy w chłodniach i nic nie tłumaczy aż tak złego zaopatrzenia. Zima jeszcze potrwa, miejmy jednak nadzieję, że w lutym handlowcy lepiej dadzą sobie radę z zaopatrzeniem.

TROCHĘ CIEPLEJ i zaraz lepiej w sklepach spożywczych. Mleko dociera już w godzinach rannych, ponownie w sprzedaży pojawiły się jajka, choć jeszcze nie wszędzie udaje się utrzymać ciągłość sprzedaży. Kilka dni prawidłowego zaopatrzenia wystarczyło, aby uspokoili się również niektórzy klienci — nie widać już prawie osób, czyniących „wojenne zapasy" soli, cukru i kaszy.

POPRAWIŁO SIĘ także zaopatrzenie w warzywa i owoce, jednocześnie, jak przewidywaliśmy, nieco spadły ceny. Całkiem ładne jabłka można już kupić za 70 zł za kilogram. Niestety, niektórzy producenci źle przechowali zapasy. Zwłaszcza kapusta i pory są bardzo często przemarznięte, nie nadające się do dalszego, nawet dwu-, trzydniowego przechowywania w domu. Wydaje się, że powinni to uwzględnić sprzedawcy, wprowadzając zróżnicowane ceny, na te same produkty, w zależności od ich stanu i gatunku.

MIESZKAŃCÓW RETKINI irytuje fakt, że duży pawilon osiedlowy przy ul. Dzierżyńskiego 42 został ponownie zamknięty. Przyczyną zamknięcia jest — planowany na ten termin — remont. Potrwa on dosyć długo, bowiem zakres prac jest duży — obejmuje nie tylko wymianę posadzki i glazury, naprawę dachu i wielu urządzeń i instalacji, ale także zmianę aranżacji placówki. Po remoncie będzie tu sklep typu „ABC", gdzie, oprócz artykułów spożywczych, mięsa i alkoholu będzie można nabyć najczęściej potrzebne artykuły z dziedziny gospodarstwa domowego, chemii, pasmanterii, dziewiarstwa i kosmetyków.

Remont był już konieczny — a dyrekcja „Społem" i tak postąpiła wbrew zaleceniom stacji sanitarnej, która nakaz zamknięcia wydała wcześniej, utrzymując placówkę w ruchu aż do terminu planowanego wcześniej remontu.

Aby nieco zmniejszyć kłopoty mieszkańców Retkini — która jest dużo uboższa od innych dzielnic pod względem ilości punktów sprzedaży — mimo remontu prowadzona będzie — od zaplecza — codzienna sprzedaż mleka i pieczywa. Prace remontowe zakończą się w kwietniu br.

PRZECENA także w salonie Mody Polskiej. Po cenach obniżonych, w niektórych przypadkach znacznie (np. płaszcz jesienno-zimowy kosztujący uprzednio prawie osiem tysięcy obecnie kosztuje niespełna trzy tysiące) można kupić bluzki, sukienki, kurtki, płaszcze wiosenne i ocieplane. Rzeczy te jednak nie prezentują się najlepiej — robią wrażenie wygniecionych i zakurzonych, nawet więc niższe ceny nie są specjalną zachętą do ich zakupu.

WIOSNA SIĘ ZBLIZA choć na razie trudno w to uwierzyć. Nie trzeba jednak patrzeć na śniegowe chmury i termometry, wskazujące wciąż ujemne temperatury, ale... rozejrzeć się po sklepach. Przede wszystkim odmarzły szyby i wreszcie można zobaczyć, co jest w środku. W wielu placówkach zmienia się wystrój wystaw, ze świąteczno-zimowego na bardziej aktualny. I wreszcie — to już nieomylna zapowiedź wiosny — w kwiaciarniach pojawiły się frezje i żonkile. Oczywiście są to kwiaty szklarniowe, ale nawet tam zakwitają dopiero, gdy wiadomo na pewno, że zima jednak się skończy. Od ich cen co prawda wieje mrozem (jeden żonkil bez przybrania 91 zł) ale będą systematycznie tanieć.

AGATA

Jeszcze dziś rosnący eksport zapewnia lepsze zaopatrzenie krajowego rynku, ale co będzie w przyszłości, gdy przemysłdziewiarski nie zmodernizuje się?

Motek coraz bardziej splątany

TERESA JERZYKOWSKA

Dzianina znana jest od wieków — najpierw jako wyrób rękodzielniczy, a dużo później także jako produkt fabryczny, wykonany na maszynach. Nasze warunki klimatyczne sprawiły, że urok ciepłych, wełnianych swetrów docenialiśmy niemal „od zawsze", a w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat, wraz z rozwojem przemysłu, dzianiny robią niesłychaną karierę, wypierając w wielu przypadkach, a co najmniej skutecznie zastępując, wyroby o podobnym przeznaczeniu, wykonane z materiałów tkanych.

Mamy więc — obok znanych od wieków — swetrów, czapek, szali dzianą bieliznę dzienną i nocną dla niemowląt, dzieci i dorosłych, dziane stroje sportowe, całodzienne i wizytowe dla pań i panów, odpowiednie na zimę i na lato, na plażę i na bal. Z dzianin wykonuje się niektóre elementy odzieży ochronnej, używanej w różnych, wymagających specjalnego stroju zawodach, a nawet używa się ich w służbie zdrowia — dziane bandaże są użytkowo lepsze od tkanych.

Przy tak kolosalnym zapotrzebowaniu całe sztaby specjalistów różnych dziedzin — poczynając od plastyków, poprzez producentów, aż po konstruktorów maszyn dokładają starań, aby dzianiny były coraz lepsze, ładniejsze, bardziej funkcjonalne, aby miały coraz szersze zastosowanie w różnych dziedzinach — i trzeba przyznać, że efekty ich prac są kolosalne.

Obecnie surowcem do produkcji dzianin jest już nie tylko wełna i bawełna, lecz także mnóstwo rozmaitych włókien sztucznych, a wykonane z nich wyroby oszołamiają bogactwem kolorów i wzorów. Przeglądanie zagranicznych katalogów i żurnali z wyrobami dziewiarskimi o solidny ból głowy może przyprawić nie tylko panie, ale i wielu panów.

Odbiega od tego nasza sklepowa rzeczywistość. Co prawda na ostatnich Krajowych Targach Poznańskich „Jesień '86" zdecydowana większość zakładów dziewiarskich — zarówno dużych, państwowych, jak i niewielkich spółdzielni — zaprezentowała kolekcje bardzo udane, kolorowe, modne a przedstawiciele ministerstw przemysłu lekkiego i handlu zapewniali, że jakość i uroda wyrobów dziewiarskich będą się już teraz systematycznie poprawiać, dzięki m.in. podjęciu właściwych decyzji w sferze inwestycyjnej, organizacyjnej i ekonomicznej — to klienci jak dotąd nie mieli okazji tej poprawy zauważyć.

Obecnie, chcąc ubrać się od stóp do głów w wyroby dziewiarskie mamy kilka możliwości. Po pierwsze — nauczyć się robić na drutach i szydełku. Wypełniając tym pożytecznym zajęciem cały wolny czas możemy w sposób istotny przyczynić się do zwiększenia zawartości szafy. Metoda ta ma jednak i swoje złe strony. Przede wszystkim nadaje się wyłącznie dla kobiet, bowiem mężczyzna, uprzyjemniający sobie oglądanie dziennika TV robótką na drutach słusznie straciłby szacunek otoczenia. Drugą trudnością, z którą zresztą boryka się także przemysł, jest brak surowca. Włóczki z importu, które ostatnio dość łatwo dostać, są bardzo drogie, a krajowe — bywają rzadko, na dodatek ich jakość i uroda, zwłaszcza kolorystyka, pozostawiają wiele do życzenia. I wreszcie — nie każda pani ma talent projektanta i może się zdarzyć, że po tygodniowej, mrówczej pracy, powstanie dzieło, nadające się do froterowania podłogi. Równie przykre efekty może przynieść korzystanie z rad, zamieszczanych w czasopismach kobiecych, które obok atrakcyjnych zdjęć z zagranicznych żurnali polecają prucie i przerabianie starych swetrów, gdy w praktyce otrzymamy tym sposobem jeszcze jeden stary (już od nowości) sweter.

Drugą możliwość stwarzają prywatne sklepy i butiki. W nich wybór jest spory, obok niezłych trafiają się często wyroby bardzo ładne — ale są to przeważnie rzeczy wykonane ręcznie i bardzo drogie. Najładniejsze, ale i najdroższe, w cenach przekraczających nawet 20 tysięcy, kupić można w salonach Sztuki Polskiej i galeriach plastyków, choć zdarza się, że forma przeważa tu nad treścią i niesłychanej urody suknia czy wdzianko, spełniają jedynie funkcje zdobnicze, przy zupełnie nikłych wartościach użytkowych.

Rozwiązanie trzecie, najbardziej masowe, to odwiedzanie państwowych sklepów. Półki z dziewiarstwem kuszą obfitością towaru, ceny są zróżnicowane, dostosowane do różnych możliwości klientów, ale — jest to dobrobyt pozorny.

Po dokładniejszym obejrzeniu okazuje się, że takie same sweterki i bluzki widzieliśmy już pięć i dziesięć lat temu, że ich forma daleka jest od aktualnych zaleceń mody, że — zwłaszcza w wyrobach wełnianych i anilanowych — rozmaite kolory upodabniają się do siebie dzięki sporej domieszce odcienia burego. W czasie użytkowania tej niezbyt ciekawej odzieży okazuje się na dodatek, że wełniane wdzianko, kupione dla taty, może wkrótce nosić syn — pierwszoklasista, a anilanowa minitunika mamy przekształci się w długą suknię.

Nic więc dziwnego, że w sklepach z dziewiarstwem na ogół nie ma kolejek (najwyżej przed sklepem, gdy wewnątrz trwa przyjęcie towaru), a większość klientów, nawet po dokonaniu zakupu, nie wygląda na zadowolonych.

Od czasu do czasu jednak na rynku pojawia się „coś", co bardzo trudno dojrzeć ponad głowami skłębionego wokół dziewiarskiego stoiska tłumu. Czasem takie „coś" jest w sprzedaży zaledwie kilkanaście minut, niekiedy parę godzin, a w najlepszym przypadku sprzedaż trwa od kilku do kilkunastu tygodni, w miarę nadchodzenia kolejnych dostaw.

Takim absolutnym przebojem rynkowym roku ubiegłego, sprzedawanym dość długo — choć nie bez przerw — przede wszystkim w DH „Juventus" — była kolekcja odzieży wyprodukowanej przez łódzkie Zakłady Przemysłu Dziewiarskiego „Iwona". Czy w tym roku zakład powtórzy sukces? O tym, a także o aktualnych problemach „Iwony" i całej branży dziewiarskiej rozmawiałam z zastępcą dyrektora do spraw produkcji — mgr inż. WOJCIECHEM SŁOWIKOWSKIM.

Naszą rozmowę co chwila przerywały telefony i pracownicy — w wydziałach produkcyjnych trwała bowiem niesłychanie ważna operacja: barwienie próbek dzianin. Czerwony kolor, w jakim zaprojektowane zostały niektóre modele na rok bieżący „nie wychodził", a w każdym razie nie w takim odcieniu, jaki być powinien, a tymczasem końcowy efekt trzeba było przedstawić kontrahentom z Francji, przebywającym aktualnie w „Iwonie".

Wobec stale rosnącego średniego poziomu dziewiarstwa na świecie wymagania odbiorców zagranicznych — zarówno z krajów zachodnich, jak i z naszego bloku — stale rosną. Aby utrzymać się na rynkach, przy ciągle twardej konkurencji, trzeba dokonywać niemal cudów, a dla „Iwony" eksport jest sprawą bardzo ważną. Zależy na tym nie tylko kierownictwu zakładu, ale i całej załodze. Zwłaszcza że w 1986 roku korzyści płynące z eksportu odczuli we własnej kieszeni wszyscy pracownicy. Finansowe prognozy na rok bieżący są jeszcze lepsze, bowiem ulga w podatku dochodowym za przyrost produkcji eksportowej wzrosła z 15 do 25 proc.

Aby radość nie była zbyt duża, jednocześnie zmalała z 22 do 18 proc. wysokość odpisu dewizowego, a więc będzie można pozwolić sobie na nieco mniejsze zakupy.

Ich możliwości zawężają się obecnie do trzech dziedzin: części zamienne do maszyn, barwniki i igły. Przy obecnym stopniu uzależnienia „Iwony" i całej branży dziewiarskiej od importu z II obszaru płatniczego, od wielkości posiadanego konta dewizowego, a także możliwości swobodnego nim dysponowania, zależy nie tylko poprawa wzornictwa i jakości (a chociażby utrzymanie ich na nie gorszym niż dotychczas poziomie), nie tylko szansa na utrzymanie się na rynkach zagranicznych, ale jest to wręcz gwarancja utrzymania ciągłości produkcji w ogóle. Dewizy przydałyby się jeszcze na zakup surowca — ale na to już zakład nie stać. Przy cenach wynoszących około 2 dolary za kilogram i zapotrzebowaniu około 900 ton (tyle bowiem surowca przerabia się każdego roku w „Iwonie") byłyby to sumy kolosalne. Trzeba więc zadowolić się surowcami produkcji polskiej — które asortymentowo są, łagodnie mówiąc, mało ciekawe, a i z ilościowym zaspokojeniem potrzeb bywają trudności. Być może natomiast wystarczy dewiz — podobnie jak w latach ubiegłych — na zakup jednej, dwóch maszyn.

Niestety, nie mogą to być maszyny najnowocześniejsze i najbardziej pożądane. Na takie nie może sobie z własnych funduszów pozwolić żadna fabryka dziewiarska w Polsce. Cena jednej maszyny kotonowej, połączonej z komputerem i automatycznie sterowanej przekracza pół miliona dolarów. To bardzo wiele — ale też i możliwości jej są ogromne. Z zazdrością obserwują pracę w zakładach, wyposażonych tak nowocześnie, polscy specjaliści w czasie swych służbowych pobytów za granicą.

Nie dość, że można na tym wytwarzać najmodniejsze obecnie wyroby, zdobione intarsją (wzorami, nieraz bardzo skomplikowanymi, wykonanymi nie tylko z włóczki o różnych kolorach, ale także o różnej grubości i fakturze), ale od czasu opracowania nowego modelu przez projektanta-wzornika, posługującego się, zamiast całym blokiem rysunkowym ze szkicami na brudno i na czysto, połączonym z maszyną komputerem do chwili rozpoczęcia produkcji upływa zaledwie... 10 minut.

W naszych warunkach czas ten wydłuża się do kilku dni — i to w szczególnych sytuacjach, takich np. jak niedawno w „Iwonie", gdy odbiorca zagraniczny niecierpliwie czeka, żeby zobaczyć, jak naprawdę, nie tylko na papierze, będzie wyglądał towar, który zamówił i gdy ludzie, odpowiedzialni za poszczególne fazy produkcji, chcąc pokazać, że mogą i potrafią, pracują w miarę potrzeby także w sobotę, a nawet w niedzielę lub w nocy.

Rzetelność i zaangażowanie w pracę większości załogi „Iwony", to zresztą jeden z istotnych elementów, składających się na to, że wyroby opatrzone tym znakiem firmowym są chętnie kupowane w kraju, że nie rezygnują z nich od lat ci sami odbiorcy zagraniczni, a nawet — przybywają nowi.

Początek nowego roku był dla zakładu szczególnie trudny — do „zwykłych", znanych od dawna kłopotów doszły nowe, spowodowane szczególnie ostrą zimą. Ograniczenia energetyczne, niemożliwość zapewnienia właściwej temperatury spowodowały kilkudniowe przestoje na poszczególnych wydziałach. Powstały zaległości w produkcji, tym bardziej niepokojące, że właśnie pierwsze miesiące każdego roku to okres, kiedy szczególnie przyspieszony musi być eksport. Drugi taki szczyt wypada na przełomie II i III kwartału, gdy przygotowuje się jesienne dostawy. Aby dotrzymać terminów załoga przepracowała 8 godzin w ostatnią, wolną sobotę. W dłuższym okresie powstałe niedobory powinny zostać wyrównane bez konieczności dodatkowych godzin, ale — gdyby zaistniała taka potrzeba, załoga wyraziła zgodę na dodatkową pracę w wolne soboty.

Już teraz — o ile warunki technologiczne nie pogorszą się — zaczyna pracę „na okrągło" farbiarnia. Wydział ten, niezwykle istotny dla utrzymania rytmiczności pracy na pozostałych wydziałach, podobnie tzn. we wszystkie soboty i niedziele, pracował przez cały czwarty kwartał 1986 roku. A efekt — to nie tylko planowana ilość, ale także 19 atrakcyjnych, czystych kolorów, w jakich produkowano kolekcję odzieży do Francji. Nowe, równie atrakcyjne kolory przygotowane są już także na rok bieżący.

I właśnie bardzo atrakcyjnej kolorystyce dzianin zawdzięcza „Iwona" swój, wspomniany na początku, ubiegłoroczny sukces. Techniczno-technologiczne możliwości zakładu są — w porównaniu z krajami zachodnimi, zwłaszcza z przodującymi w tej dziedzinie Włochami, niewielkie. Generalna modernizacja parku maszynowego nastąpiła w latach 1969—1970 i obecnie różnica między ich możliwościami a najnowszymi technologiami jest mniej więcej taka, jak między pistoletem skałkowym a rakietą samosterującą. Skoro więc produkować można jedynie dzianiny tradycyjne — tym bardziej liczy się pomysł.

Tym razem był to pomysł bardzo prosty, ale... trzeba było na to wpaść. Kolekcja składa się z sukienek, bluzek, kardiganów, spódnic i spodni, wykonanych z cienkiej, gładkiej dzianiny wełnianej, w niesłychanie prostych formach. Od tego, co znamy od dawna, różniły się wyroby zmienionymi proporcjami (zwłaszcza wydłużoną linią) i kolorystyką — różnorodną, lecz dobraną tak, że poszczególne wyroby można łączyć ze sobą, uzyskując wciąż nową, odmienną całość.

Wszystko to przeznaczone było dla odbiorcy francuskiego — a w „Juventusie" sprzedawane było tzw. wydłużenie serii eksportowej.

To właśnie kolejna korzyść z eksportu, tym razem dla nas, klientów. Zaangażowanie eksportu sięga w „Iwonie" ponad 50 proc. W praktyce oznacza to więc, że na każde 100 sztuk wyprodukowanych wyrobów ponad pięćdziesiąt wysyłanych jest za granicę, a około czterdziestu trafia na półki w kraju. Nie są to bynajmniej wyroby gorszej jakości. A więc — czym większy eksport, tym więcej atrakcyjnych towarów w naszych sklepach.

Planowana wielkość eksportu na rok bieżący to milion sto tysięcy sztuk wyrobów. Wśród odbiorców — Wielka Brytania, od lat zamawiająca niemal nie zmienione modele sweterków i bluzek z dzianin syntetycznych (wśród nich takie, jakie u nas sprzedają się już z trudem), a także, podobnie jak w roku ubiegłym, Francja.

W związku z tym zamówieniem oczekiwać możemy i w tym roku kolejnych modeli, po które ustawiać się będą kilometrowe kolejki. Będą one wykonane również z cienkiej wełny, w innych kolorach, a linia, zgodnie z modą, bardziej zbliży się do ciała. Sprzedaż — jak poprzednio, głównie w „Juventusie", z którą to placówką zakład od długiego już czasu utrzymuje dobre kontakty, ułatwione bliskim sąsiedztwem.

A co będzie dalej? To pytanie zadają sobie w wielu eksportujących zakładach branży dziewiarskiej.

Przepaść technologiczna pogłębia się, coraz bardziej odstajemy nie tylko od światowej czołówki, ale nawet od średniej. Coraz szerszym frontem zdobywają rynki kraje takie jak Hongkong, Tajwan, spośród socjalistycznych Węgry i Rumunia, produkujące dużo, modnie i tanio.

Na jak długo wystarczy inwencji i pomysłów, aby towary polskie zachowały konkurencyjność? Trudno to precyzyjnie określić, na pewno jednak metoda „mam pomysł — szare na złote" nie może być zawsze skuteczna. Jeśli do zakładów dziewiarskich i fabryk przygotowujących dla nich surowce nie trafią nowe technologie i maszyny, za kilka lat czy kilkanaście nikt już nie będzie chciał kupować naszych przestarzałych wyrobów. A bez eksportu powstanie sytuacja, gdy po wyroby, jakie obecnie zalegają półki ustawiać się będziemy w kolejkach, albo... wszyscy będziemy robić na drutach, pod warunkiem, że najpierw uda nam się ostrzyc barana i uprząść wełnę.

Jakie wnioski po pierwszej fali mrozów? Dlaczego wystąpiły załamania? Kto nie wywiązał się z obowiązków? Co nas jeszcze czeka?

Czy zima musiała nas zaskoczyć?

Rozmowa z wiceprezydentem miasta Łodzi — STANISŁAWEM ŻAŁOBNYM.

W świadomości społecznej ugruntowało się już takie przekonanie, że jesienią służby komunalne deklarują i zapewniają pełne przygotowanie do zimy, a zimą dają się zaskoczyć. Pozwala to sądzić, że są one do zimy nie przygotowane, a tylko mydlą ludziom oczy. Czy podziela pan taki pogląd?

— Jest to pierwsza zima, jaką przeżywam na tym stanowisku, które przyszło mi pełnić. Oceniając stan przygotowania służb komunalnych do zimy, prosiłem, aby dano mi pełny i prawdziwy obraz, aby znów nie było zaskoczenia.

— I otrzymał pan taki obraz?

— Formalnie tak.

— To znaczy na papierze i w deklaracjach?

— Można to tak ująć, ale to nie oddaje całej złożoności problemu.

— Zdaje pan sobie chyba sprawę, że opinia społeczna dokonała już oceny pracy służb komunalnych przy pierwszej fali mrozów?

— Owszem. I wiem, że nie jest to ocena pozytywna. My też dokonamy takiej oceny. Nie chciałbym jednak mówić o tym przed faktem.

— Rozumiem, że ocena Urzędu Miasta Łodzi będzie różniła się od — nazwijmy to tak — oceny społecznej. Dlaczego?

— Inny jest punkt odniesienia, inna skala znajomości problemu, inny zasób informacji, inna odpowiedzialność wreszcie. Mieszkańcy miasta i województwa oceniają pracę służb komunalnych poprzez pryzmat niedogodności, jakie musieli przeżywać: zakłócenia w komunikacji, awarie sieci wodociągowej, cieplnej, zakłócenia w telekomunikacji, w zaopatrzeniu sklepów, nie dogrzane mieszkania, wyłączenia elektryczności.

— I tak było.

— Nie mam zamiaru temu przeczyć. Ale jest również druga strona tego obrazu: warunki, w jakich przyszło działać służbom komunalnym oraz całej gospodarce. I jest również sprawa odpowiedzialności poszczególnych służb, poszczególnych ludzi, którym przyszło działać w tych warunkach. Znając te wszystkie fakty można dopiero mieć pełniejszą ocenę. I my musimy takiej dokonać.

— Dobrze. Porozmawiajmy zatem o tych warunkach. Parokrotnie padło już stwierdzenie, że byliśmy przygotowani do średniej zimy. Jak to rozumieć?

— Łódzkie elektrociepłownie są na przykład w stanie ogrzewać mieszkania w warunkach, kiedy na zewnątrz panuje temperatura do minus 10 stopni. Gdy temperatura spada, musi też występować niedogrzanie mieszkań. Jedyną radą na to jest budowa następnej elektrociepłowni. Ale sprawa jej budowy jest jeszcze w sferze dyskusji i uzgodnień.

— Kontynuując pańską myśl należałoby dojść do wniosku, że w naszych warunkach — i zapewne nie tylko w ciepłownictwie — nie jesteśmy w stanie przygotować się do innej zimy, jak tylko średniej, to znaczy takiej kiedy temperatura nie spada poniżej minus 10 stopni. Czy nie lepiej powiedzieć ludziom taką — przykrą zresztą — prawdę niż czarować ich zapewnieniami, że żaden mróz ani śnieg nie są nam straszne?

— Wyciągnęła pani słuszny wniosek i zgadzam się też, że lepiej jest szczerze taką prawdę powiedzieć. I właśnie to teraz robię: pokazuję warunki, w jakich przyszło nam odpierać falę mrozów.

— W moim przekonaniu, gdyby wszystko — jak to się mówi — dobrze grało, to nie byłoby potrzeby powoływania sztabu. A w ogóle, to jeśli już musimy pracować metodą sztabową, to taki sztab powinien zebrać się wczesną jesienią i przygotować wszelkie warianty działań, na różne, nawet najbardziej skrajne warunki.

— Nie należę do zwolenników sztabowej metody pracy. I zgadzam się, że gdyby nie było zacięć, to sztab nie byłby potrzebny. Ale rzecz w tym, że nie grało i sztab musiał decydować, co jest niezbędne i tam koncentrować środki, a co ma znaczenie drugorzędne i — mówiąc brutalnie — może poczekać.

— Czyli sztab wziął odpowiedzialność na siebie za ludzi, których obowiązkiem byłoby ponosić tę odpowiedzialność. To, czy nie warto pomyśleć o zmianie tych ludzi?

— Wie pani, dyrektora łatwo zmienić, sytuacji w przedsiębiorstwie nie. Na to trzeba środków, ludzi, czasu.

— Prawda jest taka, że „nie mamy armat"?

— Ano, nie mamy. Naszym obowiązkiem było w pierwszej kolejności odśnieżyć trasy wylotowe z miasta. Dysponujemy dwoma pługami wirnikowymi. Ale jeden natychmiast się zepsuł podczas odśnieżania.

— Przepraszam, czy to znaczy, że inne województwa mają więcej pługów wirnikowych?

— Tak. I nie tylko pługów. Na przykład Warszawa dysponuje 250 śmieciarkami, a Łódź — 60. W Warszawie jest około 200 wozów asenizacyjnych, a w Łodzi — 40.

Ale ilość sprzętu — to jedna sprawa, a jego jakość — to druga. Sprzęt ten nie jest w najlepszym stanie i ulega częstym awariom.

— Właściwie były cztery dziedziny, gdzie nastąpiło przykre dla mieszkańców załamanie: komunikacja, odśnieżanie ulic i chodników, ciepło i śmieci. O cieple już mówiliśmy.

— Możliwość ogrzania miasta, to jedna sprawa, a stan sieci ciepłowniczej — to inna sprawa. Przy wyższej temperaturze wody następowały liczne awarie. Zresztą dla utrzymania ciepła w mieszkaniach decydowaliśmy nawet, aby ciepło płynęło rurociągami z uszkodzeniami, gdzie w czasie mrozów występowały przecieki. Wiele osób wyjechało i to z mieszkań w starym budownictwie. Zostawili nie ogrzane mieszkania. Woda w rurach zamarzła, rury popękały i teraz woda leci po ścianach. Proszę sobie wyobrazić, że wodociągi pracują przy pełnym obciążeniu, tyle jest tych przecieków. Tracimy ogromne ilości wody.

— Jak twierdzą specjaliści, ilość awarii może wzrosnąć przy odwilży.

— Gospodarka komunalna, niezależnie od stanu jej wyposażenia, musi być ściśle wewnętrznie powiązana, jak zresztą cała gospodarka. Mieszkania ogrzewa nie tylko elektrociepłownia. W śródmieściu jest przeszło 70 lokalnych kotłowni. Trzeba było dowozić im opał. Użyliśmy do tego wywrotki. Wywrotkami wywoziliśmy żużel i popioły. To było ważne. Nie można zatem przeznaczyć tych wywrotek do wywożenia śmieci i śniegu. Hamowało to postęp w odśnieżaniu.

— Nie wiem, czy pan wie, że wiele samochodów MPO jeździło po ulicach z niedokładnie opuszczonymi pługami?

— Albo w ogóle tych pługów nie opuszczali. Wiemy o tym. Ale MPO to bardzo specyficzne przedsiębiorstwo. Trzeba byłoby za każdym pługiem posyłać samochód z kontrolerem. Nie mamy ani tyle samochodów, ani tylu kontrolerów. Pracownicy Inżyniera Województwa byli w MPO, pomagali i kontrolowali. Proszę jednak pamiętać, że w MPO, oprócz starej kadry, pracownicy zmieniają się niekiedy w 100 procentach w dość krótkim czasie.

— Jak wiem, obowiązkiem zakładów przemysłowych jest odśnieżanie pobliskich skrzyżowań. Też się raczej z tego nie wywiązały.

— Mamy podpisane umowy z zakładami pracy na odśnieżanie skrzyżowań. Ogłosiliśmy trzeci stopień zagrożenia. Mróz i śnieg przyszły w piątek, 9 stycznia. Niektóre zakłady przystąpiły do odśnieżania. Później była wolna sobota i niedziela. Uznano, że wszyscy solidnie wezmą się do pracy, a trzeba było odśnieżać i w sobotę, i w niedzielę. W poniedziałek Egzekutywa KŁ PZPR oceniła krytycznie stan miasta i podjęła decyzję o powołaniu sztabu. To było 12 stycznia. Sztab zaczął pracować 13 stycznia.

— A dozorcy? Też nie wywiązali się ze swoich obowiązków. Co ich za to spotkało?

— Jak wynika z danych, które napływały do sztabu, milicja karała mandatami w wysokości 70 000 złotych dziennie, a Straż Miejska — 120 000 złotych.

— To dużo czy mało?

— Moim zdaniem — mało. Ale dla pełnej oceny stanu rzeczy trzeba wiedzieć, że 40 procent dozorców porzuciło pracę, a z pozostałych 30 procent jest na zwolnieniach lekarskich.

Dozorca na ogół pracuje znakomicie, kiedy stara się o pracę i o mieszkanie. Gdy już to dostanie — zmienia się radykalnie. Wtedy powiada: — jaka płaca, taka praca! Proszę zwrócić uwagę, że u nas rzadko mówi się: — za dobrą pracę, dobra płaca. To też o czymś świadczy. No i nie wolno zapominać, że w Łodzi czeka na chętnych 18 000 wolnych miejsc pracy, a poszukuje jej około 80 osób.

— Inżynier województwa groził tym, którzy nie wywiążą się ze swoich obowiązków różnymi karami. Co ich spotkało?

— Mandaty, nagany. W śródmieściu ukarano mandatem również dyrektora PGM oraz kierowników ROM.

— Czy to wystarcza?

— Nie. Ale karać możemy tylko za ewidentną indolencję, a nie za warunki, w jakich przyszło działać, gdy te warunki nie zależą od nich. Poza tym uważamy, że większość ludzi pracowało dobrze, nieraz więcej niż można było. Ale tak było trzeba. Czy dali radę zimie? Nie, zima okazała się od nich silniejsza. Gdyby jednak nic nie robili, byłoby znacznie gorzej.

— Przeciętny łodzianin nie zna jednak tych uwarunkowań, nie wie na przykład, że dekapitalizacja sprzętu przekroczyła już 80 procent, że wielu ludzi pracowało ponad siły. On ocenia sprawność gospodarki komunalnej po skutkach. A te nie były dobre. Na przykład góry śmieci.

— Sprawność gospodarki komunalnej — jak całej zresztą — zależy od dobrego sprzętu, ludzi, którzy potrafią nim posługiwać się, wysokich wymagań, jakie się im stawia i sprawnego zarządzania oraz kierowania.

— No tak — a my nie mamy armat.

— Może raczej mamy mało armat, a poza tym nie wszyscy umieją się nimi posługiwać. Do pracy w MPO przychodzą ludzie, których gdzie indziej nie wezmą do pracy. Zresztą i praca przy wywożeniu śmieci nie jest przyjemna. A płaca niższa o 4 000 zł od średniej płacy w przemyśle. Pracownik MPO otrzymuje sorty wartości około 30 000 złotych. Często bierze sorty i... znika. MPO musi dochodzić później swoich praw poprzez sąd, ale wyroki są niewykonalne, bo nie ma jak lub z kogo ściągać należności.

Z nastaniem mrozów przestała działać hydraulika, a ponieważ generalnie obowiązują duże pojemniki, więc nie można było ich rozładowywać inaczej, jak tylko mechanicznie. Ręcznie ani nie było kim, ani jak. O wywrotkach już mówiłem.

Przy okazji warto wspomnieć, że tabor MPO i MPK musiał przejść na zimowe paliwo, które powinno spełniać swoją rolę do minus 35 stopni, a przestawało działać już poniżej 20. Trzeba było szybko wymieniać je na takie, które działa do 40 stopni. Musiano sięgnąć do rezerw.

— Nie spodziewaliśmy się również wyłączeń elektryczności, a były i narobiły wiele zamieszania.

— Tak. Wystąpiły awarie w elektrowniach, ale szybko się z tym uporano.

— Czy nie można było jakoś sygnalizować włączeń i wyłączeń, aby nie powstawały szkody?

— Sygnał o wyłączeniu musi być natychmiast wykonany. Nie ma dyskusji. Jak natomiast zawiadomić o włączeniu? Telefonicznie? Na to trzeba jakieś półtorej godziny, aby do wszystkich dodzwonić się. Nie widzę tu rozwiązania. Jedynym wyjściem jest automatyka. To wymaga wymiany przestarzałych urządzeń na nowoczesne.

— Czy chciałby pan kogoś pochwalić albo zganić?

— Poczekajmy do oceny.

— Ale mógłby pan na przykład powiedzieć, w jakich dzielnicach było dobrze, a w jakich źle?

— Lepiej było na Górnej i Widzewie, źle — w Śródmieściu.

— Czy wnioski z tego, co było, będą wyciągnięte?

— Tak. Będziemy też starali się o więcej i dobrego sprzętu. Ale skutki od nas nie zależą. Chciałbym tylko przestrzec przed nierealnymi porównaniami. Ludzie niekiedy porównują przygotowanie do zimy wiele lat temu i dziś. To były i są zupełnie różne warunki, nieporównywalnie, inna skala problemu, inne urządzenia. Trudno porównywać palenie w piecu z działaniem elektrociepłowni.

— Zna pan zapewne przepowiednię, że koło 9 lutego nastąpi druga fala mrozów. Pierwsza część tej przepowiedni sprawdziła się.

— Jeśli nie nastąpią awarie w elektrociepłowniach i nie będzie wyłączeń elektryczności, to przetrzymamy, choć nie będzie łatwo. Ale sądzę, że trzeba przede wszystkim myśleć o odwilży, oczyszczać studzienki, ułatwiać spływanie wody do kanałów ściekowych, żeby nie było więcej awarii sieci cieplnej, wodociągowej gazowej i telekomunikacyjnej.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

Mówi: Aleksander Fogiel

— Jakoś cicho zrobiło się o panu w Łodzi?

— Kilku znanych i doświadczonych aktorów znalazłoby się w Łodzi, tylko chwilowo nie widać nas na dużym i małym ekranie, gdyż obecnie królują filmy czeskie. W TV na premiery oczekują 4 filmy z moim udziałem.

— Podobno jest pan wybuchowy jak Etna, gniewny i krzykliwy jak... Anna Maniani i wymagający jak sierżant na placu ćwiczeń?

— Jestem jak gromowładny Zeus, czym imponuję na próbach w teatrze lub planie filmowym, ale nigdy w domu, gdzie wiedzą, że nadrabiam krzykiem, a ponadto nie chcę się narażać wiceprezydentowi miasta, który mieszka pode mną. Jeśli chodzi o wymagania, to sam wobec siebie jestem jak świeżo awansowany kapral.

— Zawsze tak było, czy dopiero wtedy jak zaczął pan robić karierę?

— W drodze do jakiejkolwiek kariery trzeba wiedzieć, gdzie należy krzyczeć, a gdzie być pokornym.

— Podobno należy pan do najstarszych debiutantów wśród polskich aktorów filmowych obecnie żyjących?

— W filmie zadebiutowałem w 45 roku życia, ale zdążyłem do tej pory zagrać w 178 filmach i nie rezygnuję z następnych.

— Dodając kilkaset ról teatralnych, powstaje rekordowa ilość, czemu ją przypisać?

— Pracowitości. Potrafiłem jakoś wszystko ze sobą pogodzić, a przede wszystkim wyrozumiałości wobec reżyserów.

— Jaką rolę odgrywa żona, bez której nigdzie się pan nie pokazuje, w pracy również?

— Mając taką żonę, posiadam pewność siebie a przy okazji sprawdzian tego, co robię w jej opinii.

— To dla pana, Lucyna Łokomówna, solistka baletu Teatru Wielkiego w Łodzi, poświęciła swoją karierę tancerki?

— To ja gotów byłem zmienić profesję i zostać tancerzem, aby być bliżej żony. Jej pracowitość i talent uzupełniła moje braki. Żona jest moją zdobyczą wojenną, a to już wielki sukces i jej, i mój.

— A pierwsza żona?

— Była wspaniałą kobietą, tylko nie umiała podjąć ze mną walki o zdobycie miejsca w moim idealnym świecie — teatrze.

— Który z trzech synów odziedziczył największą ilość genów po panu?

— Moi synowie, to trzech Aleksandrów Foglów, tylko w różnych postaciach. Różnica tkwi w wytrzymałości przy zdobywaniu podjętych zadań. Najbliższy mojej osobie był Waldemar, drugi Tomasz, trzeci Andrzej. Ten ostatni, pierworodny, odziedziczył wszystkie moje przywary, a jest ich sporo.

— O Waldemarze krążyły legendy, sensacyjne plotki i dwuznaczne domysły. Jaka była prawda?

— Waldemar był nie tylko tancerzem, ale wielkim artystą, a tacy zawsze są kontrowersyjni. Był zbyt subtelny, zbyt wizjonerski, aby zmieścić się w brutalnej rzeczywistości.

— Andrzej z gwiazdora operetki awansował na I sekretarza POP PZPR Teatru Powszechnego w Łodzi. Takiego awansu spodziewał się pan po nim?

— Swego czasu był filarem Teatru Muzycznego w Łodzi, ale z przekonania zawsze był aktorem dramatycznym i wrócił do dramatu, ponieważ płaski repertuar operetkowy nie odpowiadał jego wnętrzu i dojrzałemu aktorstwu.

— Tomasz z dramatu trafił do operetki, czego nikt się po nim nie spodziewał, a najbardziej chyba pan?

— Tomasz swoją wieczną młodzieńczością nie mógł w dramacie grać tych ról, które powinien, mimo to nie chciał zrezygnować z dramatu. Każdy komik pragnie zagrać rolę charakterystyczną, a każdy tragik chce choć raz być komikiem. A to mu się udało w pełni przechodząc do dobrego teatru muzycznego, jakim jest Teatr Muzyczny w Gdyni.

— W środowisku mówi się, że zdominował pan swoich synów i dając im znane nazwisko zablokował w samodzielnym przebiciu się w branży?

— Prawda w tym wypadku jest pośrodku, zdarzyło się, że kiedy znalazłem się w branży, w której powinienem być chwalony, byłem bez przerwy indagowany o sukcesy swoich synów.

— Mówiło się o przygotowaniach do pana jubileuszu pracy artystycznej, ale jubileuszu nie było?

— Przebąkiwało się o moim 50-leciu pracy, obecnie jestem w 55 roku, do 60-lecia niedaleko, a więc i do kolejnego jubileuszu, na który podobno wciąż brakuje środków finansowych.

— Naprawdę nie ma w tym pana winy?

— Jest, bo uparłem się obchodzić jubileusz w macierzystym teatrze.

— Co robi pan na emeryturze?

— Trochę gram w filmie, w telewizji, piszę wspomnienia, jestem już na 5428 stronie rękopisu. Maluję obrazy, rzeźbię w drewnie, piszę dramaty i komedie muzyczne, na razie do szuflady. Jako dramaturgowi brakuje mi siły przebicia, a może wpływowych znajomości.

— Posiada pan wiele zainteresowań i pasji, które z nich przetrwały do dziś i właśnie teraz może pan sobie pozwolić na ich pielęgnowanie?

— Kult czystości, lubię kąpać się dwa razy dziennie.

— Mieszkanie pana przypomina teatralne muzeum, na ścianach pana zdjęcia, obrazy, rekwizyty, to wszystko robi duże wrażenie, rzeczywiście tak bardzo lubi pan siebie?

— Lubię klimat garderoby, rekwizytorni, w ogóle teatru i w tej atmosferze czuję się najlepiej.

Rozmawiał: BOHDAN GADOMSKI

Henryk Hartenberg

Poszukiwanie sensu

97

Pożar w rozdartym chlebie
Pożar w kanałach chmur
Pożar w zielonym wietrze
Pożar w gasnącej róży
Pożar w wypalonych oczach
Pożar w suchych liściach
Opadających w głąb Doliny Siedmiu Kwiatów
Gdzie dojrzewają kolorowe księżyce
I gwiazdy przynoszące dary o północy
I dziewczyny o ramionach nagich
Jak strumyki
I owoc miłości zrodzonej
Z bezbronnej ufności
I spojrzenie w którym wieczna medytacja
Ślady rozsypanych relikwii
Senne witraże
I wiklinowa cisza

Tam obszar wierności
I dotyk ocalający
Tam błysk nadziei przychodzącej
Z czystego nieba
I promień słowa wydartego
Ziemi niebu bogom i ludziom

Tam dojrzewa Miłość
Jak kształt naszego trwania

Czy dojdę

65

Doktorowi Stanisławowi Kostence

W tej pieśni
Opowiem wszystko
Jak w chwili odejścia za ciemny brzeg nieba
Gdzie płomień świecy zbliża obszar
Nie ogarnięty

Nie bogom nie szamanom nie kaznodziejom
Tylko ludziom — ludziom opowiem

Kochałem Ziemię
Tak jak się kocha Matkę
Kochankę i ciszę przychodzącą
Z wilgotnego łona czasu

Ziemię
konającą i żywą
Śmiertelnie ugodzoną i odradzającą się
Rozprutą aż do trzewi i bezwstydnie płodną
W której ogień woda i embrion gwałtu
W której ziarno chleba prawieczne korzenie
I źdźbło ognistej trawy
W której jęk popiołu i śpiew umilkłych ptaków
W której nadzieja ból i gorycz odejścia

Bo w niej prapoczątek — z jej krwi zielonej
Powstałem
Z niej moja siła pieśń i bunt
Na jej rozpalonym brzuchu pożądałem
Życia Tytanów
Tutaj ścierałem w pył
Pogańskich bożków
Rytych w twardej skale

Powracając w jej mroczny ogrom
Pozostajemy jej ziarnem

O nie — to nie „spowiedź dziecięcia wieku"
To słowo o Ziemi mojej
Na której poszukując błądzimy
Tak bardzo

To tylko wyznanie
O
Prapoczątkach Rzeczy

84

Ziemia ofiarowuje nam czas
Żywych umarłych i nie narodzonych
„Jest to czas ponad wszelki czas"

Ziemia przyzywa
Modlitwą śpiewem dotykiem
Kręgłością owocu
Oddechem ptaka
Gorejącym krzakiem
Miąższem śliwy
Szelestem liści
Falą odchodzącą w noc
Językiem drzewa
Chylącego się do trawy
Mądrością ptaków
Zwierząt i gwiazd

Sztuką
Pięknego życia

Ofiarowuje nam
Wielkie milczenie

Ale my jesteśmy wciąż głusi
I „umieramy pośród wspaniałości"

A ziemia śpiewa
A ziemia szumi
A ziemia milczy
Tak boleśnie

Miłość Trojga Narodów

Już od dawna nie pamiętam ani smaku, ani zapachu zwykłej czekolady od Wedla, że nie wspomnę o chałwie albo o prawdziwym jarzębiaku. Gdzieś tylko w zakamarkach pamięci pozostał nikły ślad „kolonialnego bukietu", jakiego pełne były niegdyś dawne sklepy „Delikatesów" (w drugiej połowie lat pięćdziesiątych po raz ostatni). Zresztą, czy w ogóle można pamiętać zapachy tak samo, jak obrazy albo słowa?

**Długo w to wątpiłem — ale mam oto w ręku dowód niezbity. Bo proszę, oto cytacik. *„Jego słynne sałatki! Śledziowa, mięsna, jarzynowa, rybna, madziarska! Jeszcze słynniejsze galarety! Studzienina, drachli, ozory. Schaby i wędzonki. Karpik, łosoś, węgorz. Słoje marynowanych wiunów. Półmiski wielkich ceglastych raków. Grzybki, śliweczki, ogóreczki, kornisz*ony. *Majonezy, sosy tatarskie, różne chrzany, musztardy, papryki, brusznice. Sery: parmezany, roqueforty, szwajcary, specjalny w małych stożkach, zielony, ziołowy. I oczywiście — kwargle. Mnóstwo rodzajów śledzi: pocztowe, szkockie, królewskie, uliki, matiasy, rolmopsy. Kiermasz ułożony w perwersyjny sposób, istne piramidy na cześć obżarstwa".*

Czy ja to widzę? Czy ja to czuję? Jeszcze jak...

Tym łatwiej przychodzi mi pojąć, co musiał przeżywać — misternie rozkładając akcenty i umiejętnie dawkując emocjonalne napięcie — autor tego kawałka prozy. Jakaż to hedonistyczna ekstaza... I komu to przeszkadzało?

Ale darujmy sobie proste pytania. Na bitych dwustu czterdziestu stronach „Pomadki od Hawurassa" — najnowszej książki Wacława Bilińskiego — takich perełek, nie tylko gastronomicznych, znajdzie się mnóstwo. Nad każdą należy pochylić się ze wzruszeniem. Ale nie pytać, o nic nie pytać...

„Pomadka od Hawurassa" jest książką zdumiewającą. Wedle porządnej klasyfikacji gatunkowej jest to romans. Mocno uwikłany w politykę, właściwie przez nią zdeterminowany. No i napiętnowany przez specyficzne, właściwie egzotyczne (wedle współczesnych środkowopolskich standardów) obyczaje. Anegdota jest właściwie banalna: prawie dwudziestoletni maturzysta, ale już nie „zielony", zakochuje się w nieco starszej od siebie robotnicy — siostrze konspiratora, któremu ów maturzysta przypadkiem pomógł ukryć się przed siłami porządku i prawa, po ulicznej manifestacji. Chłopak i dziewczyna jakoś w sobie przezwyciężają uprzedzenia i bariery — intelektualne, a także klasowe — przeżywają krótkotrwałą, obopólną i nieskrywaną erotyczną przygodę, poczem dziewczyna znika, a chłopak podejrzewa, że stało się to nie bez udziału wspomnianych sił porządku i prawa...

Zapis tej fabuły sporządzony jest w formule relacji w pierwszej osobie. Jakby po upływie pewnego czasu (ale niezbyt długiego); narrator w momencie opowiadania jest doświadczeńszy i bardziej „chłodny" niż ten chłopak, którego opisuje. Dzięki temu zabiegowi miłosne sprawozdanie jest odcedzone z nadmiernych emocji. Większą rolę za to poczynają odgrywać wątki poboczne, klimaty, dygresje i „didaskalia".

Otóż to. Przynajmniej od połowy pierwszej, zachłannej lektury „Pomadki od Hawurassa" towarzyszyło mi natrętne podejrzenie, że w istocie chodzi właśnie o te didaskalia, o topografię, etnografię oraz socjologiczno-obyczajowe konstatacje. Że cała książka została napisana tylko po to, aby prosty, wątły schemat fabularny mógł być nimi wypełniony...

Sądzę, że prawdziwymi bohaterami „Pomadki od Hawurassa" są — czas i miejsce akcji. Czyli Lwów wiosną 1936 roku...

Nie mam pojęcia, czy życiowe losy Wacława Bilińskiego mają jakikolwiek związek z przeżyciami bohatera de nomine tej powieści, Janusza Skarbkowskiego. Domyślam się tylko, że Biliński m u s i a ł opisać właśnie to Miasto Trojga Narodów. I właśnie w tej epoce — dwudziestolecia II Rzeczypospolitej — gdyż nigdy przedtem i potem nie było dla niego tak ważne i wspaniałe. Zresztą zapewne takie zapamiętał.

Lwów — miasto Polaków, Ukraińców i Żydów. Ubarwione jeszcze przez Ormian, Niemców, Słowaków i wszystko to, co mógł z siebie wyrzucić tygiel dwujedynej monarchii. Miasto niespokojne, wstrząsane konfliktami trojga narodów i tymi przebiegającymi jakby w poprzek etnicznych podziałów. Miasto uchwycone przez Bilińskiego w krótkim, jedynym momencie, gdy parusettysięczny tłum na jego ulicach zjednoczył się, nie pytając, kto w jakiego boga wierzy. Gdy ludzi połączyła wspólnota klasowa.

Biliński ze zdumiewającą precyzją i bogactwem szczegółów „sfotografował" Lwów. Sądzę, że owa precyzja nie jest zaczerpnięta tylko z planu miasta, turystycznego przewodnika (z reklamami dziesiątek firm) wydanego z okazji Targów Wschodnich i mglistych obrazów z pamięci. Oczywiście dziś nie sposób wiarygodnie sprawdzić, czy topograficzno-obyczajowe szczegóły z kurewsko-nożowniczych uliczek Łyczakowa, jadłodajni pani Fyffes lub wytwórni chałwy i czekolady Hawurassa czy delikatesów pana Makuły są prawdziwe. Zresztą mniejsza z tym.

Myślę, że najważniejsza jest emocjonalna intencja Bilińskiego. Pan Wacław zapewne zgodzi się ze mną, gdy zawrę ją we fragmencie piosenki o „Lwowskich Dzieciach": *„Może da mi Bóg, że powrócę zdrów i zobaczę miasto Lwów".*

Autor „Pomadki od Hawurassa" musiał to zrobić. Choćby tylko oczyma duszy. Zresztą nie mógł inaczej. Tamten Lwów nie istnieje w sposób jednoznacznie nieodwracalny. I historycznie sprawiedliwy.

We mnie, łodzianinie od kilku pokoleń, urodzonym w 1948 roku, hasło „Lwów" w ogóle nie wywołuje żadnych emocjonalnych skojarzeń o pozytywnym bądź negatywnym zabarwieniu — poza prostymi konstatacjami geograficzno-historycznymi. Mimo to nie bez wzruszenia dałem się prowadzić po ludzkich losach i ulicach Miasta Trojga Narodów, albowiem wydały mi się one tą częścią naszego dziedzictwa kulturowego, z którego w imię żadnych wyższych racji samowywłaszczać się nie powinniśmy.

TOMASZ SAS

Wacław Biliński „Pomadka od Hawurassa" — KAW, Łódź 1986, nakł. 40 tys., cena 250 zł.

Świat w Trójkącie Bermudzkim

„Wahadło", nowa powieść Jacka Sawaszkiewicza, która ukazała się właśnie na półkach księgarskich, zapewne nie zaskoczy miłośników twórczości tego pisarza. Posiada ona bowiem wszystkie dobrze nam znane zalety innych fantastyczno-naukowych książek Sawaszkiewicza — odznacza się zgrabnym, bezpretensjonalnym stylem, pomysłowością, wartką akcją, ciekawie zbudowaną intrygą i bezpośrednim, choć nieco kostycznym poczuciem humoru. Są to walory decydujące z reguły o powodzeniu wśród czytelników i pozwalające w większości przypadków na odróżnienie dobrej powieści science-fiction od fantastycznego śmiecia. „Wahadło" z pewnością zaliczyć należy do pozycji wartościowych, choć na pierwszy rzut oka nie wyrastających ponad przeciętność. A jednak jest w tej książce coś niepokojącego, coś, co sprawia, że niemal od pierwszej strony czyta się ją nieco inaczej, aniżeli inne powieści tego gatunku. Nie bez znaczenia jest tu zawartość myślowa utworu, co prawda dość archaiczna i zbyt skromnie, jak na swą wagę i możliwości pisarza, uzasadniona literacko, ale niebanalna, dyskretnie i umiejętnie wyeksponowana, oraz nie pozbawiona przy tym pewnego romantycznego czaru, towarzyszącego zwykle mazelkim irracjonalnym ideom, przeczącym normom i zasadom tak zwanego zdrowego rozsądku. Oryginalności i świeżości „Wahadła" upatrywać należy jednak gdzie indziej — otóż jest to opowieść napisana z niezwykłą swobodą, z dystansem, z filuternym przymrużeniem oka, świadczącym w tym przypadku o dojrzałości i, paradoksalnie, powadze treści. Jakże pod tym względem różni się „Wahadło" od pełnych sztuczności i groteskowego dostojeństwa rozmaitych powieści fantastyczno-naukowych, w których aż roi się od potworkowatych nadludzi, telepatów, robotów i psychopatów, bohaterskich komandorów, podróżujących „z piątą prędkością kosmiczną" w swych hipernowoczesnych statkach i w chwilach wolnych od krwawych zmagań z pozaziemskim złem, wygłaszających wyczerpujące tyrady, oparte na doskonałej znajomości Ogólnej Teorii Wszystkiego, przesycone dmuchaną, „balonową" filozofią i głęboką troską o Bardzo Ważne Sprawy. Sawaszkiewicz w „Wahadle" zręcznie unika pułapki naiwności, z wdziękiem broniąc się ironią i drwiną, nie oszczędzając nawet własnego bohatera, który momentami przypomina słynnego Ijona Tichego, postać pozornie tylko śmieszną i żałosną w swej zarozumiałej bezradności. Bardziej wyrafinowanym czytelnicy mogą zachować całkowity spokój: najcięższe zarzuty, wytaczane zazwyczaj z arsenałów krytyki przeciwko powieściom science-fiction, „Wahadła" ugodzić śmiertelnie nie będą w stanie.

Niezachwiana wiara we wszechmocną potęgę rozumu niejeden już raz wyprowadziła człowieka na bezdroża i zgotowała mu zgubę. Bez szczypty fantazji rozum jest tylko bezduszną maszyną, ograniczoną i zaślepioną. Sawaszkiewicz przestrzega przed bezkrytycznym przyjęciem monopolu na wyjaśnianie i interpretację „wszelkich zjawisk nadprzyrodzonych", z braku możliwości racjonalizacji kwitowanych często lekceważącym prychnięciem lub zdawkowym słowem-kluczem, które tłumaczy wszystko, utwierdzając najróżniejszych specjalistów w uspokajającym samozadowoleniu. Wyrwanie świata z obszaru ducha i duchowości zubaża nasze doznania, zubaża nasz umysł i naszą jaźń, technicyzuje i schematyzuje rzeczywistość. Człowiek jest istotą dwoistą — jesteśmy trochę „tu" i trochę „tam", jak twierdzi autor „Wahadła". Wyjście poza siebie pozwala na uchwycenie „nieuchwytnego" bezpośrednio, jeszcze na poziomie predyskursywnym, i nierzadko bywa jedynym sposobem uzmysłowienia sobie niewidocznych inaczej problemów i antynomii. Może właśnie dlatego swe nadzieje człowiek umieszcza zwykle „tam"...

MACIEJ ŚWIERKOCKI

Jacek Sawaszkiewicz — „Wahadło". Wydawnictwo GLOB, Szczecin 1986, wyd. I, nakład 60 000 egz.

Z półki recenzenta

TEKSTY ZE „STUDIA 202"

Któż z nas nie słuchał „Studia 202" nadawanego przez Polskie Radio z Wrocławia w latach 1956—1983? Wielu zapewne pamięta świetne teksty Andrzeja Waligórskiego, które potem „szły w Polskę" powtarzane przez różne kabarety. Teraz mamy możliwość raz jeszcze wrócić do nich za pomocą książki pt. „Dreptakowisko", w której zostały przez autora pieczołowicie zebrane. I co ciekawe: mimo upływu lat nadal śmieszą, nadal wywołują zadumę nad ułomnościami naszej polskiej kondycji narodowej.

Andrzej Waligórski: Dreptakowisko. WL 1986. Str. 118. Cena 160 zł.

CYGANIE POLSCY

Tej książki nie ma potrzeby zachwalać, bowiem każde jej wydanie szybko znikało z księgarń. Mówię o „Cyganach na polskich drogach" Jerzego Ficowskiego. Obecnie ukazało się jej trzecie wydanie, poprawione i rozszerzone. W skrócie: jest to historia polskich Cyganów, compendium wiedzy o tej mniejszości narodowej tak bardzo zżytej z nami, wrosłej w krajobraz, że czasami przestajemy dostrzegać tę ich inność i odrębność. Jerzy Ficowski nie tylko podaje ich genealogię, mówi o kulturze, obyczajach, języku, ale zajmuje się gramatyką, a nawet ułożył słowniczek polsko-cygański.

Jerzy Ficowski: Cyganie na polskich drogach. WL 1986. Str. 426. Cena 450 zł.

COŚ Z FANTASTYKI

Naukowiec, informatyk, pisarz, laureat nagród międzynarodowych za twórczość w dziedzinie fantastyki naukowej Konrad Fiałkowski zajmuje coraz mocniejszą pozycję wśród autorów uprawiających literaturę science fiction. Właśnie ukazała się jego powieść „Homo divisus" już przetłumaczona na francuski, niemiecki, rosyjski i szwedzki. Akcja: człowiek poddany hibernacji budzi się po latach by stwierdzić, że jego świat nie istnieje, umarł wraz z nim, a on sam stanowi jedynie relikt minionych czasów.

Konrad Fiałkowski: Homo divisus. WL 1986. Str. 164. Cena 175 zł.

POLSKIE WYPRAWY ALPINISTYCZNE

Pojawił się — i natychmiast znikł — niezwykle ciekawy album poświęcony polskim wyprawom alpinistycznym. Jest to edycja znacząca nie tylko bowiem podkreśla same osiągnięcia (od 1924 r. datuje się pomysł zdobycia Mount Everestu uwieńczony sukcesem Wandy Rutkiewicz dopiero pół wieku później), ale jest dowodem nieograniczonych wprost możliwości człowieka w jego dążeniu do realizacji marzeń. Album zawiera dziesiątki zdjęć z polskich wypraw w Himalaje, zdjęć niezwykle pięknych, fascynujących i pełnych grozy. A wyrazy uznania należą się Zakładom Graficznym „Dom Słowa Polskiego" za staranne wydanie i oprawę.

Karakorum. Polskie wyprawy alpinistyczne. Wyd. Sport i Turyst. 1986. Str. 238. Cena 1850 zł.

WIERSZE MIŁOSNE

Coraz więcej wznowień dobrej poezji. To objaw pozytywny i pocieszający. Piszę to na marginesie trzeciego już wydania wierszy miłosnych Jerzego Harasymowicza pt. „Wiesz wszystko". O poezji pisać jest trudno, poezję należy przeżywać, kontemplować, wchłaniać całym sobą. A te kilkadziesiąt wierszy poświęconych miłości wymaga lektury uważnej, znuszа do intymnego przebywania w kręgu marzeń, oczekiwań i fascynacji.

Jerzy Harasymowicz: Wiesz wszystko. WL 1986. Str. 158. Cena 150 zł.

JASKÓŁKI I KRABY

W serii „Proza iberoamerykańska" ukazał się zbiór nowel?, opowieści?, rozprawek filozoficznych? kubańskiego pisarza José Lezamy Limy, uważanego przez niektórych za wybitnego twórcę i teoretyka literatury tamtego obszaru kulturowego. Próba krótkiej charakterystyki zawartych w omawianej książeczce utworów, jest niezwykle trudna. Są one zarówno wyznaniem literackiego credo, jak i dowolną igraszką powodującą deformację rzeczywistości, a także wyraźnego moralitetu.

Przekład Andrzeja Nowaka.

José Lezama Lima: Jaskółki i kraby. WL 1986. Str. 78. Cena 100 zł.

E. IW.

Rzeczywistość Witkacego

Korci mnie, żeby napisać parę słów o ostatniej premierze teatru „Studyjnego", ale i zniechęca nie dość dokładna znajomość tekstów Witkacego. Wprawdzie w swoich sztukach i innych publikacjach, jak choćby w powieści „Nienasycenie" czy też w swoim credo artystycznym, wyłożonym w „Czystej formie" jest on stosunkowo łatwy do zidentyfikowania zarówno dzięki oryginalnemu spojrzeniu artystowsko-rewolucyjnemu, jak i dzięki osobliwościom swojej stylistyki, ale obsesyjne nawroty pewnych wątków myślowych, wypowiadanych w wybujałej formie słownej utrudniają bliższe określenie, z jakiego utworu dany fragment tekstu pochodzi.

A przecież dla oceny programu „Poza rzeczywistością", którego scenariusz oparto na tekstach Stanisława Ignacego Witkiewicza nieobojętny jest ich stopień wierności wobec oryginału. I choć onże kabaretowy program rozpatrywać trzeba jako utwór sceniczny „sam dla siebie", chciałoby się jednak mieć pewność, w których momentach zwraca się do nas sam Witkacy, jest on bowiem ciągle wart głębszego poznawania.

Koncepcja sztuki zasadza się na przeciwstawieniu sobie dwóch odmiennych postaw. Jedną stanowi ideowo-artystyczny światopogląd Witkacego podbudowany surową moralistyką, wypowiadany przez Marka Cichuckiego, a drugą przekorna pochwała pewnej niefrasobliwości życiowej, jakby programowej bezideowości, wygłaszana często przez postacie jego sztuk, co przekazywała w swoich kwestiach (zawierających także obce wtręty) Brygida Dworok.

Otóż wydaje mi się nieobojętne dla wymowy całości, że Cichucki podaje namiętne i śmiertelnie poważne tyrady autora z żartobliwym dystansem jakby co chwila przypominał, że nie utożsamia się z tekstem, choć Witkacowskie prawdy o polskich przywarach narodowych brzmią i dziś przejmująco, a także ostrzegająco. Co prawda historiozofia autora jest silnie zabarwiona utopijnymi wizjami.

Aktorka natomiast całą swoją osobowością przeciwstawia się wszelkiej życiowej solenności i powadze, głosi nawet pochwałę nieodpowiedzialnego fantazjowania, czyli życiowej „blagi". Wskutek tego ów wątek „serio" — słabo broniony przez swego protagonistę, a jednocześnie jawnie wyszydzany, nie ma szans obronić swej racji istnienia, mimo iż właśnie ten ponury obraz społeczeństwa ma być prawdziwą rzeczywistością.

Nadaremnie gromi aktor swoją partnerkę: „Blago, ktoś cię przelicytuje!", z czasem i on zaczyna ulegać podszeptom wygodnictwa i indyferentyzmu moralnego, co spotyka się bodajże ze współbrzmieniem widowni (wśród której w tym teatrze przeważa młodzież). Myślę, że łatwiej i milej jest ludziom doczytać się w tekście Witkacego przytyku do jakże trudnej naszej rzeczywistości, niż poddać się gorzkiej refleksji o trwałości naszych negatywnych postaw i zabrać się do ich wypleniania — w sobie.

Przedstawienie ogląda się przez większą część z dużym zaciekawieniem i rozbawieniem, pod koniec jednak trochę traci ono na zwartości i klarowności. Zmasowane natarcie pokus, ucieleśnionych wdzięcznie w osobie Brygidy Dworok, obdarzonej bezspornym talentem estradowym (znakomite interpretacje piosenek, śpiewanych niezwykle czysto i muzykalnie, nośnym i dźwięcznym głosem — przy wzorowym wsparciu akompaniatorki) skruszyło więc niezłomność postawy aktora, broniącego — z dyskretnym komizmem — wyższych moralnych racji, co bezstronnie trzeba ocenić — jako zakończenie pesymistyczne, choć nieporównywalne to zgoła z tragicznym finałem życia Witkacego na drogach wrześniowej klęski.

Przesłanie intelektualne tego spektaklu ma wyjątkowo duży „ciężar gatunkowy", jak na kabaretową formę. A może to właśnie „nadkabaret", nad czym już się nie będę zastanawiał...

JERZY KWIECIŃSKI

„Poza rzeczywistością". Scenariusz na podstawie tekstów St. I. Witkiewicza — Zbigniew Mich. Muzyka — Wojciech Głuch, Andrzej Zarycki. Akompaniament — Joanna Pawłowicz.

„Poza rzeczywistością" wg St. I. Witkiewicza. Brygida Dworok i Marek Cichucki
Foto: Ramuald Sakowicz

Dobra, koszarowa komedia

Filmowi Janusza Majewskiego „C.K. Dezerterzy" wróżono już na zeszłorocznym festiwalu w Gdańsku duże powodzenie i wróżba okazała się trafna.

Humor filmu jest specyficzny: pikantny, rubaszny, nawet jakby wulgarny — rodzaj męskiego humoru rodem z koszar. Trudno o inny, skoro akcja rozgrywa się w środowisku żołnierskim, w cytadeli na rubieżach Austro-Węgier, na tyłach frontu I wojny światowej. W forcie wielonarodowa mieszanka Węgrów, Czechów, Słowaków, Polaków, Austriaków i Niemców, żołnierzy krnąbrnych, sprytnych, nie przystosowanych do służby, poddanych drylowi austriackiej armii. Z jednej strony zatem wesoła, międzynarodowa kompania pod nieformalnym przywództwem Polaka, freitra Kani, z drugiej — groteskowe sylwetki oficerów i podoficerów c. k. armii. Notoryczne łamanie przepisów, upór, przekora, niesubordynacja, przygody w domu „pod czerwoną latarnią", „niewybredne" żarty koleżeńskie, serie gagów i dowcipów oto treść pierwszej części filmu. W drugiej, w myśl tytułowej intencji, ucieczka i eskapada grupki dezerterów wzdłuż i wszerz Austro-Węgier: kłopoty z patrolami żandarmerii, zdobywanie pieniędzy i wiktu, przygody w budapeszteńskich hotelach i na dworcach przy trasie wiedeńskiej. Ta, po prostu opowiedziana historia składa się z wielu zabawnych zdarzeń, które wyznaczają rytm filmowej narracji i dramaturgii.

Czas historyczny, obraz pewnej epoki i sytuacji przywołany w filmie Janusza Majewskiego przywodzi na myśl świat powieści „Przygody dobrego wojaka Szwejka" J. Hašека. „C.K. Dezerterzy" są jednak opowieścią z typu anegdot łotrzykowskich, awanturniczych, prosto opowiedzianych z równomiernie rozłożonymi akcentami komicznymi. Przy czym — co ważne — mamy tu do czynienia z komizmem urozmaiconym, a więc i słownym, i sytuacyjnym, i rodzajowym, a także w warstwie samego obrazu — z montażem skojarzeniowym i karykaturą.

Mimo przyjętej przez reżysera konwencji komediowo-przygodowej bez głębszej refleksji — choćby szwejkowskiej — osiąga film Majewskiego, w sposób dyskretny, wymowę pacyfistyczną (choćby ostatnia scena opuszczenia koszar przez zagubionych i wystraszonych żołnierzy, którzy nie pojmują złożoności polityczno-militarnej sytuacji i cieszą się końcem wojny-maskarady).

Brak wyraźnej, rozbudowanej refleksji tego typu w filmie Majewskiego nie jest oczywiście zarzutem, a sam reżyser swoje możliwości subtelnej, psychologicznej analizy piętna wojny, klimatu tej epoki zaprezentował wcześniej w filmowej opowieści o losach porucznika austriackiej armii Kiekeritza w „Lekcji martwego języka" — filmowej adaptacji powieści A. Kuśniewicza (dodajmy dla porządku, że i „C.K. Dezerterzy" to w pierwowzorze znana powieść Kazimierza Sejdy).

Etykietka „film popularny" budzi często grymas u bardziej wymagającej części publiczności. Warto w tym miejscu jednak przypomnieć wypowiedź Janusza Majewskiego, notabene obecnego prezesa Stowarzyszenia Filmowców Polskich, który na pytanie o kierunki rozwoju polskiego kina, odpowiedział, iż należy rozwijać je wielokierunkowo, w ramach różnych funkcjonujących gatunków i odmian. Twórczość autora „C.K. Dezerterów" zdaje się tę tezę potwierdzać. Głośne filmy i adaptacje niezłej prozy jak: „Zazdrość i medycyna", „Lokis", „Zaklęte rewiry", czy wspomniana „Lekcja martwego języka", a obok sensacja sprzed lat — „Sprawa Gorgonowej", historyczny serial o królowej Bonie i film o losach pięknej Barbary Radziwiłłówny. A teraz komedia w czystej postaci, czyli „C.K. Dezerterzy" — która ma po prostu bawić i śmieszyć. I tak jest. A z zapełnionych widowni kin nikt nie dezerteruje.

ARKADIUSZ GRZEGORCZYK

„C.K. Dezerterzy", reż Janusz Majewski (prod. polsko-węgierska). (Wyk. Marek Kondrat, Zbigniew Zapasiewicz, Wojciech Pokora, Krzysztof Kowalewski, Edward Dziewoński, Zoltan Bezeredy i inni).

Produkcyjniak katastroficzny

Komfort psychiczny Amerykanów jest tak wysoki, iż główny cel kina i telewizji to rozrywka, a ewentualne przesłania muszą być kunsztownie opakowane.

Biznes i konkurencja nastawiają przemysł kinematograficzny na potrzeby odbiorców i sukces filmu czy serii filmów zależy od trafienia w gust widza.

Nikt nie wierzy artyście na gębę, iż jest wielki i jego dzieło uratuje świat. Większość polskich reżyserów wisiałaby u klamki producenta albo zmieniła twórcze ego.

„Sygnał ostrzegawczy" to daleki odgłos takich filmów jak „Tragedia Posejdona" czy „Płonący wieżowiec" — według socjologów odtrutki na ogólną pomyślność i dobrobyt. Mimo iż jest to robota bliżej nieznanego rzemieślnika Hala Barwooda, a luki scenariusza osłabiają wewnętrznie, były chwile, kiedy kuliłem się ze strachu.

Schemat filmu nie wykracza poza ogólnie ustalony kanon. Wskutek nieuwagi tajny ośrodek badań nad bronią biologiczną staje się grobowcem dla zamkniętych w nim ludzi i biologiczna amunicja atakuje układ nerwowy. Główny eksperymentator na czele grupy naukowców-psychopatów uzbrojonych w strażackie toporki likwiduje ekipy ratownicze i ściga jedyną nie oszalałą kobietę.

Napięcie narasta powoli, ale kiedy owa kobieta bez większego wysiłku rozwala łby wariatom, coś pęka i odtąd film robi się zabawny.

Wszystkie możliwe nieszczęścia zostały już przez Amerykanów sfilmowane i nurt katastroficzny znalazł się w okresie schyłkowym. Wydarzeń na świecie jakby zaczęło brakować albo wyczerpują stare szablony i Spielberg z zapleczem techników jest żyłą złota.

„Sygnał ostrzegawczy" nie należy do najlepszych z serii i przypomina wykopaliska z lat siedemdziesiątych. Być może reżyser chciał nakręcić ambitny film interwencyjny, ale przegięcia w scenariuszu, gdy na przykład naukowiec-alkoholik wymyśla na poczekaniu szczepionkę sprawiają, iż mimo wagi problemu śmiech walczy z zażenowaniem.

Jednakowoż film posiada walory przez sam fakt zasygnalizowania zjawiska. Według konwencji sporządzonej w 1972 roku w Londynie, Moskwie i Waszyngtonie i podpisanej przez 59 państw badania nad bronią biologiczną zostały zakazane i nakazano zniszczenie wszelkich jej zapasów. Niemniej słabością tej konwencji jest ogólnikowe potraktowanie zakresu i sposobów kontroli jej przestrzegania. „Sygnał ostrzegawczy" Hala Barwooda sugeruje, iż problem jest aktualny i kwestionuje sens zawierania podobnych konwencji.

TOMASZ KUBIK

Kronika kulturalna

26 STYCZNIA BR. w łódzkim oddziale ZLP odbyła się uroczystość **55-lecia pracy literackiej Wandy Karczewskiej.**

Wiceprezydent m. Łodzi **Jan Noske** przekazał Jubilatce listy gratulacyjne od prezesa Rady Ministrów prof. **Zbigniewa Messnera**, ministra kultury i sztuki prof. **Aleksandra Krawczuka** i prezydenta m. Łodzi **Jarosława Pietrzyka.**

KŁ PZPR reprezentował kierownik Wydziału Kultury **Stanisław Dyzbardis**, a Wydział Kultury Urzędu m. Łodzi jego dyrektor — **Ryszard Czubaczyński.**

W ramach „Wieczorów Autorów Łódzkich Oficyn Wydawniczych" 28 stycznia br. odbyło się w Klubie Nauczyciela spotkanie z Wacławem Bilińskim i jego wydawcą — przedstawicielami **Krajowej Agencji Wydawniczej.**

Wzbudziło ono duże zainteresowanie czytelników, wśród których książki tego pisarza zyskały dużą poczytność.

ZA książkę miesiąca uznano w grudniu baśń Wojciecha Żukrowskiego dla dzieci — **„Na tronie w Blabonie".**

Wydawcą jest **Młodzieżowa Agencja Wydawnicza.**

TEGO się nikt nie spodziewał... **Szlagierem** rynku księgarskiego w styczniu stał się „Koran" wydany przez **Państwowy Instytut Wydawniczy.**

Mimo siarczystego mrozu **warszawiacy od** świtu w dniu 22 stycznia szturmowali salon wydawniczy PIW przy ul. **Foksal**, gdzie pojawiły się w sprzedaży pierwsze jego egzemplarze.

FILHARMONIA Łódzka kontynuuje z nowym rokiem prezentację najwybitniejszych spośród najmłodszej generacji muzyków w cyklu **„Debiuty".**

I tak 30 i 31 stycznia br. wystąpił w FŁ utalentowany młody dyrygent z Krakowa, absolwent tamtejszego konserwatorium, **Paweł Przytocki.** Solistą był doświadczony już muzyk, laureat międzynarodowych konkursów muzycznych w Monachium i Dallas, wiolonczelista — **Roman Jabłoński.**

WSZYSTKICH łodzian wybierających się do stolicy zachęcamy do odwiedzenia warszawskiego **Muzeum Literatury.**

W ostatnich miesiącach wzbogaciło się ono o bardzo cenne nabytki i darowizny.

Pracownikom muzeum udało się zakupić nieznane prace malarskie **Witkacego** z lat 1917 i 1929, szkicownik i 70 rysunków z okresu młodości **Brunona Schulza** oraz meble z warszawskiego mieszkania **Władysława Reymonta.**

Dział rękopisów powiększył się o pokaźną ilość archiwaliów literackich wybitnych pisarzy współczesnych — między innymi o uznane za spalone podczas pożaru willi **Jerzego Szaniawskiego** fragmenty jego sztuki **„Kowal, pieniądze i gwiazdy"** oraz rękopis słuchowiska **„Zegarek".**

Trafiło również do **Muzeum Literatury** nieznane badaczom archiwum **Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej** z okresu pobytu pisarki w Anglii (w latach 1940—1948)

WIDEO zyskuje coraz większą popularność w ZSRR.

Według danych z listopada 1986 r. w 30 miastach radzieckich było czynnych 35 wideotek z 600 tytułami. 132 tys. osób obejrzało filmy w wideokabinach i wideosalach.

W Teatrze Studyjnym '83 im. Juliana Tuwima 31 stycznia br. odbyła się **premiera „Syreny z Tytana"** — spektaklu opartego na motywach znanej powieści Kurta Vonneguta.

Autorami adaptacji są **Zdzisław Jaskuła** i Jarosław Dunaj. Reżyseria — **Jarosław Dunaj**, inscenizacja — **Paweł Nowicki**, scenografia — **Stanisław Muras.** W przedstawieniu wykorzystano **wątki muzyczne Isaaka Dunajewskiego.**

W Teatrze im. Stefana Jaracza, 3 lutego br., odbyło się dwieście pięćdziesiąte przedstawienie baśni **Tadeusza Kijonki i Katarzyny Gaertner** pt. **„Krasnoludki, krasnoludki..."** w reżyserii **Włodzimierza Nurkowskiego.**

Cieszy się ona dużym zainteresowaniem wśród młodocianych widzów.

PRAWIE ćwierć miliona osób obejrzało wystawę **„4×Paryż"** w warszawskiej **„Zachęcie".**

Ocena ekspozycji budziła kontrowersje. Niektórzy krytycy uznali ją za największe wydarzenie kulturalne minionego roku.

„Zachęta" przygotowała już nową ekspozycję — tym razem **malarstwa hinduskiego.**

Polemiki • Listy • Opinie

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie" publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

Spór o przyrodę w Bełchatowskiem

Z Kopalni Węgla Brunatnego Bełchatów w budowie z siedzibą w Rogowcu otrzymaliśmy pismo:

W związku z pismem Ob. Redaktora z dnia 1986-12-11 raz jeszcze chciałbym poinformować o oburzeniu, jakie wywołały treść i ton artykułów red. Kubiaka i Tomaszewskiego wśród załogi Kopalni Węgla Brunatnego „Bełchatów".

W środkach masowego przekazu podkreśla się często olbrzymie znaczenie kopalni i elektrowni w Bełchatowie dla całej gospodarki krajowej. Robimy bardzo wiele dla ochrony środowiska naturalnego. Nasze oddziaływanie jest mniej niekorzystne niż to przewidywały naukowe prognozy i projekty oparte o te prognozy. Dlatego etykieta bezdusznego dewastatora środowiska naturalnego, jaką nam przyklejono w „Odgłosach" jest nie tylko nieprawdziwa, ale i niezmiernie krzywdząca.

Zamieszczoną na łamach nr 39 „Odgłosów" informację Kopalni na temat stanu i działań podejmowanych przez nas na rzecz ochrony środowiska uważam za wystarczającą. Uważam także, że kontynuowanie dyskusji czy polemiki na ten temat jest niecelowe.

Aby jednak nie być gołosłownym wobec tego o czym Ob. Redaktora informuję, przesyłam do wiadomości pana „Propozycję stanowiska załogi KWB „Bełchatów" wobec niektórych, szczególnie nierzetelnych informacji zamieszczonych w artykułach" — jaka na moje ręce została złożona.

O ile zgadza się pan ze stanowiskiem załogi, że wiele z zamieszczonych pod adresem Kopalni zarzutów jest nieprawdziwych i krzywdzących — byłbym wdzięczny za zamieszczenie na łamach „Odgłosów" stosownego na ten temat sprostowania.

mgr inż. STANISŁAW DROZDOWSKI

W odpowiedzi na powyższy list chciałbym wyjaśnić:

1. Toczy się niewątpliwie spór o przyrodę w rejonie Kopalni Węgla Brunatnego i Elektrowni Bełchatów. Jak w każdym sporze są dwie strony i różnej jakości i wartości argumenty. Nie jest to też spór bagatelny, gdyż jest to spór o przyszłość naszego kraju. A zatem w sporze tym powinny po obu stronach paść wszystkie racje. I jak do tej pory — a tak będziemy postępowali i w przyszłości, jeśli zajdzie tego potrzeba — nie odmawialiśmy i nie odmawiamy prezentowania stanowiska Kopalni czy Elektrowni. I to nie dlatego, że „atakowani" mają prawo do obrony, ale dla zasady, że trzeba powiedzieć wszystko, aby dojść do właściwych wniosków.

2. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że autorzy artykułów Roman Kubiak i Paweł Tomaszewski mieli dobre intencje, choć ulegając emocjom przerysowali prezentowany obraz. W sporze tak istotnym dla kraju musi być wymagana ogromna precyzja słowa.

3. Nie bardzo rozumiem, na czym miałoby polegać „zamieszczenie na łamach „Odgłosów" stosownego na ten temat sprostowania". Również nie rozumiem, dlaczego miałbym przyjąć pogląd, że „kontynuowanie dyskusji czy polemiki na ten temat jest niecelowe"? Przeciwnie, skoro zarzuty padły publicznie, publicznie trzeba sobie do końca wyjaśnić, czy były oparte na racjonalnych, sprawdzalnych argumentach, czy tylko autorom tak się wydawało? Im też przysługuje prawo do obrony i wyjaśnienia.

4. W tej sytuacji uważam za stosowne opublikować w całości nadesłany materiał oraz wyjaśnienie Romana Kubiaka i Pawła Tomaszewskiego. Ponieważ nadesłany materiał nie ma znamion sprostowania czy odpowiedzi, a jest polemiką z obu autorami artykułów o stanie środowiska w Bełchatowskiem, „Prawo prasowe" nie zabrania jednoczesnego opublikowania wyjaśnienia Romana Kubiaka i Pawła Tomaszewskiego. Czynię to również i dlatego, że na spotkaniu 5 grudnia 1986 roku w Elektrowni Bełchatów wielokrotnie pytano o źródła prezentowanych poglądów i zarzutów. Obaj autorzy, w swojej odpowiedzi, ujawniają źródła, z których czerpali informacje i dane.

5. Zobowiązani jesteśmy jeszcze odpowiedzieć na szereg zarzutów Elektrowni Bełchatów, co też uczynimy.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

PROPOZYCJA

stanowiska załogi KWB „Bełchatów" wobec niektórych szczególnie nierzetelnych informacji, zamieszczonych na łamach „Odgłosów" w artykułach Romana Kubiaka i Pawła Tomaszewskiego.

Drukowane na łamach sierpniowych i wrześniowych numerów w 1986 r. „Odgłosów" artykuły R. Kubiaka i P. Tomaszewskiego pt. „Świat, który musi zaginąć" — wywołały wiele dyskusji, nie tylko wśród stałych czytelników czasopisma. Ich echo dotarło aż za ocean, gdzie skwapliwie podchwycone zostało po to tylko, by najpikantniejsze w swej wymowie cytaty zamieścić w „Nowym Dzienniku" z 7 października 1986 r. Niech świat dowie się, jak to w Polsce w bezmyślny sposób niszczy się środowisko naturalne, grzebiąc żywcem niemalże wszystko co żyje.

Tymczasem tym, którzy bezpośrednio uczestniczą w budowie bełchatowskiej odkrywki — myśl o wydobyciu jak największej ilości węgla nie przesłania oczu i rozumu na tyle, by nie wiedzieli, że pewne niekorzystne zjawiska ta inwestycja w środowisku wywołuje i nie zastanawiali się nad tym, jak im przeciwdziałać czy usuwać. Nikt nie protestuje, gdy się o tym mówi i pisze.

Rzecz jednak w tym, by tego typu problemy przedstawiano w prasie w sposób obiektywny, poparty ze strony autorów gruntowną analizą tematu, nie zaś informacjami zdobytymi w opłotkach wiejskich zagród. Bo jeśli zanim Panowie Redaktorzy poczynili wywiady ze swoimi rozmówcami — uświadomili im krzywdę wyrządzoną przez Kopalnię w tak pięknej literacko, a zarazem przerażającej formie, to nic dziwnego, że wycisnęli z ich oczu strugi łez, co tak chętnie podkreślają Dla nas zrozumiałym się teraz stało, dlaczego podczas pobytu w Kopalni nie kwapili się zbytnio do zgruntowania całości zagadnień związanych z niełatwą pracą służb ochrony środowiska. Z udzielanych informacji najchętniej zaś wyławiali to, co najłatwiej dało się obrócić przeciwko nam.

Ton artykułów — napastliwy, budzący grozę i przerażenie — był dla nas wszystkich szokujący. Uznaliśmy zatem za konieczne — w geście nieśmiałej samoobrony — zwrócić się z prośbą do Redakcji „Odgłosów" o opublikowanie naszej informacji, przybliżającej czytelnikowi przyczyny, cele i efekty działania zarówno dyrekcji, jak i załogi Kopalni w dziedzinie ochrony środowiska.

Informacja ta, zamieszczona w nr 39, nie położyła jednak kresu dalszym dyskusjom i artykułom. Ich wydźwięk krzywdzi nie tylko budowniczych Kopalni, lecz także w „swoistym świetle" stawia działalność całego resortu i instytucji ochrony środowiska w Polsce. Jesteśmy zwolennikami zdrowej krytyki, lecz to, co zaprezentowali red. Kubiak i Tomaszewski — jak mieliśmy okazję się przekonać — dostarczyło przede wszystkim dobrej pożywki „naszym przyjaciołom".

Dlatego też raz jeszcze — już z pewnego dystansu czasu — chcielibyśmy zająć stanowisko wobec problemów przedstawionych przez obu autorów w „krzywym zwierciadle".

„ODGŁOSY" NR 31 Z 2.08.1986 r.

Efektowny tytuł, bulwersujące podtytuły i wszystko bardziej groźne i czarne niż gdziekolwiek indziej. Bełchatowski Okręg Przemysłowy źródłem wszelkiego zła. Nawet niegroźne w Łodzi spaliny samochodów — tutaj są toksyczne, asfalt — to „gangrena", „wzdłuż szosy sterczą kikuty martwych albo właśnie umierających drzew" — gdzie taką szosę znaleźli Panowie Redaktorzy? „Trupioszare igiełki opadają na ziemię..." — przerażające. Ale to jeszcze nie lej depresyjny, „jeszcze nie od zabójczej siarki" „To od spalin" — oświadczają autorzy na szczęście pod tytułem „Wątpimy zgodnie". My też wątpimy.

Następny horror. Wawrzkowizna — „Zbaczamy z drogi u stóp gigantycznej inwestycji, by znaleźć się w... ośrodku wypoczynkowym", „...w sosnowym rachitycznym lasku...", „nad sztucznym zalewem" (a sulejowski to zalew naturalny?), na dodatek „sztuczne kwiaty w wazonach...", „I wspaniały widok na dymiące kominy". Cóż, zgoda, że bez kominów byłoby tu ładniej. Ale jakoś wczasy w tym ośrodku są atrakcyjne i dla pracowników kopalni i dla gości... nawet znad Adriatyku (który nam się też bardziej podoba). Jedno tylko pozytywne stwierdzenie „nawet ryby w wodzie". Ale dalej znowu horror... „Do betonowego koryta Widawki zrzuca się zimne wody. W zimnych wodach i ściekach na betonowym dnie nie chce tętnić biologiczne życie".

Dziwne to prawdy, gdyż:

— te zimne wody nie zamarzają w najtęższe mrozy, a te ścieki wszystkie instytucje kontrolujące zaliczają zgodnie do co najmniej II klasy czystości wód powierzchniowych, czyli nie gorszej niż w zbiorniku sulejowskim, który gasi pragnienie szanownych redaktorów;

— biologiczne życie w kanałach odprowadzających wody z kopalni rozwija się tak bujnie, że kilkakrotnie rozpisywaliśmy konkurs racjonalizatorski na urządzenie do mechanicznego czyszczenia kanałów z glonów i wodorostów zarastających je tak intensywnie, że uniemożliwiały spływ wody. Mamy więc okazję zaprosić do tego konkursu autorów artykułu i dr Kurowskiego.

Widawka poniżej kopalni jest jedną z nielicznych, to fakt, lecz jedną z najczystszych rzek w Polsce. Na krótkim co prawda odcinku. Potem rzeka Rakówka dodaje oczyszczone ścieki z Bełchatowa i Woli Krzysztoporskiej, a dalej wpływają do niej nie oczyszczone ścieki z mleczarni, rzeźni itp. — na szczęście dla Widawki niezbyt licznych.

„Drzewa ustąpiły miejsca... taśmociągom, koparkom... i zwałowisku". „Pełzające zwałowisko zasypuje asfaltowe drogi i zagajniki, bo nie ma czasu na właściwe przygotowanie terenu..." A co właściwie Panowie rozumieją pod pojęciem „właściwe przygotowanie terenu"?

Naszym zdaniem, teren jest wtedy przygotowany właściwie, gdy zwałowisko — jak to ma miejsce w KWB „Bełchatów" — nie pełznie, lecz zachowuje swoją stateczność. Stary asfalt zwałowisku nie przeszkadza, a zagajniki wycinają na nasze zlecenie leśnicy, czasem nawet z Limanowej. Panowie Redaktorzy zauważyli zatem fakty nie istniejące, natomiast zagajników, które wyrosły na zwałowisku — jakoś nie zauważyli. Zieleń zrekultywowanego zwałowiska zepsułaby przecież ten jednolicie brudnoszary kolor, jaki autorzy potrafili tu wyłącznie dostrzec. Ludzkiej pracy, myśli i wysiłku też nie warto było pokazywać.

Cóż, za Atlantykiem by tego nie kupili. Pan doktor Kurowski z pomocą dzielnych swych rycerzy walczy o środowisko intensywnie je na łamach opłakując. Zastępy uczonych: profesorów, docentów, doktorów z szeregu instytutów naukowych i uczelni (przykro nam, że nie z Łodzi), dokładających wszelkich starań, by co zniszczone odtworzyć i to nie w formie rachitycznej — nie zasługują nawet na wzmiankę. Dąb Kurowskiego — to jest to.

Nawet śmieci jest tu więcej niż gdzie indziej. „Beton wylany do rowów, ropa i smary spuszczone w korzenie drzew". A już szczególnie toksyczne były „dokumenty rozchodowe z pieczątkami kopalni". (Szkoda, że to miało miejsce dawno temu. Dziś wymienilibyśmy je na najwartościowszy z papierów).

Być może, że o wysypiska śmieci walczą leśnicy. Oni walczą, a my je wybudowaliśmy, sporządzając wcześniej wymaganą przepisami dokumentację i uzyskując niezbędne zezwolenie władz wojewódzkich. To składowisko znajduje się na południowym przedpolu zwałowiska i zostanie przez nie zasypane. Nie wkładamy przy tym uroczystych szat kapłanów ekologicznych. Po prostu, koparki i sprzęt ciężki nie lubią żelbetu, a taśmy przenośnikowe żadnego żelastwa, poza tym nie lubimy pracować na śmietnisku.

Autorzy, być może za swoimi niezbyt rzetelnymi informatorami, stwierdzają, że... „Dotychczas nie wiadomo jak oszacować straty powstałe w wyniku oddziaływania leja depresji. Prawodawcom zabrakło wyobraźni". Nie należy obrażać prawodawców Mieli nie tylko wyobraźnię, stworzyli nawet stosowny aparat wymiaru sprawiedliwości — Komisję ds. Szkód Górniczych, które orzekają w sposób w czasach reformy gospodarczej dotkliwy. Istnieją też stosowne organa ścigania. Problemem jest jednak godzenie sprzecznych interesów, a przeszkadza w tym również lej depresyjny — zdaniem niektórych tak wielki, że można w nim utopić wszystko. Wieloletnie zaniedbania, indolencję. Wskazywanie na kolegę — nie jest wynalazkiem kelnerów.

Zdaniem autorów „...Rachunek wydobycia węgla nie bierze pod uwagę kosztów degradacji środowiska". Oj bierze, bierze. Tylko, że płacimy go wszyscy. I górnicy, i redaktorzy. Ale górnicy w przeciwieństwie do Was — Szanowni Panowie — w tym środowisku żyją. I przykro im, że prąd wyprodukowany z wydobytego przez nich węgla służy do drukowania przyznać trzeba, z talentem napisanych, lecz wypranych z krzty chociażby obiektywizmu artykułów.

Trudno nam też zrozumieć, jaki to „skrzywiony sposób myślenia" chcieli autorzy wyprostować. Przedstawili bowiem obraz nierzetelny i tendencyjny.

„ODGŁOSY" NR 32 Z 9 SIERPNIA 1986 R.

Mniej tu konkretów — trudno o zarzuty. Można wzruszać się tym światem, można go żałować. Jednak ktoś kto przed rozpoczęciem odwadniania i budowy kopalni zdążył poznać ten teren i mieszkających tu ludzi — nie może jakoś wygrzebać z pamięci nikogo, kto żałowałby wtedy. Może nie mogli wyobrazić sobie zmian? Interesowało tych ludzi wtedy jedno. Kiedy nas wykupicie? I ogromny żal, jakby przeczucie dzisiejszej inflacji, że dopiero za lat 5 lub więcej. Cóż, w 1974—75 roku, mieliśmy wszyscy ogromne nadzieje.

Obraz z okolic Chabielic może warto jednak uzupełnić o istotny szczegół. Jeszcze nie pracują pompy odwadniające Szczerców, a lej depresyjny już tam jest. Autorzy stwierdzają, że „...po drodze nie widać prawie nic. Pola jak pola, lasy jak lasy i wsie jak wsie", a pola, lasy i wsie są tu także w leju depresyjnym kopalni. Widocznie jak się nie wie, że to w leju — to i szkody nie występują.

I te eufemizmy „naukowcy ostrożnie szacują..." Panowie! A któżby zaczynał budowę kopalni bez prognozy jej oddziaływania na środowisko? Należało wcześniej zapytać: jak i kto podejmuje takie decyzje. Po ostrożnych szacunkach naukowców zadziwiająca pewność autorów... „Będzie to oczywiście zabójcze dla całej flory". Czyli ave cezar!

I plony zmaleją nawet o 70 proc. Według kogóż to?

Informator autorów przesadził jednak, że odkrywka zajmie również Wolę Wydrzyną. Aż takie szerokie to złoże nie jest.

„ODGŁOSY" NR 34 Z 23.08.1986 R.

„Nawet szczury muszą odejść". Tytuł bulwersujący. Wymowa artykułu jest jednoznaczna. Można ją streścić jednym zdaniem: „Jest tu tak źle, że nawet..." I znowu ten koloryt lokalny, typowy dla prasowych krytyk. Bezduszni, zadowoleni z siebie urzędnicy i nieszczęśliwi, gnębieni przez kopalnię mieszkańcy świata, który musi ustąpić przed „brunatnym piekłem" (to taki „niezwykle sympatyczny" synonim kopalni). Autor w jednym z artykułów stwierdza jeszcze zdecydowanie: „A po lasach leżą miliony".

„ODGŁOSY" NR 37 Z 13 WRZEŚNIA 1986 R.

„Znamię węgla brutalnego".

Poglądy anonimowego pana Antoniego. Pan Antoni nie musi znać szczegółów budowy. Pan Redaktor Kubiak mógłby jednak przed napisaniem artykułu spytać: jak się mają poglądy pana Antoniego do rzeczywistości. Nie pisałby wówczas, że rolnik wziąłby kredę — tylko górnicy nie chcą mu jej dać. To kopalnia od chwili stwierdzenia występowania kredy usiłowała przekonać rolników, że trzeba ją brać i rozsiewać na pola. Niestety, kopalnia nie mogła dostosować wydobycia węgla do rozwoju świadomości miejscowego rolnictwa. Uwierzyło, że kreda jest dobra, gdy się praktycznie skończyła. Gdy było jej w bród — nie było chętnych, mimo reklamy w prasie i bezpłatnego rozdawania.

Dziś zaś, gdy na parę lat się skończyła (bo będzie znowu w 1992 r.), Pan Redaktor, czy też jego rozmówca twierdzą: „...Ale kopalnia nie chce kredy tylko węgla".

Podobnie narzekają na brak wody. Może warto by sprawdzić wpierw, gdzie brakuje wody z winy kopalni, bo tam dowozi się ją bezpłatnie. Obniżenie zwierciadła wody — to nie tylko lej depresyjny kopalni. Lepiej byłoby sprawdzić w dokumentach, jak długo czekali mieszkańcy poszczególnych wsi na wodę nie polegać na zawodnej ludzkiej pamięci. W Wiewiórowie uruchomiono wodociągi przed dojściem leja depresyjnego i to na parę ładnych lat.

I wszędzie na obszarze leja wodociągi wybudowała kopalnia, z wyjątkiem wsi, w których wodociągi były przed 1975 r. Na jakiej zatem podstawie autor stwierdza, że (z kopalni) „...płynęły obietnice" i że „zakasali chłopi rękawy i pokazali uczciwą robotę. I tak w obejściach wyrosły hydranty".

Nie dajmy się zwariować. Toż to taka sama prawda, jak stwierdzenie, że „...kanałami płynie chłodna, czysta woda... słona, do picia niezdatna". Jak się nie chce słuchać informacji z kopalni, można pisać nawet, że „Dawniej wodę zsyłał dobry Bóg i nie brał za nią grosza. A kopalnia wyciąga rękę..."

Jeśli o wodociągi chodzi — to kopalnia je buduje i przekazuje Wojewódzkiemu Zakładowi Usług Wodnych do eksploatacji. Eksploatacja niestety kosztuje. Nie demonizujmy. W końcu nawet beczki w gospodarstwach na obszarze leja, gdzie nie ma jeszcze wodociągu — są też własnością kopalni.

Na zakończenie należy jeszcze dodać, że w opublikowanej w numerze 39 „Odgłosów" wypowiedzi Kopalni — w wyczerpujący sposób udzieliliśmy fachowych informacji na temat działań podejmowanych w KWB „Bełchatów" w dziedzinie ochrony środowiska. Obecnie zaś, ustosunkowujemy się do konkretnych sformułowań zawartych w poszczególnych artykułach.

Prezentowane przez nas stanowisko dotyczy jednak wyłącznie uwag i zarzutów stawianych przez autorów pod adresem Kopalni.

WYJAŚNIENIE

Dziękujemy Dyrekcji Kopalni Węgla Brunatnego „Bełchatów" za podjęcie rzeczowej polemiki dotyczącej treści naszych publikacji o stanie i perspektywach środowiska naturalnego BOP. Czujemy się zobowiązani udowodnić, że zaprezentowane przez nas dane i fakty nie były — jak twierdzi Kopalnia — *„informacjami zdobytymi w opłotkach wiejskich zagród"*, lecz pochodzą z udokumentowanych badań naukowych oraz materiałów instytucji i osób powołanych do czuwania nad stanem środowiska naturalnego — czyli ze źródeł bardziej kompetentnych niż strony niniejszego sporu.

1. Nie podważamy i nigdy nie negowaliśmy znaczenia bełchatowskiej kopalni i elektrowni dla gospodarki narodowej.

2. Nasze publikacje prezentowały punkt widzenia ekologów — co jasno wynika z ich treści — nie zaś stanowisko Dyrekcji Kopalni i Elektrowni. Wiadomo, że postawy te ze zrozumiałych względów są odmienne. Dlatego, aby Czytelnicy mieli możliwość skonfrontowania obu poglądów „Odgłosy" zamieściły również obszerny materiał autorstwa kopalnianych służb ochrony środowiska.

3. Oczywiście negatywne zjawiska w świecie przyrodniczym, o których pisaliśmy, nie są bynajmniej spowodowane złą wolą, czy złą pracą górników i energetyków. Brutalna ingerencja człowieka w naturalne środowisko, jaka bez wątpienia ma miejsce tam, gdzie powstaje wielka kopalnia odkrywkowa i opalana węglem elektrownia, musi wywołać także zmiany i zniszczenia szaty roślinnej, gleb, krajobrazu i powietrza. Nas interesowały właśnie te zmiany oraz perspektywy i naukowe prognozy obszarów zniszczeń w BOP. Chcemy bowiem znać koszty cywilizacyjnej ekspansji.

4. Niestety nie mamy żadnego wpływu na to, kto, gdzie i w jaki sposób wykorzysta treść naszych publikacji. Oświadczamy, że uczyniono tak wbrew woli i z wypaczeniem intencji autorów reportaży pt

„ŚWIAT, KTÓRY MUSI ZAGINĄĆ"

Odpowiadamy jedynie na merytoryczne zarzuty Kopalni, pomijając milczeniem ironiczne uwagi pod adresem naszym i wspierających nas swą wiedzą oraz wynikami wieloletnich badań naukowców z Uniwersytetu Łódzkiego.

I tak:

— Kopalnia twierdzi, iż rzeka Widawka, do której zrzuca swe ścieki i wody z odwiertów jest ciągle (na przykopalnianym odcinku) jedną z najczystszych rzek w Polsce.

Z posiadanych przez nas danych wynika, że Widawka była do 1973 roku jedną z najczystszych rzek środkowej Polski. W latach 1981—1982 woda Widawki odpowiadała już tylko II i III klasie czystości, a okresowo na pewnych odcinkach uznano ją za pozaklasową (dane Ośrodka Badań i Kontroli Środowiska w Piotrkowie Trybunalskim).

Łącznie z wielokilometrowym, wyłożonym betonem i folią sztucznym korytem, Widawka nie toczy już wód I klasy czystości. W latach 1978—1983 ubyło Widawce 32,7 km wód II klasy, natomiast aż o 51 km zwiększyła się długość występowania wód III klasy czystości („Ochrona Środowiska i gospodarka wodna 1986", GUS, Warszawa, wrzesień 1986 r.).

— Prawdą jest, że kanałami odwadniającymi płynie czysta woda. Ale ogrom tej wody jest tracony bezproduktywnie.

Prof. dr hab. Jerzy Bednarczyk, dyrektor pionu badawczo-doświadczalnego Centralnego Ośrodka Badawczo-Projektowego Górnictwa Odkrywkowego „POLTEGOR" we Wrocławiu, w wywiadzie udzielonym miesięcznikowi „Aura" powiedział: *„Pompujemy pięć metrów sześciennych wody na sekundę. Część tej wody pobiera elektrownia, a resztę stanowi woda I klasy, kierowana do Widawki. Widawka prowadziła dawniej jeden metr sześcienny wody na sekundę, a teraz pięć metrów sześciennych na sekundę.*

Pytanie: *— Czy woda tracona jest bezproduktywnie?*

Odpowiedź: *— Tak. Wody jest dużo, można by nią zasilić całą Łódź, ale te dwie inwestycje — zbiornik w Sulejowie i „Bełchatów" — rozminęły się w czasie.* („Aura" nr 11 z 1983 roku.)

— Podtrzymujemy twierdzenie, że w betonowym korycie Widawki nie chce tętnić biologiczne życie.

Zdaniem naukowców: *„Betonowy kanał, którym płynie Widawka przez tereny kopalni, ze względu na szybki przepływ wody i brak jakichkolwiek kryjówek, nie sprzyja utrzymywaniu się w nim ryb. Wyraźne zmniejszenie różnorodności fauny jest charakterystyczne dla środowisk poddanych stresowi — w przypadku Widawki było nim przede wszystkim całkowite zniszczenie naturalnego podłoża na przestrzeni ok. 20 km biegu rzeki".*

I dalej:

„Poważna dewastacja, jakiej poddano rzekę na odcinku przepływającym przez tereny kopalni i elektrowni, sprawiła, że w ugrupowaniach zwierząt nastąpiły zakłócenia niekorzystne z punktu widzenia przyrodniczego. Polegają one na zmniejszeniu ich różno-

Polemiki • Listy • Opinie

rodności i występowaniu niewłaściwej struktury liczebności gatunków" („Zmiany w środowisku przyszłego BOP", PWN, Warszawa — Łódź 1985).

— Sprawa zwałowiska.

Z informacji Nadleśnictwa Bełchatów wynika, że leśnicy nie zawsze nadążają z wycięciem drzew na przykopalnianych terenach, stąd właśnie m.in. sprowadza się w tym celu drwali aż z Limanowej.

Nie przeczymy, że zwałowisko jest rekultywowane, ale na razie w ogólnym bilansie strat i zysków jest to pozycja o minimalnym znaczeniu. Natomiast o tak radośnie przedstawianym w niektórych pismach pomyśle, by na szczycie zwałowiska uprawiać zboże, mamy nie najlepsze zdanie. Podobnie jak „Przegląd Techniczny" (nr 3 z 1983 roku) *„pachnie nam to prokuratorem"*, choćby ze względu na koszty produkcji owego zboża.

— Zarzucono nam bezzasadność twierdzenia, że w rachunku kosztów budowy i eksploatacji zagłębia nie uwzględnia się wielu strat w środowisku naturalnym.

Przy uwzględnieniu tzw. operatu szacunkowego strat w drzewostanie lasów powstałych na skutek działalności kopalni i elektrowni w Rogowcu, nie uwzględniono np. szkodliwego oddziaływania leja depresyjnego, gdyż aktualne przepisy nie podają zasad takiego szacunku. Informację tę można uzyskać w Biurze Urządzania Lasu i Geodezji Leśnej w Radomiu, oddział w Łodzi.

— Kopalnia pyta, czyim zdaniem plony na odwodnionych i zasiarczonych glebach w strefie ekologicznego zagrożenia mogą zmaleć — jak napisaliśmy — nawet o 70 proc.

Według badań wstępnych przeprowadzonych przez Instytut Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa w Puławach, spadek plonów zbóż okopowych należy już szacować na 10—15 proc. Zaś straty w produkcji ubytków zielonych wynoszą ok. 30 proc. (materiały II Zjazdu Geografów Polskich — Komitet Nauk Geograficznych PAN). Pamiętać jednak należy, że bełchatowska inwestycja znajduje się jeszcze na etapie budowy.

Z informacji uzyskanych w Urzędzie Gminy Kleszczów wynika, iż spadek plonowania użytków zielonych na gruntach położonych w pobliżu kopalni już w 1985 roku znacznie przekroczył prognozy, w niektórych przypadkach zbliżając się nawet do granicy 70 proc.

W „Przeglądzie Technicznym" (nr 3 z 1983 roku) czytamy: *„Rzeczywisty wpływ obniżenia zwierciadła wód podziemnych na wilgotność gleb, wielkość plonów i stan lasów, a także ludzką kondycję — nie został jeszcze dostatecznie wyjaśniony, mimo prowadzonych stale badań. Niepokoić jednak musi absolutny brak spójności prowadzonych badań i koordynacji prac. Optymizm badań prowadzonych przez samą kopalnię i elektrownię nie znajduje na ogół potwierdzenia w doświadczeniach Stacji PAN w Łodzi i Piotrkowie"*.

— Kopalnia ironizuje z przedstawionych przez nas opisów „dzikich" śmietnisk w okolicznych lasach, gdzie pomiędzy drzewa wyrzucane są tony niewątpliwie kopalnianych odpadów. Informujemy, iż jesteśmy w posiadaniu dokumentacji fotograficznej rzeczonych miejsc.

„NAWET SZCZURY MUSZĄ ODEJŚĆ"

Przypominamy, że w reportażu przedstawiono zarówno punkt widzenia mieszkańców wsi Kuców, jak i punkt widzenia Kopalni skąd więc zarzut o brak obiektywizmu?

A że sam tytuł jest bulwersujący... Czy to źle?

„ZNAMIĘ WĘGLA BRUTALNEGO"

Zarzut pierwszy: Kopalnia twierdzi, że usiłowała przekonać rolników do rozsiewania kredy pojeziornej na zakwaszonych polach. Winą za postępującą degradację gleb obarcza niską świadomość miejscowego rolnictwa.

Zacznijmy od przyczyn. W „Rzeczypospolitej" z lipca 1986 roku czytamy: „Bełchatowski Okręg Przemysłowy nie tylko zabiera wodę, ale także w poważnym stopniu zanieczyszcza środowisko. Systematyczne włączanie do eksploatacji kolejnych bloków energetycznych, to narastające zagrożenie dla gruntów ornych, na które spada coraz więcej związków siarki zakwaszających glebę. W woj. piotrkowskim 80 proc. gleb wymaga intensywnego wapnowania. Potrzeby są niemałe — 142 tys. ton wapna rocznie, a w ubiegłym roku wysłano zaledwie 35 ton". W tej samej publikacji wypowiada się przewodniczący Komisji Rolnictwa, Gospodarki Żywnościowej i Leśnictwa Wojewódzkiej Rady Narodowej w Piotrkowie Trybunalskim — Stanisław Banaszek. Stwierdza on: *„Podczas jednej z sesji WRN padł wniosek o gospodarcze wykorzystanie kredy pojeziornej, która znajduje się w warstwie nakładu wydobywanego przez kopalnię. Nasza komisja ponawia ten wniosek przy każdej okazji. Gra jest warta świeczki. Zasoby kredy szacuje się na ok. 25—30 mln ton. Gdyby kopalnia chciała oddzielić kredę od reszty urobku, można by zaopatrzyć w nawozy wapniowe nie tylko Piotrkowskie, ale i kilka sąsiednich województw"*.

Zarzut drugi: Kopalnia radzi, że *„Lepiej byłoby sprawdzić w dokumentach, jak długo czekali mieszkańcy poszczególnych wsi na wodę, niż pisać polegając na zawodności ludzkiej pamięci"*.

W pracy dr Marka Górskiego z UŁ, pt. „Prawne uwarunkowania powstania inwestycji bełchatowskiej", czytamy: *„W pierwszym etapie (do końca 1980 roku) oddano do użytku osiem wodociągów o łącznej długości sieci podstawowej 397,5 km, zabezpieczając dostawę wody dla 4898 odbiorców. Wszystkie wodociągi zostały przekazane do realizacji z opóźnieniem — od 9 (Wiewiórów) do 25 (Krzywanice) czy 30 miesięcy (Łękawa — Włodzimierz)"*. (Zmiany w środowisku przyszłego BOP, PWN, Warszawa — Łódź 1985).

Istotnie, w wielu przypadkach budowa wodociągów poprzedzała odwodnienie terenu spowodowane działalnością kopalni, lecz obowiązek takich prac nakłada na Kopalnię instytucja „szkód górniczych" (Dziennik Ustaw z 1961 r. nr 25, poz. 113).

Zarzut trzeci: Kopalnia czuje się urażona stwierdzeniem, iż chłopi zakasali rękawy i pokazali uczciwą robotę, by w ich obejściach stanęły hydranty.

Otóż — co potwierdzają bezpośrednie rozmowy z zainteresowanymi — w wyniku niedotrzymania terminów doprowadzenia do wsi wodociągów oraz w sytuacji permanentnego braku wody pitnej w gospodarstwach miały miejsce przypadki podjęcia czynów społecznych przyspieszających termin pozyskania życiodajnej cieczy.

Zarzut czwarty: Kopalnia podkreśla, iż buduje wodociągi, a następnie przekazuje je Wojewódzkiemu Zakładowi Usług Wodnych, a więc nie pobiera opłat za korzystanie z wody i nie ponosi odpowiedzialności za przerwy w dopływie i awarie sieci.

Oczywiście są to fakty bezdyskusyjne. Wszelako rolnicy utożsamiają swe częste kłopoty wiążące się z brakiem wody z wizerunkiem „wszechmocnej" Kopalni — co znalazło odzwierciedlenie w reportażu. Zagadnienie złego funkcjonowania sieci wodociągowej tak widzi radny Stanisław Banaszek: („Rzeczpospolita", jw.): *„Tymczasem Wojewódzki Zakład Usług Wodnych nie radzi sobie z tymi urządzeniami. Nie posiada odpowiedniej ilości sprzętu ani bazy warsztatowej i transportowej, a obsługuje sieć wodociągową dłuższą niż w Łodzi. Radni uważają, że kopalnia powinna partycypować finansowo w rozbudowie zakładu"*.

Zgadzamy się, że obraz stanu i perspektyw środowiska BOP przedstawiony w naszych artykułach jest pesymistyczny. Nie znaczy to jednakże, iż wszystkie prognozy muszą się sprawdzić. Należy je jednakże brać pod uwagę.

A jak widzą ten problem naukowcy — ekolodzy z Uniwersytetu Łódzkiego, których — trudniej niż nas posądzić o brak obiektywizmu i wiedzy? Oto krótki cytat z pracy prof. Romualda Olaczka i dr Krystyny Czyżewskiej:

„Potrzeba produkcji energii elektrycznej nie ulega wątpliwości. Jednak bardzo wysoka jest cena, jaką za nią musi płacić rolnictwo i leśnictwo na wielkim obszarze swojego areału produkcyjnego, który nie ma substytutu. Równie wysoka jest cena zaburzeń i zniszczeń środowiska przyrodniczego. Flora i fauna oraz układy ekologiczne tego obszaru stoją wobec perspektywy drastycznych zmian, które częściowo mają charakter niszczący, częściowo mogą mieć tworzący. Powstaną przecież nowe typy siedlisk i możliwości wielkich migracji organizmów. Dla nauk przyrodniczych jest to gigantyczny eksperyment na żywym ciele Ziemi. Eksperyment ten powinien być pilnie śledzony — ku pożytkowi nauki i ku przestrodze wobec technokratycznych zakusów rozpoczynania dalszych inwestycji tego rodzaju". („Acta Universitatis Lodziensis — Bełchatowski Okręg Przemysłowy jako obiekt badań", Łódź 1983).

ROMAN KUBIAK
PAWEŁ TOMASZEWSKI

WIĘZIENNY TRAMWAJ I „SUKA"

Do interesującego artykułu pt. „Więzienny tramwaj" („Odgłosy" z 10 stycznia 1987) jako jeden z pasażerów takiego tramwaju w 1943 roku, chciałbym dorzucić kilka uwag i refleksji:

1. Autor pisze, że siedziba gestapo znajdowała się przy obecnej ul. 19 Stycznia, zwanej wówczas Gardestrasse. W gwarze „häftlingów" z ul. Sterlinga nazywało się odwożenie do gestapo — holowaniem „suką" na Anstadta.

„Suka" — był to nieduży kryty samochód transportowy z ławeczkami po bokach wnętrza, zabierający jednorazowo 6-8 więźniów. Starałem się zwykle wsiadać pierwszy, zapewniając sobie „widok na wolność", a także wgląd w książkę wezwań gestapo, którą, nieświadomy tego podglądania, żandarm konwojujący otwierał czasem na tej krótkiej trasie. W ten prosty sposób dowiedziałem się bez trudu, kto prowadzi śledztwo w mojej sprawie i że sprawa jest taka więcej około gardła. Trzeba było widzieć zdziwione oczy gestapowca, gdy zagadałem do niego jeszcze tego samego dnia:

— Dlaczego mnie nie wypuszczacie? Przecież pan sam widzi, panie Jensch, że zostałem aresztowany przypadkowo „w kotle" i że nie ma przeciw mnie żadnych dowodów obciążających. Ale Herr Jensch (a może Jentsch) pozbawił mnie złudzeń, stwierdzając bez ogródek: „nie łudź się, my inteligentów nie wypuszczamy". Istotnie, gestapowcy byli mistrzami w wynajdywaniu dowodów i argumentów. I znalazły się one później, w proporcji wystarczającej do ferowania wyroku dożywotniego pobytu w hitlerowskim obozie koncentracyjnym.

2. Autor „Więziennego tramwaju" wspomina wożenie takim tramwajem po Łodzi Anglików. Jest prawdopodobne, że chodzi tu o angielskich jeńców wojennych zbiegłych z Fortu VIII w Poznaniu w 1941 roku, którzy przejściowo, w drodze do Generalnej Guberni, byli „przechowywani" przez polskie podziemie w Łodzi, a następnie przeprowadzeni przez granicę przez łódzką farmaceutkę, Marię Eugenię Jasińską. Po schwytaniu Anglików w Jugosławii aresztowano i skazano M. E. Jasińską. Wyrok na niej wykonano w Łodzi, w dniu imienin Führera — 20 kwietnia 1943 roku. W trakcie procesu, który przyniósł wiele wyroków śmierci (głównie w Poznaniu), jeńcy angielscy byli przesłuchiwani w Łodzi na okoliczność, gdzie i u kogo przebywali, a więc musieli być wożeni po mieście.

3. 24 sierpnia 1943 roku po otrzymaniu w gestapo wyroku „dożywocia" byłem wywieziony wraz z dużą grupą „häftlingów" politycznych z więzienia przy ul. Sterlinga. Posługiwano się przy tym składem kilku zwykłych pasażerskich wagonów tramwajowych, podstawionych pod więzienie. Wyjazd ten był anonsowany przez nas grypsami pisanymi i rysunkowymi (np. ja „dałem cynk" w paczce z brudną bielizną, rysując lokomotywę z datą). Jednym z dowodów na to, że transport ten nie był tajemnicą, może być widok z tramwaju, w momencie odjazdu, kobiety, stojącej w oknie parterowego domku tuż przy więzieniu, trzymającej się za głowę w dramatycznym geście rozpaczy.

Tramwajem zawieziono nas najpierw na Gdańską (ale nie do więzienia dla kobiet), do jakiejś dużej łaźni, a następnie na dworzec Kaliski. Tutaj ścisnęły się serca wynędzniałych „häftlingów", ale i uradowały zarazem na widok bliskich i najbliższych. Żandarmi za łapówki okazali się dobrymi wujkami i pozwolili na przekazanie paczek żywnościowych. Po wielomiesięcznej głodówce mogliśmy wreszcie najeść się do syta. Dostałem aż 2 paczki, a w każdej po jednej buteleczce aptecznej nalewki miętowej. Po rozcieńczeniu kawą, już w pociągu, otrzymaliśmy całkiem niezłą namiastkę trochę przyostrej w smaku „miętówki". To pozwoliło zapomnieć na chwilę o smutnej rzeczywistości. I zrobiło się raptem wesoło i gwarno. Wtedy do wagonu wszedł jeden z konwojujących nas żandarmów, mocno tą wesołością zaniepokojony, i zapytał, czy zdajemy sobie sprawę dokąd jedziemy?

Wagę tego pytania uświadomiłem sobie dopiero podczas „gorącego" powitania nas przez SS-manów z ujadającymi psami na dworcu kolejowym w Mauthausen i obfitych „poczęstunkach" kolbami karabinowymi, których nie szczędzono nam aż po „gościnne" bramy słynnego obozu zagłady.

H. P.
(Nazwisko i adres znane redakcji)

SPROSTOWANIE

W tekście Włodzimierza Korpeckiego (nr 4, str. 12) złośliwy chochlik zmienił jeden wyraz i przez to sens całego zdania. Prawidłowo powinno być: „Niestety, braki aklimatyzacyjne spowolniły atak szczytowy".

POWIEŚCI POLSKIE NAD NEWĄ

Związki literatur Polski i narodów ZSRR są długie i bogate, podobnie jak związki i przyjaźnie pomiędzy pisarzami obu tych krajów. Niejeden raz na tych łamach pisałem o recepcji polskiej literatury w ZSRR przytaczając opinie czołowych tłumaczy, ludzi zasłużonych w propagowaniu dzieł pisarzy polskich nad Wołgą i Newą. W większości więc są to sprawy znane.

Łódź literacka od lat także jest reprezentowana wśród narodów ZSRR, wystarczy wymienić nazwiska Wiesława Jażdżyńskiego, Tadeusza Chróścielewskiego, Macieja Józefa Kononowicza, Jerzego Wawrzaka. Dobrze to świadczy o środowisku literackim naszego miasta, o randze jego pisarstwa, wreszcie o serdecznych związkach, jakie są pomiędzy poszczególnymi pisarzami Łodzi i Związku Radzieckiego.

Powyższe uwagi nasunęły mi się w związku z otrzymaną z Leningradu książką noszącą nadtytuł „Powieści pisarzy polskich" a zatytułowaną „Szczęściarz". Zawarto w niej utwory czterech polskich autorów: wspomnianego „Szczęściarza" Wojciecha Żukrowskiego, „Awarię" Wiesława Rogowskiego, „Linię" Jerzego Wawrzaka oraz „Sztorm" Zbigniewa Domino. Jest to starannie edytorsko wydany tom w oprawie kartonowej i sygnowany „Lenizdat 1986". We wstępie wydawca zaznacza, że pomieszczone w książce powieści „mogą dać radzieckiemu czytelnikowi pojęcie o współczesnej prozie PRL", co jest o tyle nieścisłe, iż wszystkie te utwory ukazały się u nas bodaj parenaście lat temu. Jednakże są one zapewne charakterystyczne dla powojennego nurtu tak zwanej literatury zaangażowanej.

Na szczególną uwagę zasługuje jednak „Linia" Jerzego Wawrzaka. Otóż parę lat temu w Moskwie ukazał się, podobny do omawianego, zbiór utworów pisarzy polskich wydany przez wydawnictwo „Chudożestwiennaja Litieratura". Znalazły się tam: „Rdza" Wilhelma Macha, „Nagi sad" Wiesława Myśliwskiego i „Linia" Jerzego Wawrzaka. Teraz, po latach, „Linia" ponownie trafiła do zestawu prezentującego naszą powojenną literaturę. Tym razem tłumaczenia dokonał J. W. Niewiakin, wieloletni pracownik ambasady ZSRR w Polsce, który niejeden raz odwiedzał Łódź i naszą redakcję.

Orientuję się co nieco w sprawach związanych z przekładami i uważam, że „Linia" Jerzego Wawrzaka jest tu chyba ewenementem. Nieczęsto bowiem się zdarza, aby jeden tytuł był tłumaczony dwukrotnie w odstępie tak krótkiego czasu. Stąd wniosek, że książka ta w Związku Radzieckim cieszy się szczególnie dużą poczytnością, a wydanie jej przez „Lenizdat" jest wynikiem zapotrzebowania radzieckiego czytelnika na polską prozę współczesną.

EUGENIUSZ IWANICKI

BYŁ TAKI NAUCZYCIEL

W lutym mija 10 lat od śmierci wybitnego pedagoga Kazimierza Dobrowolskiego. Był on w latach 1954-1966 dyrektorem I Liceum Ogólnokształcącego im. Mikołaja Kopernika. Był życzliwy młodzieży, lubiany przez nią i szanowany przez kolegów nauczycieli. Żegnano go — gdy odchodził w 1966 roku na emeryturę — z wielkim żalem.

Warto pamiętać, że I LO im. Mikołaja Kopernika tylko dzięki niemu mieści się w starym, historycznym budynku, powstałym jeszcze w 1906 roku. W 50-lecie szkoły proponowano nowy gmach, ale odrzucił tę propozycję. Dla zachowania tradycji i ciągłości historycznej szkoły.

Czy nie warto byłoby teraz, przy okazji najbliższego jubileuszu szkoły, albo i bez takiego powodu, pomyśleć o ufundowaniu, wmurowaniu i odsłonięciu na gmachu szkoły pamiątkowej tablicy poświęconej Kazimierzowi Dobrowolskiemu.

CZESŁAW ŻYLIŃSKI

CZASEM JUŻ SIĘ NIE DZIWIĘ

Autobus pośpieszny z Łodzi Fabrycznej przez Jelenią Górę do Szklarskiej Poręby i Świeradowa odjechał punktualnie o godz. 7.00. Szczęśliwie dojechaliśmy do Jeleniej Góry. Przesiadka w kierunku Karpacza i Bierutowic. Przed kilkoma minutami odjechał autobus do Karpacza. Następny o godz. 15.05. W poczekalni tłok. Większość pasażerów oczekuje na dworze. Mroźno i chłodno. Nikt nie pomyślał o tym, by przystosować rozkład jazdy do przyjazdu autobusów dalekobieżnych, pośpiesznych.

Na domiar złego spikerka zapowiada opóźnienie autobusu. Wczasowicze z małymi dziećmi decydują się na jazdę taksówką. Nie mają innego wyjścia.

Przyjeżdża opóźniony autobus, ale kierowca oznajmia podróżnym, że zabiera wyłącznie pasażerów z biletami miesięcznymi. Jednak w końcu lituje się i zabiera kilka starszych osób, w tym i mnie. Ale biletów nie chce sprzedać. Jedziemy na gapę. Dziwne zwyczaje panują w Jeleniej Górze.

W Karpaczu przez sezon zimowy zatrudnia się setki palaczy c.o. Niemal każdy z ośrodków wypoczynkowych posiada lokalną kotłownię, mniejszą lub większą, bardziej czy mniej nowoczesną. Wszystkie dymią, zużywają setki ton koksu, węgla i miału. Ale w domach wczasowych zimno.

— Dlaczego pomieszczenia ośrodków nie są właściwie ogrzewane? — pada pytanie na zebraniu w DW „Chrobry".

— Po pierwsze dlatego — wyjaśnia kierowniczka — że mieliśmy dłuższą przerwę. Budynki stare, ulegają dewastacji. Po drugie u nas palacze są na wagę złota. Bardzo często nadużywają alkoholu i nie wywiązują się należycie ze swoich obowiązków, ale zwolnić ich nie mogę, bo kogo zatrudnię. Premię również muszę wypłacić, inaczej nie przyjdzie do pracy, znajdzie sobie inną...

— To wszystko prawda — odzywa się ktoś z sali. — Budynki są stare, częściowo zdewastowane, palacze snują się po ośrodkach niczym „święte krowy". Ale mnie niepokoi to, że ciepło ucieka przez nieszczelne okna i drzwi. Wiatr hula po pokojach, kaloryfery są nawet gorące, ale w pokoju zimno. Wystarczy zatrudnić dobrego stolarza, który by uszczelnił drzwi, wstawił dubeltowe okna, załatał dziury, przez które ciepło ucieka z pokoi.

— Muszę odpowiedzieć — mówi z żalem kierowniczka — że moja poprzedniczka walczyła przez dwanaście lat o zainstalowanie okien do jednego tylko budynku i nic nie wskórała. Wcześniej doczekała się zasłużonej emerytury.

Patrzę, słucham i nawet już się nie dziwię.

JAN WIŚNIEWSKI

DO MARCA 1987

Z uwagi na dużą ilość nadesłanych scenariuszy na ogłoszony przez Koło Naukowe Miłośników Sztuki Filmowej i Telewizyjnej Wydziału Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach konkurs otwarty, organizatorzy zmuszeni zostali do przesunięcia terminu rozstrzygnięcia konkursu na początek marca 1987 roku.

Organizatorzy przepraszają wszystkich zainteresowanych.

Zamaskowany człowiek czekał aż Barruetta wróci do sypialni, gdzie czekała na niego naga dziewczyna; gdy wejdzie w drzwi, wtedy znajdzie się na linii strzału...

(4)

Falcon, obłąkany cesarz narkotyków

Niedługo po incydencie w dyskotece Falcon zadzwonił do Christine.

— *Co słychać?* — zapytał serdecznym głosem. — *Jeśli dobrze zrozumiałem, jesteście skłóceni. Da się to jakoś naprawić?*

W przeddzień znów posprzeczała się z Barruettą.

— *W porządku* — odpowiedziała. — *Jedyny kłopot to to, że źle wyglądam. Nie ruszam się z domu.*

— *Dlaczego nie przyjedziesz tu, żeby trochę pogadać?*

Christine nie wierzyła w to, co Barruetta mówił jej o brutalności Falcona, ale wierzyła na tyle, by być ostrożna. Falcon zadzwonił do niej po raz pierwszy.

— *Dobrze... nie mogę prowadzić. Boli mnie noga. Co najmniej od tygodnia nie ruszam się krokiem z domu. Kręcę się po mieszkaniu.*

— *Nie przejmuj się tym. Wyślę po ciebie samochód.*

Dlaczego tak się zachowywał? Odmówiła, pożegnała go i odłożyła słuchawkę.

Później zadzwonił Barruetta, aby przeprosić ją z powodu sprzeczki. Powiedziała mu, że Falcon zaprosił ją do „Okrągłego Domu".

— *Nie jedź tam, nie jedź!* — wykrzyknął przerażony.

— *Czy rzeczywiście sądzisz, że zrobiłabym to?*

Barruetta wiedział, co się działo, gdy okazywało się słabość — a on był słaby. Nie chodziło tylko o scenę z Christine na dyskotece. Sam szamotał się od miesięcy pośród chmary gliniarzy i agentów. Śledzili go wszędzie, naprzykrzali mu się w domu, wydzwaniali. Nie pozostawiali mu chwili wytchnienia. Chwytając się ostatecznych środków podrzucał im jakieś resztki.

— *Pewien gliniarz z urzędu celnego prześladował mnie. Każdorazowo, gdy widział mnie na granicy, zatrzymywał i kazał mi się rozbierać, obszukiwał, wypytywał i przetrzymywał długie godziny. Ale nigdy nie powiedziałem nic o nas. Nie zamierzałem zabijać kury znoszącej złote jaja. Mówiłem mu o innych ludziach, o facetach z Sinaloa, o drobiazgach, o jakich usłyszałem w barach. Zadręczał mnie, wydzwaniał, był uparty... Ścigał mnie wszędzie. Nawet mój trzyletni syn, Eric, powiedział* „Powiedz, mamo, widziałaś tego faceta? Wciąż za nami idzie".

Nawet nie zadawał sobie trudu, by się kryć. Zmieniałem numer telefonu, nazajutrz już dzwonili. Miałem ich w dupie. Na siłę zacząłem podsuwać im jakieś błahostki. Ale od pewnego momentu już im to nie wystarczyło. Chcieli prawdziwej afery. Zanudzali mnie. Chcieli naprawdę kogoś wsadzić.

Pojechałem wówczas kupić marihuanę tańszą niż tę, jaką mogłem znaleźć w Tijuana. Kosztowało mnie to może 10 tysięcy dolarów. Przygotowałem samochód; zaangażowałem chłopaka, który był w meksykańskich Fedsach. Kiedy byłem jeszcze drobnym kupcem, kupowałem marihuanę u Fedsów: sprzedawali ją tanio, nic ich nie kosztowała. Przemyciłem marihuanę i powiedziałem do ex-Fedsa, by poszedł ukryć ją na parkingu. Pozwoliłem capnąć tego chłopaka, by uwolnić się od presji glin. Wiem, że wygląda to przerażająco, ale w tej robocie nie ma wyboru. Potem podsunąłem im innego faceta. Ale nigdy nie dałem im tego, czego naprawdę szukali. Wiedziałem, czego szukali. Chcieli Falcona.

Barruetta spotkał Carlosa w prywatnym burdelu Falcona. Usiedli przy barku w bibliotece. Pokoje ukryte za książkami były puste.

— *Musisz zająć się Christine* — zaczął Carlos. — *W grę wchodzi zbyt dużo pieniędzy i zbyt wielu ludzi, aby ktokolwiek zachowywał się w ten sposób. Wszystkich nastraszyła. Musisz sprowadzić ją do Meksyku, musisz coś zrobić, aby się jej pozbyć.*

Powiedziałem mu, że nie mogę. Byłem zrozpaczony. Próbowałem wszystkiego. Powiedziałem mu, że ona ma raka, że w każdym razie niedługo umrze, ale nie połknął tej historyjki. Zadowolił się powtórzeniem mi tego, co powiedział mu Falcon.

W prywatnym burdelu zadzwonił telefon. To był Falcon.

— *Bądź tu za dwie godziny. Mam z tobą do pogadania.*

— *O czym?*

Falcon odłożył słuchawkę.

Barruettę doszły plotki. Ludzie mówili, że Falcon chciał nie tylko głowy Christine, ale także jego własnej.

Panterą pojechał do hotelu El Conquistador; przyszedł po niego Rubi, z ochrony osobistej, ten, który spalił parę w Volkswagenie. Gdy Barruetta przybył do „Okrągłego Domu", Carlos i Falcon oczekiwali go w wielkim salonie.

Falcon zaoferował mu porozumienie. Wszyscy zachowywali się przyjacielsko. Mówili o ciężarówkach-cysternach, o ranczach i wyładunku. Potem Falcon powiedział:

— *Chodźmy do pokoju.*

Barruetta usiadł na okrągłym łóżku pod sufitem pokrytym lustrami. W dobrym towarzystwie.

— *Christine* — powiedział krótko Falcon.

— *I co?*

— *Posunęła się zbyt daleko, mój stary. Organizacja chce się jej pozbyć, i to szybko. Ona jest kompletnie stuknięta. Musisz coś zrobić. Sprowadź ją tu albo sam ją zabij.*

— *To moja żona, Antonio.*

— *Masz ją tylko sprowadzić, my zajmiemy się resztą. Nie po to jednak ściągnąłem cię tu. Jest inny problem.*

Falcon czekał przyglądając się Barruetcie.

— *Jaki problem?*

— *Naszą organizację* — powiedział Falcon zaciągając się dymem — *opuszcza się jedynie z medalem.* — Wystarczył moment, by Barruetta zrozumiał. Medal przyznany pośmiertnie.

— *Nie powiedziałem nic na nasz temat.* — powtórzył Barruetta.

— *Dobrze* — mówi w końcu Falcon. — *Staleś się dla nas zbyt niebezpieczny, mój przyjacielu. Christine także. Możesz wyjechać. Ale uwolnij się od swej żony. Wyślij ją tu. My się nią zajmiemy. I nie wracaj. Jedź do Mazatlán, zamieszkaj w moim domu, pływaj i odprężaj się. Ale tutaj nie wolno postawić ci nawet stopy. Rozumiesz? Nie wracaj. Nigdy.*

— *Zgoda, gdy tylko będę mógł, przyślę Christine.*

— *Radzę ci.*

— *Dziękuję* — mówi Barruetta. — *Dziękuję, że zrozumiałeś sytuację.*

Rubi odwiózł go samochodem do El Conquistador. Barruetta wdychał z rozkoszą wchodzące otwartymi oknami powietrze. Nigdy nie wyobrażał sobie, by wiejskie powietrze mogło być równie żywe i czyste.

— *Wyszedłem drżąc* — opowiadał Barruetta. — *Przez chwilę sądziłem, że już stamtąd nie wyjdę. Ale nie poddałem się. Nawet, gdy mnie zmuszali. Powiedziałem Christine, że Falcon chciał ją zabić, ale mi nie uwierzyła. Nie posądzała go, by był do tego zdolny. Pokłóciliśmy się i znów rozstaliśmy.*

Barruetta zamieszkał w domu znajdującym się na przedmieściu San Diego zwanym Mount Helix.

Gość „Okrągłego Domu" był podobny do Clinta Eastwooda. Wysoki, silny, zbudowany niczym obrońca rugby. Czuł moc, jaka emanowała z tych miejsc, i chociaż nie bał się, postanowił liczyć się ze słowami. Aby wejść, musiał przebyć ciężką drewnianą bramę i przejść obok trzech dobermanów i psa rasy duńskiej, zbrojnej ochrony, mnóstwa domowników. Inni z ochrony eskortowali go w milczeniu, gdy przechodził obok basenu, fontanny, tropikalnych kwiatów, sali gry, pokoi gościnnych, sauny, strzelnicy i, po minięciu krętych schodów, obok pokoju gospodarza, barku, jadalni i salonu.

Oczekiwano go w imponującym salonie wychodzącym na tereny golfowe i dachy Tijuana. Stał tam niski stolik inkrustowany bryłkami złota układającymi się dwulpółcentymetrowymi literami w nazwisko: Falcon. Człowiekiem tym był Michael Decker, najbardziej przerażający płatny zabójca w Stanach Zjednoczonych.

Falcon wszedł wielkimi krokami. Domownicy i ochrona osobista skłonili się przed nim, jak gdyby był królem-słońce. Miał około trzydziestki (faktycznie były to jego dwudzieste dziewiąte urodziny), przystojny, opalony, krótko ostrzyżony mężczyzna, noszący jasnobrunatny garnitur z pozłacanymi guzikami, jedwabną koszulę z obszernym kołnierzykiem w kształcie skorupki od jaja, Rolex z platyny, ozdobiony żółtymi diamentami, platynowy pierścień z niebieskim diamentem, złoty łańcuch na przegubie dłoni, żółte lakierki.

Zajął miejsce na kanapie i od razu przeszedł do sedna rzeczy.

— *Sądzi pan, że będzie mógł podjąć się tej sprawy?*

— *Mogę się podjąć wszystkiego.* — Położył akcent na „wszystkiego". I dodał: — *Zrobię wszystko, czegokolwiek pan zażąda.*

Człowiek, który powiedział do Falcona: — *„Mogę się podjąć wszystkiego"*, zbliżył się do domu Barruetty z taką ostrożnością i zręcznością jak ryś z bagien. Wiał lekki wietrzyk, tak właśnie jak było trzeba. Na tyle, by wywołać szum liści i zarośli i zagłuszyć hałas, jaki spowoduje, ale nie na tyle, by zmienić trajektorię kuli. Miał na sobie czarne spodnie, jakie noszą karatecy, czarną podkoszulkę, czarne trampki i smar maskujący na rękach i twarzy. Był niewidoczny.

Poruszając się szybko w chłodzie nocy majowej dotarł do domu bez przeszkód, minął fasadę, przeszedł obok drzewa yucca, kilku kaktusów i dwóch drzew kokosowych, ominął starannie żwirową aleję i ukląkł obok palmy za kamiennym murkiem. Garaż miał dokładnie po prawej stronie, okno kuchenne po lewej, a na wprost, ponad zarosłym trawą patio, znajdował się salon, którego szerokie okno zabezpieczone było kratą z kutego żelaza.

To był kosztowny, dobrze umeblowany dom, solidna kamienna budowla na wzgórzu. Był wewnątrz dwa razy, bez zaproszenia, krążył nocą po pomieszczeniach, widział Barruettę i dziewczynę, spokojnie śpiących w wielkim łóżku, prześcieradło unoszące się i opadające w regularnym rytmie oddechów zaspokojonych kochanków. Zauważył, że Barruetta chrapał. Podczas którejś z wycieczek zdecydował, że najlepszym rozwiązaniem byłoby oddanie jednego strzału przez okno salonu.

Tego wieczoru Barruetta zaprosił na kolację kilka osób. Było już po północy, gdy goście wyszli, a Barruetta i dziewczyna zaczęli przygotowywać się do snu. Salon łączył się z sypialnią. Ze swego miejsca człowiek w czerni dostrzegał wyciągniętą na łóżku nagą dziewczynę. Oglądała telewizję. Barruetta i ona żartowali i śmiali się.

Barruetta, w dżinsach i białej podkoszulce, przechodził wciąż przez salon idąc do kuchni. Ciągle jadł. Najpierw poszedł po piwo. Potem sandwicha. Dziewczyna nie jadła. Była bardzo pociągająca, niska, ale zgrabna, szatynka o ładnych piersiach. Barruetta podniósł się i wrócił do kuchni.

— *Tym razem, wystarczy* — powiedział do siebie człowiek w czerni. — *Gdy wyjdzie z kuchni znajdzie się na wprost.*

Miał magnum 357 Model 19 z lufą długości 10 centymetrów. Pewnie trzymał broń opierając łokcie o mur; pomiędzy dwoma krzyżującymi się na oknie salonu drążkami wymierzył w wejście do pokoju, skorygował odchylenie, jakiemu ulega przechodząca przez szybę kula. Broń była załadowana sześcioma 17-gramowymi pociskami.

Barruetta wyszedł z kuchni niosąc coś w filiżance. Wszedł do salonu, potem stracił nieco czasu na uchylenie drzwi pokoju, wyeksponował pełny profil w oknie. Otworzył usta mówiąc coś do wyciągniętej na łóżku dziewczyny, która odwróciła się, by mu odpowiedzieć. Uniósł filiżankę z zamiarem skuszenia jej i wyjął łyżkę wypełnioną po brzegi lodami waniliowymi. Zbliżył ją do ust i wolno liżąc lody droczył się z dziewczyną. Śmiała się rozbawiona.

Drzwi sypialni eksplodowały. We wszystkich kierunkach poleciały drzazgi drewna, uderzyły dziewczynę, przeszyły łóżko. Ustawiony bokiem Barruetta osunął się na podłogę. Dziewczyna krzyczała klęcząc na łóżku i zakrywając dłońmi uszy.

Człowiek w czerni ruszył pędem; wystrzał zabrzmiał mu w uszach jednocześnie z krzykiem dziewczyny. Dobiegł do rogu ulicy, skręcił w lewo, dotarł do sadu i wskoczył do Datsuna 260 Z. Miał przygotowany ręcznik i słoik cold-cream. W dziesięć sekund uwolnił twarz i ręce od maskującego smaru.

Przebrał się szybko i już w spodniach i jasnej sportowej koszuli dotarł nie śpiesząc się do Sheraton Airport Inn, nie opodal wybrzeża. Życzył dobrej nocy dziewczynie z recepcji. Już wcześniej ją zauważył. Bardzo ładna. I ona też go sobie przypomniała. Gdyby ją zapytano, odpowiedziałaby prawdopodobnie, że był podobny do Clinta Eastwooda.

KONIEC

Z „Paris Match"
tłumaczył:
BOGDAN BANASIAK

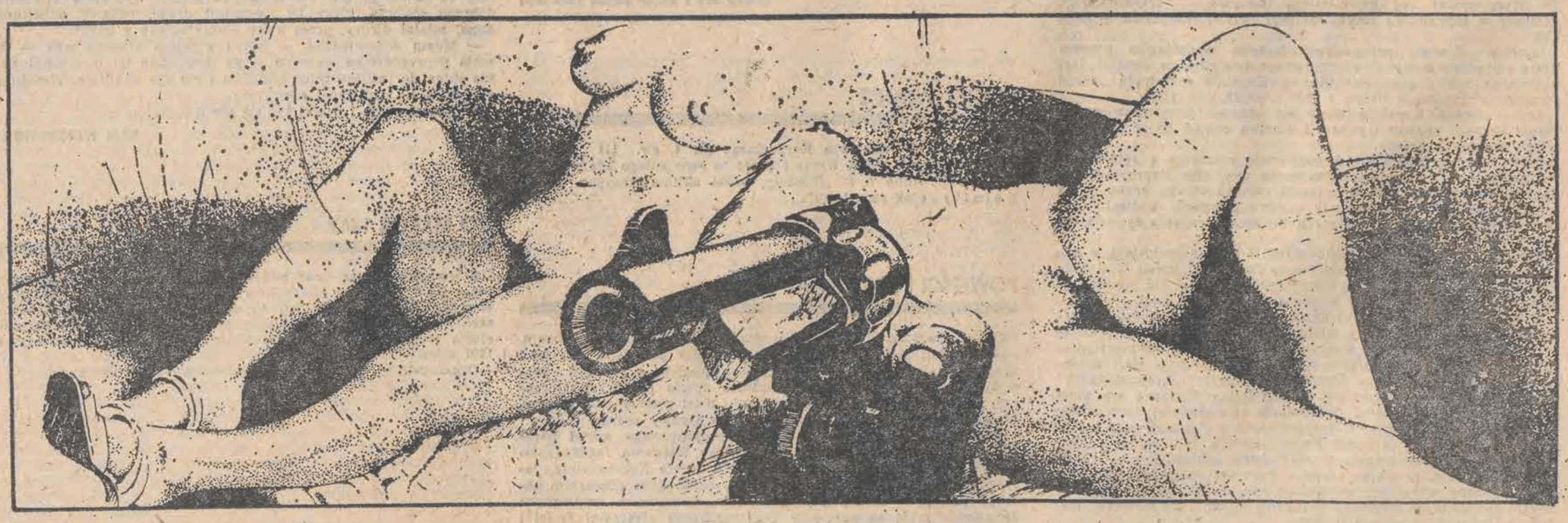

Rys. Janusz Szymański-Glano

Jak w Związku Radzieckim walczy się z plagą alkoholizmu. Pouczające!

Tama na wódczanej rzece

ROMAN KUBIAK

Taksówkarz ostro rusza z postoju, gdy pada hasło:
— Sklep z wódką.
Krytycznie spogląda na zegarek i nieco rezygnanckim tonem rzuca przez ramię:

— *Trochę za późno. Jest pięć po czternastej.*

— Czyli prawidłowo — spokojnie odpieram mentorski atak, ukojony wiedzą, że tutejszą prohibicję znosi słynna godzina czternasta. Godzina wspomnień albo szklana godzina — jak się mawia.

— *Nie moja sprawa* — nalega taksiarz uważnie obserwując mnie we wstecznym lusterku — *ale każdy wie, że pod sklepem trzeba być znacznie wcześniej. Już przed południem zawoziłem tam klientów. O tej porze można co najwyżej pooglądać sobie szczęściarzy, dla których wódki starczy. Albo plecy sto siedemdziesiątego dziewiątego optymisty z końca kolejki — dodaje z ironią.*

— Jak długo będziemy tam jechać?

— *Prawie dwadzieścia minut.*

Tym razem ja zerkam we wsteczne lusterko, by przyłapać w nim twarz żartownisia. Lecz oblicze kierowcy jest śmiertelnie poważne, co niechybnie zwiastuje jakieś grubsze nieporozumienie.

— Dlaczego aż dwadzieścia minut? — próbuję wyjaśnić. — Przecież prosiłem o kurs do najbliższego sklepu z wódką.

— *Najbliższy jest właśnie w starej dzielnicy za cerkwią, a następny sześć kilometrów dalej* — recytuje taksówkarz. — *Trzeci jest po tamtej stronie rzeki, otwarty dopiero na zachodnim przedmieściu... Mogę wyliczyć wszystkie* — kwituje z urazą w głosie.

— Wszystkie, to znaczy ile?

— *Osiem.*

— Tylko osiem monopolowych sklepów w takim wielkim mieście?!

— *No, jest jeszcze kilka punktów, gdzie sprzedają piwo. Po kufelku na głowę i do domu.*

Jedziemy centralnym prospektem miasta. Szeroką wielopasmową aleją wzdłuż obustronnego ciągu rozmaitych sklepów i domów handlowych. Migają witryny spożywczych, mięsnych, odzieżowych, magazynu mody, zabawek, kosmetyków, domu chleba, warzyw, książki. Pieszo, forsownym marszem, trzeba by na pokonanie tego handlowego tasiemca przeznaczyć najmniej godzinę. W tłumie jeszcze więcej. Tłum wiruje bezkresnym korowodem między setkami stoisk, wlewa się i wylewa szparami rozwartych drzwi, za którymi czeka wszelka pokusa: od guzika po kolorowy telewizor i pierwszy radziecki magnetowid, od pszennej bułki po bajeczny stos czekoladek i wielki jak młyńskie koło lodowy tort. Lecz w tym nieprzebranym gąszczu obfitości jeden towar od ponad roku jest nieobecny — alkohol.

W centrum miasta alkohol ma złe notowania. Wódka dla handlu nie istnieje, wino rzadko gości na półkach delikatesów, tylko stoiska z upominkami nieśmiało wystawia aptekarskich rozmiarów buteleczkę koniaku w cenie, która odstrasza skutecznie.

Zepchnięty na bruk peryferyjnych uliczek, eksmitowany z pokoleniowej tradycji, ze scenariuszy oficjalnych przyjęć i toastów, wyrzucony z koszyków przedpołudniowych sprawunków, alkohol ląduje daleko poza zasięgiem wzroku. Poza zasięgiem wyciągniętej ręki. By zamiast kusić, zniechęcał: trudem niepewnych poszukiwań, czasem traconym w kolejkach, ceną krzyczącą absurdem.

Tam, gdzie w śródmiejski pejzaż wrysowały się wódczane sklepy, a ich ściany pachną jeszcze gorzałą, dzisiaj miejsce eksmitowanych półlitrówek zajął nowy „lokator". Nowe szyldy zapraszają do sklepików z bezalkoholowymi napojami. Na starych regałach, które za długiego swego żywota uniosły pewnie morze wódki, stoją dwuszeregi niewinnych soczków. Soki jabłkowe, winogronowe, porzeczkowe, wiśniowe, w butelkach, szklankach, za piętnaście kopiejek, za dwadzieścia. Zamiast. Wody mineralne, wody sodowe, lemoniady, nektary. Zamiast. Nawet słodka brunatna ciecz z wypisaną „bukwami" etykietką pepsi-cola — do niedawna sztandar zgniłej moralności. Zamiast. Zamiast odtrąconego alkoholu, zamiast pijanego stylu życia,

ZAMIAST FLACHY OTĘPIENIA.

Wyjeżdżamy ze śródmieścia w pajęczynę brukowanych uliczek. Wiekowe kamienice prószą odpadającym tynkiem, wiatr kołysze poszczerbione bramy. Za skrzyżowaniem taksówkarz zwalnia nieco i ruchem głowy wskazuje zmotoryzowany patrol.

— *Już blisko* — komentuje. — *Milicja czuwa.*

Patrol zatrzymuje tylko pojazdy nadjeżdżające z przeciwka, to znaczy od wódczanego sklepu. Zagląda kierowcom w oczy, tych z ciężarówek bada jeszcze skrupulatniej...

— *Nawet pijany zając się nie prześliźnie* — wyrokuje taksówkarz tonem wytrawnego znawcy przedmiotu.

— Jakie są kary za jazdę po pijanemu? — pytam.

— *Najmniej sto rubli i pożegnanie z kierownicą.*

Tego sklepu nie można przegapić. Demaskuje go kolejkowy wąż wijący się pod murami sąsiednich kamieniczek. Kilkadziesiąt stłoczonych postaci. Sklepik nie jest piękny, a raczej obskórny. Strome schodki wiodą do mrocznego wnętrza, gdzie odór podłej wódki zbeltał się z mdłą wonią wilgoci. Na środku zabłoconej podłogi stoi drewniana lada. Po niej, niczym po taśmie produkcyjnej wędruje sznur jednakowych butli z jednako ponurą etykietą. Szkło płynie równiutkim rytmem ze skrzynki na ladę, z lady do ręki, z ręki do kieszeni. Płynie wedle machinalnego scenariusza, z którego życie wycięło wszelkie słowa. Bo słowa są zbędne. Scenariusz wygląda tak: przywieźli wódkę, wino i szampana. Każdy ma prawo kupić tylko jedno i jedną butelkę. Więc ci pierwsi biorą wódkę — póki starczy, ci drudzy wino — póki starczy, a ci ostatni liczą, że starczy.

— *Ile jest jeszcze wódki?* — gromko pytają ci drudzy i ostatni.

A ci pierwsi chóralnie wyliczają:

— *Jeszcze dwie skrzynki.*

— *Ostatnia!*

Wtedy kolejka faluje niepokojem, zaś w sklepiku trwa rytmiczne odliczanie: dziesięć dwadzieścia, dziesięć dwadzieścia, następny, następny... Dziesięć rubli i dwadzieścia kopiejek za pół litra wódki, to więcej niż dobra dzienna płaca.

Gruba ekspedientka rozdaje jak pokerzysta. Zerka na ręce i twarze „graczy". Na kasę, którą trzyma pod tłustą dłonią i na nieme oblicza, które przesuwają się wzdłuż lady. Kiedy wychwyci nazbyt młodą twarz, przerywa ceremonię:

— *Ten jest za młody* — wskazuje go palcem.

Wtedy wskazany miota przekleństwem, a jego znajomek uzupełnia życiorys młodziana:

— *Dorosły chłop, w domu baba i dwójka dzieciaków.*

— *Nie szkodzi. Musi mieć dwadzieścia jeden lat* — orzeka sklepowa. — *Tak nakazują nowe przepisy. Niech pokaże swój dowód.*

I wskazany wyciąga zza pazuchy zmięty dokument, a ogonkowa komisja odczytuje zeń, że osobnik ów ma prawie lat dwadzieścia jeden, ale...

— *Brakuje mu trzech miesięcy.*

Wówczas ci pierwsi chcą nagiąć nieżyciową ustawę, zaś ci ostatni twardo popierają prawo. Tak długo, aż zapadnie pojednawczy wyrok:

— *Niech młody kupi wino.*

Po godzinie albo po dwóch pustoszeje ulica. Właściwie należałoby powiedzieć, że kolejka znika po ostatniej skrzynce wina, gdyż czasu nie odmierzają tutaj wskazówki zegara, lecz opróżniane transporterki alkoholu. Więc ostatnia pusta skrzynka rozwiewa nadzieję. No chyba, że jakiś tajemniczy jegomość konspiracyjnym gestem zaprosi w mrok pobliskiej bramy, w której inny tajemniczy jegomość szepnie:

— Jest samogon...

POPROSIŁEM TYLKO O KAWĘ.

W knajpianej salce było nas dwóch. Tamten siedział przy narożnym stoliku i obracał w palcach wysuszone szkło kieliszka. Był mniej więcej w takim wieku, kiedy siwy włos amputuje marzenia o naprawie świata — albo siebie. Czułem jego badawcze spojrzenie.

Wypiłem pierwszy łyk kawy. Wtedy tamten wolno podniósł się z krzesła, przemierzył całą długość sali i zapytał, czy może się przysiąść.

— Proszę.

— *Synku* — zaczął bez ceregieli — *nie gniewaj się na starego, że taki z niego chuligan. Ale — zrozum — muszę napić się wódki. Mnie już więcej nie podadzą, bo swój przydział wypiłem. Tobie na pewno nie odmówią. A ja muszę się napić. Muszę — rozumiesz!*

Nie kocham alkoholu w żadnej postaci, nie jestem jego wiernym poddanym ani przygodnym kumplem. Ale wiem, co potrafi wyczyniać z człowiekiem.

— *Muszę — rozumiesz!*

— Chyba tak.

Zamawiam jedną wódkę. Stary zachłannie przechyla kieliszek i ociera zmarchatą brodę.

— *Wybacz* — powiada. — *Za słaby już jestem, żeby powalczyć z tym czortem* — nakrywa dłonią pusty kieliszek. — *Ona jest jak całe życie — wódka. Była ze mną na dalekiej północy, w okopach i później. Z nią niestraszny był wróg, tęgie mrozy i głód. Była, kiedy rodził się syn i umierał brat. Po prostu była. A teraz prawo mówi — dość! Tylko człowiek już za słaby...*

Wstał i poczłapał do innego stolika, gdzie ktoś poprosił tylko o kawę.

STRZELIŁY KORKI

I szampan chlusnął w długi rząd kieliszków. Było dokładnie osiem wystrzałów, a weselników było sześćdziesięciu, nie licząc pary młodej i muzykantów.

— *Niech żyją młodzi, niech w ich domu zamieszka pokój, jako i na całym świecie* — wzniesiono pierwszy toast, po którym skocznie zagrała kapela, a kelnerzy sprawnie zebrali opróżnione kieliszki i ukryli puste butelki.

Na długim biesiadnym stole pozostały skromne resztki dań i wszystkiego cztery gąsiorki wina oraz dwa samotne koniaki. Weselnicy ruszyli w tany. Tylko wujek Jegor w odświętnej marynarce z dwuszeregiem błyszczących orderów niesmaczną miną wodził po balowej sali. Skinął na kelnera i wtykając mu w dłoń zwitek banknotów, z wielkopańskim gestem rzekł:

— *Wino i wódka dla wszystkich!*

Kelner odskoczył jak oparzony.

— *Niestety* — bezradnie rozłożył ramiona. — *Przykro mi, ale nie wolno...*

Wujek Jegor z lekką wspomina dawne weseliska. Tutaj, w Mołdawii, krainie winem płynącej, gdzie sześćdziesiąt cztery gatunki przednich trunków dojrzewają w słynnych piwnicach.

— *Trzy dni i trzy noce trwał mołdawski bal* — opowiada. — *Stoły uginały się od jadła, wytaczano beczki wina, wódki też nie mogło nikomu zabraknąć. A teraz — wstyd siadać za takim stołem...*

Po drugim toaście pitym za dostatek młodej rodziny, podano mineralną wodę. Zbliżała się północ i dyskretnie wygaszano światła. Tak skończyło się mołdawskie wesele po nowemu.

STACJA METRA JEST JAK PUŁAPKA

z której nocny patrol „wyjmuje" ofiary alkoholu.

Foto: Grzegorz Gałasiński

Pierwszym eliminacyjnym sitem są wejściowe automaty, w szczelinę których trzeba trafić pięciokopiejkową monetą, by fotokomórka nie zagrodziła drogi. Dla trzeźwego to fraszka, a pijanemu nie wychodzi...

Dalej są schody. Długie i bardzo szybkie ruchome schody, na które trzeba stąpnąć pewnym krokiem, by nie utracić równowagi. Dla trzeźwego to fraszka, a pijanemu nie wychodzi...

Tych, których zawodzi drżąca dłoń i chwiejne nogi zataczają na ścianę, bierze pod ręce milicyjny patrol. Wprowadza ich do stacyjnego komisariatu. Tutaj na ławce siedzi już trzech: dwaj w średnim wieku gapią się w sufit, trzeci nieco młodszy głośno płacze.

— *Nie becz jak baba!* — grzmi ten z lewej. — *Który raz jesteś?*

— *Drugi.*

— *Więc zapłacisz „setkę". A mnie przyjdzie żegnać się z rodziną...*

WIECZOREM PRZY ŚWIETLE JUPITERÓW

grają piłkarze Dniepru Dniepropietrowsk z leningradzkim Zenitem. Konik, od którego kupuję bilet za rubla dwadzieścia, ostrzega przed rewizją.

— *Szukają butelek* — szepce, ciekawie przyglądając się mojej turystycznej torbie.

Bramę republikańskiego stadionu otacza milicyjny kordon. Bo są dwie przepustki na trybuny: karta wstępu i trzeźwość. Podchmielonego faceta, który pijacką szarżą chce sforsować mundurową zaporę, dwóch silnych kolesiów pakuje do taksówki, trzeciemu oddając niepotrzebne już bilety. Paru kibiców z mgiełką na oczach dobrowolnie rezygnuje z piłkarskiej uczty. Kordon jest bezlitosny...

Milicjant starannie obmacuje moją płócienną torbę. Grzebie w zawartości bezskutecznie poszukując wiadomego przedmiotu.

— *Chuchnij!* — rozkazuje.

— Odmawiam.

Mocne ramię wypycha mnie przed front zwartego tłumu, tam gdzie jest trochę więcej wolnej przestrzeni.

— Dokumenty!

Podaję paszport. Mundurowy głęboko zagląda mi w oczy.

— *Przepraszam* — zwraca paszport. — *Tędy proszę.*

Zimny wiatr hula po koronie stadionu, a piłkarze jak raz grają niemrawo, bez emocji. Anemiczny doping nie rozgrzewa nawet zamarzniętych dłoni.

— *Przydałoby się coś na rozgrzewkę* — z chytrą miną stwierdza zakapturzony młodzian.

— *Chyba termofor* — ripostuje ktoś z boku.

Zgrabiałymi palcami szukam paczki papierosów i na wietrze nieporadnie usiłuję zapalić zapałkę. Mój sąsiad z drewnianej ławy bojaźliwie przesuwa się na skraj sektora... Wypuszczam ciepły obłok dymu. Chwilę później megafon warczy nagannym tonem:

— *Obywatel z trzydziestego drugiego sektora zapomniał, że na stadionie nie wolno palić.*

Na moim bilecie jest wydrukowane: 32 sektor, 14 rząd.

Od kilkunastu miesięcy w Związku Radzieckim funkcjonują

SUROWE PRZEPISY USTAWY ANTYALKOHOLOWEJ.

W 1986 roku (od stycznia do listopada) o 46 proc. zmalała produkcja i sprzedaż wódek, a o 75 proc. zmniejszyła się podaż tanich win owocowych.

Zamknięto ponad połowę sklepów monopolowych.

Kilkakrotnie drastycznie podniesiono ceny napojów alkoholowych obniżając jednocześnie ceny odzieży dziecięcej.

W pierwszym półroczu 1986 r. wpływy budżetu państwa z tytułu sprzedaży alkoholu zmniejszyły się o 5,9 mld rubli.

Pierwszy rok walki z alkoholizmem przyniósł następujące rezultaty:

— o 30 proc. zmalała liczba wypadków przy pracy,

— o 25 proc. zmalała liczba wypadków drogowych,

— znacznie zmniejszyła się liczba przestępstw kryminalnych o pijackim podłożu,

— o ponad 30 proc. spadła nieusprawiedliwiona absencja w pracy,

— o ponad sto tysięcy zmalała liczba zgonów spowodowanych niewydolnością układu krążenia.

Jednocześnie poważnie nasiliła się spekulacja, kradzież i nielegalna produkcja napojów alkoholowych.

PRZEMYSŁAW ZUBIELEWICZ

(1)

Zabawa w śmierć

Silny i dotkliwy ból wyrwał Harry'ego ze snu. Przez długą chwilę leżał bez ruchu i wpatrywał się w sufit, podążał wzrokiem za czarną plamą powoli przemieszczającego się owada. Insekt metodycznie i bezmyślnie pochłaniał przestrzeń dzielącą go od sobie tylko wiadomego celu, a jego wyniosła obojętność przyprawiła Harry'ego o napad bezsilnej wściekłości. Gdyby tylko miał siłę wstać, spaliłby małego wędrowca w płomieniu zapalniczki, z pełnym satysfakcji uśmiechem słuchał dyskretnego skwierczenia unicestwianych w piekielnym ogniu tkanek. Gdyby tylko mógł wstać... Heroiczny wysiłek włożony w przekręcenie głowy i spojrzenie na stojący na nocnym stoliku budzik. Pięć po siódmej. Zaaplikowany przez pogotowie zastrzyk przeciwbólowy wystarczył na sześć godzin. Ćwierć doby cudownego spokoju i snu, dar bezcenny, którego zazwyczaj nie ceni się wcale. Jęknął. Dwa atomowe wybuchy bólu rozeszły się ognistą pajęczyną ze swych epicentrów na całe ciało. Zagryzł wargi i drżąc z wysiłku, czując spływającą w głąb ust ciepłą strużkę krwi, sięgnął po stojącą na stoliku fiolkę i wytrząsł na dłoń dwie pastylki, przełknął je. Umęczony umysł usłyszał wybuch histerycznego śmiechu. Najtwardszy zabójca w mieście. Niezniszczalny Harry. Harry Śmierć. Promieniowanie z dwóch atomowych lejów minimalnie osłabło i absurdalność sytuacji była w stanie dotrzeć do świadomości storturowanego człowieka. Harry zachichotał. I natychmiast pożałował tego, gdyż czujne wirusy błyskawicznie zareagowały na tę prowokację dwiema kolejnymi eksplozjami. Harry jęknął. Boże! Boże!!! Tyś stworzył człowieka?! Boże! Niebiański Sadysto, Niebiański Brakorobco!!! Chcę cię zabić! Ja, Harry Śmierć, najlepszy zabójca w mieście, nienawidzę zabijania. I ciebie też nienawidzę! JA CHCĘ CIĘ ZABIĆ!!!

Nie zasługujesz na to, by żyć nie zasłuaeeaachaejaarrrarr. Ból.dośćdośćdość.nigdywięcejnigdywięcejzabijanianigdywięcejwojnykwiatysąpięknebolibożeniszczyćchcęcięzabićachachachasamba-NewYorkbolinieeeeeeerrrrrrrR.

DLACZEGO???

Wirusowe zapalenie nerek jakiegoś tam rodzaju, od czegoś tam nietypowy przebieg. Harry Śmierć wił się z bólu, a połknięte pastylki powoli zaczynały działać i ciepłe deszcze zmywały radioaktywny pył, a w skorupie jego ciała pozostały tylko dyskretnym ćmieniem przypominające o sobie dwa leje. Leżał przez kilka minut radując się tym stosunkowym spokojem, a potem wstał ostrożnie, rozważnie planując każdy ruch, i powlókł się do kuchni nisko pochylony niczym starzec cierpiący na lumbago, zrobił sobie herbatę. Zjadł dwa krakersy, wziął antybiotyk i jeszcze jedną tabletkę przeciwbólową. Załatwił się, oddawanie moczu było czynnością idiotycznie bolesną, bardzo źle świadczącą o projektancie ludzkiego ciała. Harry przez dłuższą chwilę stał potem pochylony nad muszlą klozetową, był krańcowo wyczerpany, miał już tego wszystkiego więcej niż dość, przez moment, myślał, jakże rozkosznie byłoby dać się zamknąć w trumnie, chłodnej, przyjaznej i kojącej ból, słyszeć opadającą ziemię, a potem nie słyszeć i nie czuć już nic. I wtedy Harry usłyszał dzwonek u drzwi. Nie zareagował, lecz natarczywy dźwięk powtórzył się. I raz jeszcze. I drugi. I trzeci. I jeszcze, i jeszcze. Harry zaklął bezgłośnie. Dzwonek rozległ się po raz kolejny, potem stojący pod drzwiami stracił cierpliwość i wcisnął guzik nie puszczając go po chwili, ciągły i przenikliwy gong świdrował bez ustanku świadomość, wżerał się w otępiałą skorupę czaszki. Harry pomyślał bombę wodorową sporych rozmiarów, i, wciąż nisko pochylony i poruszając się irytująco powolnymi ruchami, poszedł otworzyć drzwi. Gdyby tylko miał dosyć energii, zrzuciłby natręta ze schodów nie zważając na jego tożsamość. A kiedy ujrzał w wizjerze twarz szefa, Briana Waltersa, opanowała go nieodparta chęć przezwyciężenia słabości i wprowadzenia zamiaru w czyn.

Wyraz twarzy Waltersa zwiastował kłopoty. Wymalowana na niej była niezwykła dla tego człowieka rozterka i niepewność, połączone ze zwykłym mu opanowaniem i niechęcią wobec wszelkich ustępstw i kapitulacji. A mimo to widać było, że Walters jest niezwykle zdenerwowany, wyczuwało sie to w każdym jego ruchu. Samo w sobie było to niezwykłe i dziwne, mogło zaciekawić każdego — każdego z wyjątkiem Harry'ego w dniu dzisiejszym. Harry'ego nie interesował powód wizyty szefa, nie interesowało go w ogóle nic, chciał jedynie spokoju i wiedział, że ma prawo tego spokoju oczekiwać. Harry stanął chwiejnie w drzwiach i nie wykonał najmniejszego gestu manifestującego chęć wpuszczenia Waltersa do mieszkania. Szef przełknął nerwowo ślinę, spróbował się uśmiechnąć, lecz wyszedł z tego tylko jakiś nieokreślony grymas. Tak czy inaczej jego wysiłek trafił w próżnię, bowiem Harry nawet nie usiłował podnieść na niego wzroku.

— Cześć, Harry — odezwał się. — Jak się czujesz? — Jego twarz zdradzała, że sam uważa to pytanie za idiotyczne. Wygląd Harry'ego mówił sam za siebie, wszelkie komentarze były zbyteczne.

— Wpuść mnie. Muszę z tobą spokojnie porozmawiać, to bardzo ważna i pilna sprawa.

Zabójca nie odpowiedział ani nie poruszył się.

— Harry!

— Nie mamy o czym rozmawiać, chwilowo jestem do niczego i nie mam nawet siły mówić. Chcesz zobaczyć zaświadczenie lekarza? — Harry mówił cicho, a ton jego głosu zdradzał cierpienie, lecz nawet w tym stanie nie potrafił pozbawić swych słów stanowczości. Gdy się odzywał, automatycznie zmuszał do słuchania.

— Nie, nie chcę. Chcę...

— To do widzenia. Miło mi, że zechciałeś mnie odwiedzić, i tak dalej, ale nie, nie czuję się dobrze. Zadzwonię, gdy tylko będę wiedział, kiedy wrócę do roboty.

Harry wolnym ruchem spróbował zamknąć drzwi, ale Walters przeszkodził mu przestawiając nogę przez próg. Pchnął silnie drzwi i Harry skrzywił się z bólu.

— Muszę z tobą porozmawiać — szef stwierdził z naciskiem, słysząc jego głos w tej chwili nie można było mieć najmniejszych wątpliwości, co do tego, kim jest. Brian Walters, dyrektor najlepszej agencji zabójców w mieście. Harry posłał mu długie i pełne nienawiści spojrzenie, w jego zmrużonych oczach na sekundę zagościła Śmierć. Każdego niemal, kto napotykał taki wzrok Harry'ego, ogarniał niepohamowany, paniczny lęk, lęk często uzasadniony. Harry długo pracował nad takim spojrzeniem, nie miało ono nic wspólnego z jego myślami, było po prostu znakomitym orężem psychologicznym pozbawiającym ludzi woli oporu.

Walters nie zareagował, zdawało się, że nawet tego nie dostrzegł. Pokonany Harry cofnął się w głąb mieszkania nie czekając na szefa, który starannie zamknął za sobą drzwi.

Siedli i przez chwilę przyglądali się sobie. Harry przybrał beznamiętny wyraz twarzy, a Walters wpatrywał się w niego uporczywie, taksująco, jakby chciał przeniknąć do najskrytszych myśli podwładnego i jednocześnie ocenić stan jego zdrowia. Westchnął cicho, jakby doszedł do niewesołych wniosków.

— Dostaliśmy zlecenie, Harry, najkłopotliwsze w całej historii — oznajmił.

Harry wzruszył lekko ramionami dając do zrozumienia, ile go to obchodzi. Miał w tej chwili i agencje, i wszelkie zlecenia głęboko w dupie, chciał spać.

— Ty to musisz zrobić, Harry, nikt inny nie wchodzi w grę, i zaraz wszystko ci wyjaśnię, sam wtedy zrozumiesz. Bronimy się co prawda przed przyjęciem zlecenia, lecz wygląda na to, że będziemy do tego zmuszeni.

Harry przymusił się do uśmiechu. Poziom radiacji stopniowo wzrastał. Marzył o pastylce przeciwbólowej i położeniu się do łóżka, może jeszcze udałoby mu się zasnąć.

— Jeżeli przyszedłeś tu opowiadać mi dowcipy, kiepskie zresztą, to wiedz, że doprawdy nie jestem w odpowiednim nastroju.

— To nie jest żaden dowcip, Harry, to właśnie ty musisz to zrobić. Nikt inny nie będzie pewnie w stanie wykonać zlecenia, lecz nawet nie o to tu chodzi. Myślę, że nikt inny nie powinien tego zrobić.

— Tyś chyba zwariował. Nic mnie nie obchodzi, o kogo i o co tu chodzi. Niech to będzie sam Bóg i zaoferuj mi milion, nie ruszę palcem. Spójrz na mnie, człowieku. Jestem do niczego, młodziak na pierwszej robocie sprawi się lepiej. Nie byłbym w stanie wykończyć nawet dwustuletniego i zniedołężniałego staruszka.

— Wysłuchaj mnie, Harry, to...

— Nie widzę potrzeby dalszego słuchania, usłyszałem wszystko, co trzeba, i mówię: nie! Rób, co tylko chcesz, nie zmienię decyzji. Możesz mnie nawet zwolnić. — Harry uśmiechnął się. Wiedział, że Walters nigdy nie zdecydowałby się na zwolnienie go. Był jednym z najlepszych na świecie, jeśli nie najlepszym. Każda agencja przyjęłaby go z otwartymi ramionami.

Walters nie odwzajemnił uśmiechu.

— Człowieku, pomyśl trochę — Harry z wysiłkiem podniósł nieco głos. — Weź Dicka, jest nie gorszy ode mnie. Rąbnie ci samego prezydenta z pięćdziesięcioprocentową gwarancją powodzenia. To najlepsza rada, jaką mogę ci dać. Jeśli ta robota jest naprawdę tak ważna, a Dick jest akurat zajęty, to każ mu przerwać realizację jego obecnego zlecenia i zastąp go kimś mniej doświadczonym, najwyżej trzeba będzie klientowi zapłacić odszkodowanie za spieprzenie zadania, trudno, zdarza się, nam i tak rzadziej niż innym agencjom. Skończyłem, nie mam już nic do dodania.

— Harry! — Jakaś nuta desperacji w głosie Waltersa po raz pierwszy przebiła się przez otoczkę bólu i przemęczenia i dotarła do świadomości zabójcy. Powoli zaczynał on rozumieć, że musiało się wydarzyć coś naprawdę niesamowitego i jednocześnie groźnego, jeżeli szef dał się aż do tego stopnia wyprowadzić z równowagi.

— No? — pół jęknął, pół zapytał Harry.

— Nie mogę wysłać Dicka, gdyż to właśnie o Dicka tu chodzi.

Harry nie zrozumiał, pytająco spojrzał na Waltersa.

— Co o Dicka chodzi? — zapytał niezbyt może jasno, lecz najjaśniej jak mógł w swym obecnym stanie.

Walters wstał i podszedł do chorego mężczyzny, spojrzał mu prosto w oczy i powiedział z naciskiem, powoli, starannie akcentując każde słowo: — To właśnie Dicka mamy zabić.

Te słowa wstrząsnęły Harrym. Na kilka sekund na jego obliczu zagościło niedowierzanie, by ustąpić pełnemu przerażenia zrozumieniu. Walters nawet nie zwrócił uwagi na to, że był pierwszym od wielu wielu lat człowiekiem, który ujrzał, jak Harry Śmierć traci panowanie nad swoją mimiką.

Przez może minutę w pokoju zalegała cisza, cisza absolutna i niemal namacalna, pełna niewypowiedzianego napięcia narastającego z każdą upływającą sekundą. I z każdą sekundą do świadomości zabójcy coraz jaśniej docierał sens usłyszanej wiadomości. I Harry nagle poczuł, że musi zburzyć tę ścianę milczenia i panicznie szukał jakichś słów, które nadawałyby się do wypowiedzenia, lecz stwierdził, że jego umysł zaprzestał działania i pogrążył się w letargicznym szoku, nie mógł znaleźć nie tylko niczego rozsądnego, co mógłby powiedzieć, ale i w ogóle czegokolwiek, zdało mu się, iż zapomniał znaczenia słów.

— To właśnie Dicka mamy zabić — powtórzył Walters. I na krótką chwilę Harry zapomniał o bólu, o cykających wewnątrz ciała licznikach Geigera, lecz ta ulga nie wywołała wdzięczności. Przez moment zastanawiał się, czy to nie jest przypadkiem dalszy ciąg koszmaru choroby, czy nie majaczy w gorączce.

Walters zaczął mówić krótkimi, urywanymi zdaniami, pośpiesznie, jakby chciał jak najszybciej wyrzygać ze swego umysłu całą rozterkę, uczynić Harry'ego wspólnikiem udręki i tym samym podzielić ją na pół.

— Dziwne, że nigdy dotąd nie było takiego przypadku. To całkiem legalne. Zgodne z prawem. Sprawdziliśmy to, zbadaliśmy ze wszystkich stron. Nigdzie nie stwierdzono, że nie można zlecić agencji zabicia zabójcy. Nawet jeżeli to jej pracownik. Było to tak oczywiste, że nikt wcześniej nie potrafił na to wpaść, wszyscy tylko złorzeczyli na bezkarność płatnych morderców i te pe. Facet, zleceniodawca, ma wszystkie zaświadczenia, badania psychologiczne też w porządku — i powiem ci, że ma nawet niezły powód — Dick zabił mu żonę. Nie możemy się do niczego przyczepić. Mu...

— Zaczekaj — przerwał zabójca, głos miał cichy i stłumiony bólem, nie było w nim tej mu zwyczajnej, zmuszającej do lęku i posłuszeństwa ostateczności, lecz wciąż pozostawała przywołująca uwagę moc i stanowczość. — Coś tu nie gra. Dlaczego zabiera się do Dicka, a nie do gościa, który zlecił robotę?

— Pewnie nawet nie wie, kto to był. Wiesz przecież o tym, że zleceniodawca zawsze pozostaje anonimowy, chyba że sam zechce się ujawnić. Agencja pod żadnym pozorem nie ma prawa do ujawnienia nazwiska klienta. I nigdy nie słyszałem, by któraś to zrobiła, a my nie uczynilibyśmy niczego takiego na pewno.

Harry przez chwilę rozważał posłyszane informacje, świadomość istnienia dwóch żarzących się ognisk w plecach przeszkadzała w skupieniu. Nie mówiąc słowa wstał i poszedł po pastylkę, połknął ją i popił jakby bez udziału woli, automatycznie, chłodny, analityczny umysł bez ustanku intensywnie pracował. Walters przyglądał mu się z nieskrywaną nadzieją, wiedział, że im poważniejszy kryzys, tym bezcenniejszy okazywał się Harry, człowiek-komputer, człowiek, który zawsze potrafił wyczarować z rękawa jakiegoś asa.

Harry zapalił papierosa, nie pomyślał nawet o poczęstowaniu gościa. Walters nie poczuł irytacji, w milczeniu sięgnął po własną paczkę.

— Gadałeś z tym gościem? — zapytał Harry.

— Nie. O czym niby miałbym z nim gadać? Żeby wycofał zlecenie?

— Właśnie o tym. Przecież na tym nam najbardziej zależy.

— Mów jaśniej. Jak niby miałbym go przekonać, ma wszystkie atuty w swoich kartach.

— Niekoniecznie. Mam jedno pytanie. Czy wyżej cenisz sobie zasady zawodowe, czy Dicka? — Harry zmierzył szefa czujnym i badawczym, a przy tym beznamiętnym spojrzeniem.

Walters przełknął ślinę, zakłopotany poruszył się w fotelu, na kilka chwil zajął ustnikiem papierosa. To było pytanie, na które nie sposób było szczerze odpowiedzieć. Zasady zawodowe, czym były? Przyjętym dobrowolnie kodeksem etycznym czy narzuconą koniecznością prawną? Działali według pewnych zasad, których nie przekraczali, gdyż po prostu nie mogli. Narzucone im prawo było egzekwowane z niezwykłą surowością, byli pod ciągłą obserwacją, ludzie patrzyli im na ręce nie dając chwili wytchnienia — gdyż ludzie nienawidzili ich z irracjonalną niemal mocą, choć potrzebowali ich nie chcąc się do tego przyznać nawet przed sobą, a to czyniło nienawiść jeszcze silniejszą. Traktowano ich więc niby odgórnie narzucony aparat ucisku i pilnowano na każdym kroku, jeśli polityk chciał zyskać sympatię wyborców, atakował agencje zabójców, jeśli pijacy albo plotkary na spotkaniu świetlicowym zaczynały narzekać na temat tego, jaki to świat jest parszywy, rozmowa zaraz schodziła na ten sam temat. Byli ulubionym tematem prasy brukowej — i nie tylko brukowej, każde ich potknięcie witał złośliwy skowyt oburzenia i satysfakcji. Waltersa wkurzało to niesamowicie, Harry natomiast traktował to z pełnym rozbawienia pobłażaniem. Myślał zawsze o tym, jacy to ludzie czują się odważni, gdy skrytykują jakiegoś zabójcę. „Patrzcie, on zabił już pewnie ze stu ludzi, a ja się go nie przestraszę i wygarnę, co o nim myślę!". Harry'emu niezmiennie chciało się wtedy śmiać. I zastanawiał się kwaśno, czy byliby oni wszyscy tacy odważni, gdyby zabójca rzeczywiście mógł zabić kogoś tylko dlatego, że ten mu się nie podoba.

Ale mimo wszystko szczególnie ci starsi, jak Dick, Walters czy sam Harry, nie przekraczali wielu zasad nie dlatego, iż nie mogli, lecz przede wszystkim dlatego, że nie chcieli. Podchodzili do swego zawodu z pewnego rodzaju podświadomym szacunkiem, choć było to podszyte sporą dozą cynizmu i ironii.

— O co ci chodzi? — Walters przerwał moment niezręcznego milczenia.

— Co wybierzesz? Przekroczenie pewnego przepisu i złamanie zasad zawodowych, czy zabicie Dicka?

— Jakiego przepisu?

— Jednego z najważniejszych.

Walters zastanowił się.

— Jako osoba prywatna nie miałbym żadnych wątpliwości i złamał przepis. Ale jako szef agencji nie mam, jak myślę, wyboru. Jeśli zaczniemy łamać zasady, szybko skończymy karierę w smutny sposób.

Harry rzucił mu jeszcze jedno spojrzenie zwężonych oczu, z których, mimo całej ich pełnej grozy beznamiętności, nigdy nie znikał cień smutku.

— Czy to odpowiedź ostateczna?

Walters skrzywił się. — Nie wiem, po prostu nie wiem. Chcę mieć bliższe pojęcie o tym, do czego zmierzasz.

Harry uśmiechnął się. Walters to człowiek rozsądny i z pewnością wybierze mniejsze zło.

— To, co zaproponuję, może każdemu z nas wydać się szokujące, a w przypadku ujawnienia stanie się bardzo niebezpieczne. Ale musimy sobie zdawać sprawę, że w grę wchodzi tu nie tylko życie Dicka. Jeśli go zabijemy, powstanie groźny w skutkach precedens i ludzie bez wątpienia pójdą tym śladem. Wkrótce skończymy polując na siebie wzajemnie i cały system runie w trybie przyśpieszonym. Nie wiem, czy jest to najlepszy z możliwych systemów — pewnie nie jest — ale chwilowo nie mamy nic lepszego pod ręką. Zresztą, jeżeli system runie, to jego gruzy przywalą nas właśnie. Kiedy ludzie zorientują się, że aby zabić zabójcę, wystarczy opłacić jego kolegę, koniec z nami. Gdy jakaś średnio zamożna babcia będzie się chciała przysłużyć społeczeństwu, to zamiast jak dotychczas wpłacać na TONZ, albo budowę jakiegoś szpitala czy pomnika, zapłaci za zabicie jednego z nas. Nic nie powstrzyma lawiny. Jeśli mamy przetrwać, ten facet musi wycofać zlecenie i w ogóle zapomnieć, że taka myśl powstała mu w głowie. Oczywiście, ktoś prędzej czy później wpadnie na ten sam pomysł, lecz mamy szansę, że stanie się to dopiero po naszym przejściu na emeryturę — i mnie osobiście nie będzie to już wtedy obchodziło. Będzie zresztą czas na opracowanie jakiegoś planu postępowania w razie takiego kryzysu. Na razie jesteśmy zmuszeni grać na czas.

To, co mówił Harry, było prawdą względnie obiektywną, lecz nie był on całkowicie szczery. W gruncie rzeczy nie obchodziły go zbytnio konsekwencje zabicia Dicka. Interesowało go jedynie utrzymanie Dicka przy życiu. Harry lubił bardzo niewielu ludzi, przyjaciół nie miał wcale, lecz najbliższy temu pojęciu był Dick. Dobroduszny i pełen cynicznego humoru olbrzym, który miał prawo do życia takie samo, jak każdy inny. To, że był zabójcą, wcale nie znaczyło, że był złym człowiekiem, w opinii Harry'ego był z pewnością lepszy od tysięcy tych, którzy publicznie złorzeczyli na zinstytucjonalizowane zabijanie, a sami potajemnie korzystali z usług agencji.

— Facet niekoniecznie może chcieć rozgłaszać ów precedens, nikt nie lubi przyznawać się do wynajmowania zabójcy — stwierdził szef. — A my na pewno nie będziemy kwapić się do rozgłaszania sprawy.

— Niby tak, lecz nie masz na to żadnych gwarancji. A nawet jeśli nie poleci z tym do redakcji wszystkich gazet w okolicy, prywatnie nie będzie się krył. Zrozum, opłacił wykonanie wyroku na powszechnie znienawidzonym zabójcy, więc komukolwiek o tym powie, nie spotka się z potępieniem, a jedynie z podziwem dla swej bezkompromisowości i sprytu. „Ten to ma łeb", wszyscy będą mówić. „Niby to takie proste, a jednak...". I szybko dojdą do wniosku, że łatwo drani — czyli nas — załatwić ich własnymi rękoma. Czysto, higienicznie, bez wyrzutów sumienia i narażania własnej skóry. Nie damy rady powstrzymać rozprzestrzeniania się wieści. A to, że jeden z najlepszych zabójców w mieście zniknął ze świata, będzie dla ludzi potwierdzeniem jej prawdziwości. Jeżeli tylko zabijemy Dicka, podłożymy bombę zegarową pod własne tyłki — i to dużą bombę, atomową, i w żaden sposób nie zapobiegniemy reakcji łańcuchowej.

— Chyba masz rację. — Walters nerwowo potarł się po podbródku.

— Chyba?

— Gówno! Na pewno masz rację. — Szef ze złością rozgniótł niedopałek w popielniczce. — Mów, co proponujesz.

— Mały nieoficjalny handel wymienny. Facet wycofuje zlecenie i zapomina, że w ogóle mógł o czymś takim pomyśleć, przecież to po prostu niemożliwe — można go trochę na wszelki wypadek przestraszyć, a my w zamian, nieoficjalnie i bez świadków oczywiście, poinformujemy go, kto kazał zabić jego żonę, z chęcią też przyjmiemy od niego zlecenie na sprzątnięcie tego czarnego typa. A ten ktoś powinien przecież zainteresować go dużo bardziej od Dicka. Chyba rozumie on, że Dick był tylko narzędziem, takim samym, jakiego on chce użyć, by pozbyć się Dicka.

Walters przejechał językiem po spierzchniętych wargach.

— Brzmi logicznie — stwierdził.

— Bo to jest logiczne.

— Ale jeśli to się wyda, to bekniemy za to tak, że lepiej nie mówić. Wybuchłby skandal na miarę światową.

— A masz może lepszy pomysł?

Szef uśmiechnął się smutno. — Wiesz, że nie mam — powiedział.

— Więc pogadaj z nim i załatw sprawę, nie ma innego wyjścia. I sam wiesz doskonale, że zbyt dobry jest z ciebie krętacz, by to miało się wydać.

— Pewnie masz rację. Dzięki.

Harry skrzywił się nagle, wirusy znów przypomniały o sobie. Tym razem użyły tylko broni konwencjonalnej, ale i to wystarczyło. Zabójca spojrzał na szefa z otwartą niechęcią. Dlaczego akurat ja mam robić za ciebie twoją robotę, pomyślał. Kiedy mam ochotę wleźć na lampę i wyć z bólu.

— Nie ma za co. Dopisz mi tysiąc do premii. I pamiętaj, do cholery, że jestem tylko zabójcą, a nie radcą prawnym agencji. Za co ty właściwie płacisz tym dupkom?

Walters wstał i w zamyśleniu przyjrzał się Harry'emu. Analityczny umysł zabójcy zawsze potrafił znaleźć rozwiązanie tak proste, że człowiek pytał siebie z wyrzutem — dlaczego ja na to nie wpadłem?

— Właśnie, Harry, za co ja właściwie płacę tym dupkom?

I dodał w myślach: Ale ty nie jesteś tylko zabójcą. Ty jesteś Harry Śmierć i sam o tym wiesz najlepiej.

DOKOŃCZENIE W NUMERZE NASTĘPNYM

Anatomia fana

Jedni mówią, że pierwszy zawsze musi narodzić się idol. Drudzy uważają, że fan był zdecydowanie pierwszy. Mogą nawet podać takie przykłady fanów, którzy zdecydowali się nimi zostać dla samego bycia. Sam idol twierdzi, że był kiedyś fanem, zanim zupełnie przypadkowo został idolem. Idol uważa jednak, że został fanem tylko dlatego, bo zauważył idola, który go zafascynował.

Powie idol:

— Prawdziwego fana poznaje się po tym, że nie opuści nas, idoli, w kłopocie. Podobnie jak przyjaciel; bo prawdziwy fan jest naszym przyjacielem. Jesteśmy ze sobą związani i od siebie zależni w ten sposób, że bez fana nie ma nas, natomiast bez nas nie ma fana.

Powie fan:

— Żadna sztuka być fanem tego, który jest na fali, czyli na tak zwanym topie. To tak, jakby matka kochała swoje dziecko, dlatego, że się dobrze uczy.

Powie fan „nieprawdziwy":

— Fanem zostaje się dlatego, żeby robić coś poza standardowym schematem, żeby mieć jakieś zainteresowania i znaleźć wspólny język z podobnymi ludźmi. Bycie wiernym jednemu tylko idolowi zubaża osobowość i po prostu ogłupia. Idol ma prawo się zmienić i takie samo prawo przysługuje fanowi. Niekoniecznie jednak fan musi się tak samo zmieniać, jak jego dawny idol.

Fan może wybierać spośród idoli takiego, który jest mu zawsze bliski i trafia w jego aktualne gusta...

Kilku fanów formalnie zarejestrowanych w fan-klubie może przyciągnąć innych, którzy dotychczas samotnie wielbili swojego idola. Zarówno fani, jak i idol doskonale wiedzą, że czym bardziej liczny fan-klub, tym większa siła przebicia i większy szacunek. Powstanie formalnego fan-klubu oficjalnie autoryzowanego przez idola (bo tylko takie kluby uznaje idol) daje fanom możliwości korespondowania z idolem, otrzymywania od niego zdjęć i plakatów oraz prywatnych spotkań. Większość oficjalnych fanów otrzymuje darmowe zaproszenia na koncerty idola.

Idol natomiast wie, że zorganizowany i liczny fan-klub zapewni mu atmosferę na koncercie oraz systematyczne akcje wysyłania kartek z jego nazwiskiem do plebiscytu na idola numer jeden. W razie potrzeby, gdy w związku z chwilową niedyspozycją idol oddala się od czołówki „topu" dobrze zorganizowany fan-klub postara się, żeby każdy jego członek wysłał kilkanaście takich samych kartek z takim samym nazwiskiem. Nic więc dziwnego, że idol powie:

— Każdy z nas, idoli, musi dbać o swoje fan-kluby. Nie jest do pomyślenia, żebyśmy mogli lekceważyć swoich fanów. Jeżeli piszą listy, to na wszystkie trzeba odpowiedzieć, jeżeli zapraszają na jakąś imprezę, koniecznie trzeba pojechać. Fani są bardzo uczuleni na te sprawy, nie można ich zignorować.

Mówią fani zorganizowani:

— Jeżeli idol przekona się, że jesteśmy jego przyjaciółmi, że jesteśmy mu wierni i bliscy, pozwoli nam się do siebie zbliżyć, nawet zupełnie prywatnie. Będziemy więc mogli, zarówno przed jak i po koncercie, wejść do garderoby, napić się wspólnie herbaty, obejrzeć z bliska instrument, kostium, włosy. Idol będzie nam mówił o swoim życiu prywatnym, o żonie, córce, dziewczynie, zaprosi do mieszkania Wiadomo jednak, że do garderoby czy mieszkania idola nie może wejść kilkudziesięcioosobowa grupa fanów. Idzie nas zazwyczaj kilku...

Powołanie fan-klubu wiąże się z koniecznością powołania zarządu. Wiadomo przecież, że fan-klub musi ktoś reprezentować na zewnątrz, załatwiać sprawy formalne oraz bezpośrednio kontaktować się z idolem. Najważniejszą więc sprawą, zaraz na początku, jest, poza zrobieniem pieczątki, klubowego znaczka i ewentualnego plakatu — wybranie władz fan-klubu. Prezesem i wiceprezesem klubu zostają zazwyczaj pierwsi, czyli ci, którzy przyszli do placówki kulturalnej z inicjatywą.

Powie prezes jednego z fan-klubów:

— Najlepiej byłoby nie powoływać żadnego zarządu; okazuje się jednak, że wśród fanów są tacy, którzy tylko biernie fascynują się idolem oraz tacy, którzy muszą przecież fan-kluby prowadzić. Bez formalnego prezesa i jego zastępcy fan-klub by się rozleciał. Musi też być skarbnik, który zbiera składki i dysponuje naszymi funduszami oraz sekretarz, który prowadzi kronikę. To niezbędne minimum.

Prezes zna aktualny telefon swojego idola, zna jego trasę koncertową, wie kiedy i gdzie można go „złapać". Prezes decyduje, kiedy zorganizować imprezę, kiedy zaprosić ulubieńca oraz jaką przygotować niespodziankę w związku z jego wizytą. Prezes zazwyczaj prowadzi zebrania fan-klubu, dzieli się najnowszymi informacjami i układa plan pracy działalności klubu. Prezes pisze też sprawozdanie z działalności klubu, które odczytuje przy szczególnych okazjach, chociażby w kolejne rocznice powstania fan-klubu.

Jeżeli jeden idol ma kilkanaście bądź kilkadziesiąt fan-klubów na terenie całego kraju, zarówno on jak i fani będą dążyć do zorganizowania (przynajmniej raz na jakiś czas) zlotu wszystkich fanów. Zlot fan-klubów jest okazją do przygotowania specjalnego programu przez fan-klub gospodarzy, zainteresowania działalnością fan-klubu prasy, a przede wszystkim do spotkania idola z wszystkimi przedstawicielami fan-klubów jednocześnie. Zaproszony idol zawsze będzie miał w zanadrzu informacje o sobie i swoim zespole, o których wszyscy dowiedzą się po raz pierwszy, i co najważniejsze, z pierwszej ręki. Takie informacje podnoszą autorytet każdego fana w środowisku niefanów.

Powie fan — delegat:

— Zloty przedstawicieli wszystkich fan-klubów, to nie tylko spotkanie ludzi szanujących i kochających swego idola. Taki zlot jest okazją do poznania ludzi z innych fan-klubów oraz ich działalności. Przede wszystkim jednak pokazuje, że jest nas dużo, jesteśmy silni.

Kryzys w fan-klubie następuje wtedy, kiedy idol zrobi coś, co nie odpowiada fanom. Idol może, na przykład, zlekceważyć jakiś fan-klub, zmienić styl muzyki albo swoim zachowaniem wzbudzić w fanach zwątpienie. Fani podają przykład takiego idola, który na koncercie zachował się skandalicznie, co spowodowało różne reakcje fan-klubów. Prawdziwy fan będzie się starał zrozumieć swojego idola, będzie próbował go bronić i usprawiedliwiać. Fan „nieprawdziwy" natychmiast się od idola odwróci.

JACEK BINKOWSKI

1 Przerwa śniadaniowa

Ulicznica płaska

— Coś pan, panie Dareczku, taki zdenerwowany od rana? — pani Lala zmrużyła oko podając panu Zenkowi szklankę biurowej „plujki" — randka się nie udała?

— Niestety, droga pani — ogrzewanie mi wyłączyli, piecyk elektryczny typu „słoneczko" się przepalił, ciśnienie gazu spada. Mam w domu plus cztery a dziś ma przyjść do mnie ...kolega, dajmy na to. I jak go przyjąć. Szampana, owszem, zamrozić można, ale kolegę? Nie wypada przecież, w płaszczach nie będziemy siedzieć...

— Dlaczego nie? — pan Henio zdawał się niczego nie rozumieć — można w płaszczu, coś na rozgrzewkę i zaraz będzie miło!

— No i co pan zrobisz panie Dareczku z tym „kolegą dajmy na to"?

— Muszę odwołać spotkanie! A sam pomyślę o wizycie w jakimś ogrzanym domu...

— A u mnie też jest zimno! Jakaś awaria czy coś...

— No to sama pani widzisz, pani Kalinko, że pan Dareczek musi poszukać innego „kolegi dajmy na to". A wzywała pani kogoś do tej awarii?

— Wzywałam, przyszło dwóch panów z PGM-u nawet przyjemnych, obejrzeli, postukali i... poszli. U sąsiadów to samo...

— U mnie też było dwóch z PGM-u! I też bez skutku. Jak oni wyglądali? Jeden taki niższy, w ocieplanej kurtce, drugi wyższy?

— O to to! Tacy sami! — pani Kalinka ucieszyła się nie wiadomo czemu.

— I u mnie było takich dwóch! — pan Zenek zasępił się: — coś tu nie gra. Pan Dareczek na Dąbrowie, pani Kalinka na Teofilowie a ja na Retkini i wciąż ci sami dwaj faceci? Nieprawdopodobne...

— Ależ możliwe! — pan Henio zabłysnął umiejętnością kojarzenia odległych faktów — wiadomo, fachowców nie ma, awarii cała masa, to PGM-y się skrzyknęły, wydelegowały takich dwóch, jeżdżą wszędzie tam, gdzie są jakieś awarie i demonstrują dobrą wolę administracji domów. Proste? Proste! I dość niedrogie w końcu...

— Podobno milicja napala kieszonkowca — pani Lala miała zwyczaj ogłaszać najbanalniejsze informacje w takim tonie, jakby obwieszczała wyniki konkursu na Miss World. Teraz też miała taką minę, jakby ogłaszała, że w naszym biurze wystąpi Yehudi Menuchin i jeszcze na dodatek dochód z koncertu przeznaczy na dogrzewanie pracowników.

— No i co z tego? — burknął pan Zenek.

— A to, że kieszonkowiec rzucił się sierżantowi na szyję i ucałował go z dubeltówki!

— Łaskawa pani coś, dajmy na to, z tego zimna prawda, no, delikatnie mówiąc, popierdziuśkowało się pani?

— Nic mi się panie Dareczku, nie ...fel Jakich wyrażeń pan używa w stosunku do damy? — No więc nic mi się nie ...ten tego, tylko naprawdę, złodziej serdecznie podziękował milicjantom, bo mieszkanie ma nie dogrzane i strasznie marznie, a teraz, spokojnie, kulturalnie i w sympatycznym towarzystwie przezimuje...

— Ja chyba też coś takiego zrobię, jeśli nie uda mi się gdzieś zakotwiczyć na dzisiejszy wieczór — pan Dareczek sięgnął po słuchawkę i nerwowo przerzucał kartki notesu mamrocząc: Ania? Odpada... Basia? ...nie nie. Celina! No, może... Danusia? O tak, spróbujemy...

— Panie Zenku, a co będzie z odśnieżaniem?

— Są komplikacje, panie Heniu. Dział gospodarczy zamówił większą ilość łopat, łopaty na razie nie przyszły, ale przyszła już faktura. Kierowniczka odmówiła zapłaty...

— I słusznie, co ma z góry płacić!

— Nie o to chodzi. Pani kierowniczka oburzyła się na treść tej faktury. Posłuchaj pan, panie Dareczku, pana to zainteresuje! Wiecie państwo jak taka łopata się nazywa w oficjalnej nomenklaturze. Nie zgadniecie... „ulicznica płaska"! I to właśnie oburzyło kierowniczkę: — żadnych — powiada „ulicznic" do biura nie będę sprowadzała!

— To czym będziemy odśnieżali?

— No, mamy te dwie łopaty i jeden łom. Tylko diabli wiedzą, czy te nasze łopaty też nie są „ulicznice"?

— E, takie stare — rzucił pan Dareczek mimochodem, bo właśnie udało mu się dodzwonić i nucił zmysłowym szeptem do słuchawki: „I just phone to say I love you"...

— No tak — zasępił się pan Henio — jesteśmy przygotowani do średniej zimy. Mamy dozorcę i dwie stare ulicznice...

KAROL T.

2 Nagłe zastępstwo

Sukces statystyczny, czyli skąd Zaręba ma na willę?

W latach siedemdziesiątych byłem bardzo zaprzyjaźniony z pewną kierowniczką kina. Rozśmieszyła mnie do łez, kiedy w głębokiej tajemnicy opowiedziała mi, że w kinie również obowiązuje ją plan. Nie, nie żaden plan seansów np., ale plan ilości widzów. Ni mniej ni więcej, tylko musiała przewidzieć, ilu widzów przyjdzie do kina. Jak widzowie nie przyszli, nie było premii... To nie żarty, to najprawdziwsza prawda! Ale to jeszcze nie wszystko. Kierowniczka musiała zaplanować, ilu widzów przyjdzie na filmy polskie, a ilu na filmy wyprodukowane w innych krajach RWPG, a ilu jeszcze przyjdzie obejrzeć dzieła wrażej kinematografii zachodniej. Co miesiąc, czy co kwartał, kierowniczka wysyłała sprawozdanie, z którego czarno na białym wynikało, że na filmach polskich frekwencja rośnie a na amerykańskich maleje...

Jeśli tak robili w całej Polsce, to doprawdy dziwić się należy, że jeszcze importowaliśmy filmy amerykańskie, na które przychodziła garstka ludzi?

Nie wiem, jak się oblicza tantiemy w kinematografii — jeśli od wpływów, a więc pośrednio od liczby widzów, to łatwo się zorientować, że ta metoda statystyczna biła po kieszeni amerykańskich producentów (i bardzo słusznie), a premiowała twórców rodzimych. Żeby nikogo nie obrazić użyjmy fikcyjnych nazwisk: amerykański reżyser niech się nazywa Spitzberg, polski Zaręba. Zaręba robi nieznośne knoty, których nie chce oglądać nawet jego własna żona, Spitzberg znakomite filmy komercyjne, za którymi szaleje publiczność. Dzięki zabiegom kierowników kin Spitzberg dostaje tantiem tyle, co kot napłakał. Zaręba się bogaci i stawia willę. De facto, za pieniądze Spitzberga! Nie muszę bowiem dodawać, że sukces frekwencyjny Zaręby, to nic innego, jak — delikatnie mówiąc — pewne przesunięcia liczb w rubrykach statystyki.

Jak się ostatnio dowiedziałem, kinematografia nasza, a ściślej aparat dystrybucji filmów, zaniechał już takiego traktowania statystyki. Widocznie tego młotka, co to kiedyś zasiadał w Naczelnym Zarządzie Kinematografii wyrzucili wreszcie. Teraz statystyki są rzetelne i jeśli okazuje się, że widzów na filmach Zaręby przybywa, a Spitzberga — ubywa, to oznacza to tylko rzeczywistą zmianę upodobań widzów kinowych...

Poważny sukces statystyczny odniosła niedawno telefonia rodzima: jak triumfalnie ogłoszono, w 1986 roku założono rekordową liczbę telefonów, a stosunek liczby telefonów do liczby mieszkańców mamy lepszy niż na Węgrzech! Nie dodano tylko, czy Węgry w tej konkurencji zajmują ostatnie, czy też przedostatnie miejsce w Europie.

Tak czy inaczej, sukces jest i wypada się cieszyć. Jedna tylko rzecz mnie niepokoi: mianowicie komu te telefony pozakładano? Czy rzeczywiście w pierwszej kolejności lekarzom, milicjantom, strażakom itp, dziennikarzy nie wyłączając. A może „owszem, ale niekoniecznie'", jak mawiał pan Stefan Wiechecki? Jeśli bowiem komuś zależy, to mogę podać parę adresów dziennikarzy pracujących bez telefonu, w czym przypominają trochę woźnicę bez leja.

Droga Dyrekcjo Jak Najbardziej Naczelna Telefonii Polskiej! Zwracam się oto w Twoim imieniu do tzw. najszerszych kręgów. Otóż daję stanowczy odpór uporczywym złośliwym plotkom, które obiegają miasto. Złośliwi, bezczelni plotkarze twierdzą, że drogą oficjalną, przez szanowną Dyrekcję, to się telefonu założyć nie da. Natomiast na niższych szczeblach Wysokiej Telefonii owszem, czemu nie. Ci wstrętni plotkarze podają nawet kwoty, jakie rzekomo należy wpłacić niższym funkcjonariuszom, żeby dostać telefon „w try miga".

Powtarzam, że są to obrzydliwe oszczerstwa, pomówienia i kalumnie! Ciebie zaś, Najwyższa Dyrekcjo, błagam jak najpokorniej, żebyś mi pomogła w tej samotnej walce o Twoje dobre imię! Idź za przykładem gospodarki mieszkaniowej, ogłaszaj co rok listę przydziałów telefonów. Niech taka lista wisi w urzędzie, niech sobie każdy popatrzy, niech porówna numery kolejne tych, co telefon już otrzymali z własnym numerem, niech się przekona, że nie ma żadnej lipy!

Będzie wtedy ślicznie i „przy otwartej kurtynie" a oszczercom języki poschną i jeszcze z grobu będą wystawać...

ANDRZEJ KAROL

3

Obie strony handlu

Wiadomo, że medal ma dwie strony. Trzeciej do tej pory nie wynaleziono i nic nie wskazuje, że coś takiego stanie się. Natomiast w różnych spornych problemach można dostrzec różne punkty widzenia, a często wynikiem sporu jest zbliżenie się spornych punktów widzenia do pewnej zgodności, czyli zawarcie tak zwanego zgniłego kompromisu. Tu może występować więcej stron niż dwie. Ale w handlu strony — niestety są dwie: zajmują one na ogół miejsca po obu stronach sklepowej lady. Sklepów samoobsługowych coraz mniej. W latach 1980—1983 ich liczba zmniejszyła się o jedną trzecią i nic nie wskazuje na to, aby znów miało być ich więcej.

Stoją więc ludzie po obu stronach lady, a ci z jednej strony są zadowoleni z tego, jak pracują — mają wprawdzie inne powody do niezadowolenia, ale to też i inna sprawa — a ci po drugiej, nie są zadowoleni. Instytut Rynku Wewnętrznego i Konsumpcji — jak to opisała w „Życiu Warszawy" Krystyna Gąsiorowska — przeprowadził badania w Warszawie, Katowicach, Łodzi i Poznaniu zarówno wśród pracowników handlu, ludzi handlem administrujących, jak i wśród klientów. Z ankiety tej właśnie wynika, że „terenowa władza jest zadowolona z obecnego systemu handlu", a „aż połowa ankietowanych osób jest zdecydowanie niezadowolona z handlu na swoim terenie". Mnie wprawdzie nie ankietowano, ale nie mam żadnych wątpliwości, że znalazłbym się wśród tej połowy niezadowolonych.

Wyłuszczyć muszę powody tego przekonania. Otóż — po pierwsze — niezadowolenie moje budzi organizacja handlu. I to zarówno terenowa, jak i wewnętrzna. Terenowa dlatego, że miasto szybko się rozwija, zmienia, powstają nowe osiedla, a handel tego jakby nie dostrzegał. Pozostaje w tyle. Widoczne to jest — być może — dla klienta, a niewidoczne dla pracowników handlu i władzy terenowej, ale to faktu nie zmienia.

Wewnętrzna organizacja nie podoba mi się dlatego, że zmusza mnie do stania w kilku kolejkach w jednym sklepie. Jeśli nawet lada jest długa, ale podzielona na dwa różne stoiska, to już w pierwszym nie kupi się tego, co w drugim, i odwrotnie.

Po drugie — nie podoba mi się generalnie dlatego, że handel ciągle działa z myślą o własnej wygodzie, a nie z myślą o wygodzie klienta, któremu ma służyć. Niegdyś w sklepach wisiały takie hasła, jak na przykład: „Klient zawsze ma rację", a i tak wszyscy wiedzieli, że to tylko kamuflaż, że rację teraz i zawsze ma tylko handel.

Tu muszę się zastrzec, że doceniam, rozumiem i wiem, że praca w sklepie nie należy do lekkich: klienci potrafią być chamscy, nie uszanują człowieka pracy za ladą, zaopatrzenie sklepów bywa różne, czasem żadne, w sklepach zimą jest zimno, latem gorąco, ludzie się przeziębiają, nabawiają się chorób zawodowych, drepczą wokół lady kilkadziesiąt kilometrów dziennie, a jeszcze w domu trzeba ugotować obiad, męża ustawić, bo się szlaja, dzieciom pomóc w lekcjach i odpocząć. Czasu mało, a płacą też nie najlepiej. Wszystko wiem. Niemniej uważam, że handel jest od tego, aby służył klientom i ich dobro miał na uwadze. A natomiast władze administracyjne handlu, związki zawodowe są od tego, aby dbały o ciągłą poprawę warunków pracy w handlu. I — o dziwo — jestem przekonany, że obie te sprawy są do osiągnięcia. Tylko trzeba się zaprzeć, pomyśleć i wziąć się do działania.

Spór między handlowcami a klientami toczy się o pracę w wolne soboty. Ankietowani przez Instytut Rynku Wewnętrznego i Konsumpcji w czterech wspomnianych miastach wypowiedzieli się za pracą całego handlu w wolne soboty. Pracownicy handlu, handlowe związki zawodowe oraz administracja handlowa — przeciw pracy w wolne soboty. Co prawda istnieje pewna nadzieja. Mianowicie handlowcy zgodziliby się pracować, „gdyby w zamian przysługiwał im dzień wolny lub znacznie wyższy niż dotąd ekwiwalent". Dlaczego nie spełnić takiego postulatu? Przecież dzień wolny za pracę w sobotę, to sprawa wewnętrznej organizacji pracy w sklepie. Być może w dużym łatwiej to zrobić, w małym trudniej, ale wszystko wskazuje, że nie powinno być trudności. Chyba że przepisy — jak zwykle — nie pozwalają. To zmienić przepisy!

W wolne soboty otwarte są na ogół domy towarowe i — jak wykazuje praktyka — mają one wyższe obroty, bo przychodzą kupować całe rodziny i czasu na kupowanie mają więcej. Praca w wolne soboty byłaby więc dla handlu korzystna. W czym więc rzecz? Są potrzeby, są możliwości organizacyjne. Potrzeba tylko odwagi i śmiałych decyzji.

I w tym miejscu przyszła refleksja: no tak, ale w wielu sklepach nie ma jeszcze co sprzedawać. Nie ma. Ale mamy nadzieję, że zrobimy wszystko, aby było. Poza tym działać trzeba elastycznie. Niech najpierw pracują te, które mają czym handlować. A później dołączy do nich reszta. Od czegoś trzeba przecież zacząć. Najgorsze jest samozadowolenie w skostnieniu, albo skostnienie w samozadowoleniu, co na jedno wychodzi.

WITOLD BOROWY

Wiosna 1968 roku

JÓZEF SPYCHALSKI

FRAGMENTY PRZYGOTOWYWANEJ DO DRUKU POWIEŚCI PT. „CZERWONE GOŹDZIKI", KTÓRA STANOWI CZĘŚĆ TRZECIĄ TRYLOGII. DWIE PIERWSZE JUŻ SIĘ UKAZAŁY: „TRUDNE POWROTY" I „POWTÓRKA Z IDEOLOGII".

— 3 —

Rozwój wydarzeń tylko częściowo potwierdzał przewidywania Piotra. Następnego dnia przerwano wykłady w akademii medycznej i w politechnice, a na popołudnie zapowiedziano studencki wiec przed biblioteką.

Piotr spotkał się z rektorami w małej salce, nie zaniedbując niczego, aby zebraniu nadać charakter kameralny, sprzyjający szczerości wypowiedzi. Zapoznał ich najpierw z sytuacją w kraju i zauważył natychmiast, że ich wiedza na ten temat jest niemal pełna, widać było, że oni także wykorzystują wszelkie możliwości zdobywania informacji. Ich wypowiedzi na temat sytuacji we własnych uczelniach były natomiast bardzo ostrożne i bardzo ogólnikowe. Unikano nazwisk, chwalono wstrzemięźliwą postawę milicji, stawiano na przeczekanie. Piotr z ulgą przyjął zapewnienie o braku agresywności w postawie strajkujących i zapewnił, że zostanie to odpowiednio docenione przez milicję. A więc rektorzy także nie wierzyli w siłę młodzieżowego wybuchu, kwestionując mniej lub bardziej szczerze racjonalność przesłanek, które spowodowały ów wybuch. Podziękował im za przybycie i zaprosił na ponowne spotkanie, a potem żegnał kolejno odchodzących. Wkrótce na sali pozostał tylko prorektor uniwersytetu, jak zwykle starannie wygolony, z gładko zaczesanymi włosami, przez które przeświecała różowa skóra czaszki.

— Słucham pana, profesorze, domyślam się, że chciałby mi pan zakomunikować coś ważnego — rzekł Piotr, zapraszając go do swego gabinetu.

— Właśnie — przytaknął prorektor i ściągnął brwi, jak gdyby to, co miał do powiedzenia, sprawiało mu ogromną przykrość. — Rektor rozchorował się po wczorajszym wiecu, ale zastrzegł sobie, abym uzgadniał z nim wszystkie decyzje, czyli nie ma go — a jest.

„Kunktator czy pospolity tchórz?" — pomyślał Borowski, przywołując w pamięci cierpiącą twarz rektora, skrzywioną w sarkastycznym uśmiechu.

— ...rozumie pan, sekretarzu, że w takich warunkach trudno mi będzie zapewnić sprężyste i operatywne kierowanie uczelnią, co w obecnej sytuacji uważam za niezbędne.

— Rozumiem. No cóż, znalazł się pan w nieprzyjemnej sytuacji, ale chciałbym podkreślić, że w okresie nieobecności rektora jest pan pełnoprawnym kierownikiem uczelni, na panu więc spoczywa odpowiedzialność zarówno za podjęte decyzje, jak i za ich brak.

Prorektor wyciągnął chusteczkę i otarł sobie czoło. Widać było, jaką walkę przeżywa w sobie. W pewnej chwili ocknął się i wstał z miejsca.

— Dziękuję, że mi pan o tym przypomniał — rzekł, wyciągając rękę.

— Jeszcze jedno, profesorze. Jest u pana kilku chłopców, którzy wykazują szczególną aktywność w podburzaniu swoich kolegów: Rewera, Domagała i Politowicz. Ta trójka pojawia się codziennie w milicyjnych meldunkach. Czy nie uważa pan, że należy porozmawiać z tymi chłopcami?

— No tak — skrzywił się profesor — sprawa Rewery należy właśnie do tych, które zastrzegł sobie rektor do wyłącznej dyspozycji.

— A jednak proszę z nimi porozmawiać i powiadomić rektora, że uczynił to pan na życzenie sekretarza — rzekł Piotr z naciskiem. — Proszę go pozdrowić ode mnie i życzyć szybkiego powrotu do zdrowia.

W głosie Borowskiego zabrzmiała ledwo wyczuwalna ironia, a na twarzy prorektora pojawił się wreszcie nikły uśmiech.

Kolejne dwa dni nie przyniosły zmian. Młodzież nadal okupowała budynki swoich uczelni i dyskutowała zawzięcie, tylko wieczorami coraz większa liczba studentów wracała do domów, dając tym nieomylny znak powolnego wyczerpywania się strajkowego animuszu. Trzeciego dnia przed południem do gabinetu Piotra wpadła podekscytowana sekretarka, wzywając go do okna. Obu chodnikami waliła brać studencka — brodacze i młodziki z pierwszego roku, zgrabne dziewczyny z modnymi torbami przewieszonymi przez ramię. Szli grupami, grupkami i parami, znikając w pobliskiej przecznicy. Za nimi środkiem jezdni posuwały się wolno dwa milicyjne wozy. Nagle na dziedzińcu szkoły, znajdującej się po drugiej stronie ulicy, rozległ się chóralny wrzask i gromada dzieci ustawiła się w szpaler, pokazując sobie przechodzących palcami.

A więc nie był to marsz na Komitet jak w Warszawie. Studenci z uniwersytetu szli do swych kolegów z politechniki, jakby w nadziei na ożywienie gasnącego strajku. Piotr połączył się natychmiast z rektorem i otrzymał zdumiewającą informację, że jego wychowankowie nie zamierzają otworzyć bram, ani nie wykazują chęci wiecowania, a koleżeńskie i raczej indywidualne rozmowy z przybyłymi odbywają się przez parkan. Istotnie, nie upłynęła nawet godzina, gdy z przecznicy zaczęły powracać gromadki studentów. Tym razem wolno, że spuszczonymi głowami i w absolutnym milczeniu. Przemarsz trwał krótko, snadź wielu z manifestantów zrezygnowało po drodze, Także i teraz kolumnę zamykały milicyjne wozy, z trudem utrzymujące dystans, dzielący je od ostatnich maszerujących szeregów.

Dziwna rzecz, ale w tej chwili owładnęło nim raczej uczucie zażenowania niż triumfu. Nie wiadomo skąd napłynęło wspomnienie z manifestacji, jaką urządzili w latach trzydziestych lubelscy bezrobotni w dniu pogrzebu ofiar policyjnej salwy do tłumu demonstrantów, którzy przyszli do wojewody upomnieć się o pracę i chleb. Do konduktu dołączyło wówczas wielu mieszkańców Lublina, a zwłaszcza wiele młodzieży licealnej. Pamiętał ten dzień. To był także marzec i bezlistne gałązki drzew kołysały się na wietrze, nabierając już oliwkowej barwy przedwiośnia. Pogrzeb przebiegał spokojnie, ale kiedy potężna fala ludzka zaczęła wylewać się z cmentarza w stronę Alei Racławickich i formować się w pochód, z parkowych alejek Ogrodu Saskiego wypadła nagle konna policja, rozrywając w mgnieniu oka szeregi manifestantów. To wtedy właśnie dostał się w ów potworny wir ludzki, popychany końskimi zadami, bity na odlew pałkami płazowany. Nigdy nie zapomniał wściekłej wąsatej gęby nad sobą i piekącego bólu po uderzeniu, jakie otrzymał i nigdy nie pozbył się nienawiści do granatowego munduru. Jakie uczucia żywią w sercach ci młodzi, przegrani ludzie, na których nie spadła przecież milicyjna pałka. Czy będą w stanie pojąć różnice, dzielące ich dzień dzisiejszy od tamtych wydarzeń, które kształtowały i uczyły życia jego pokolenie?

Odszedł od okna i usiadł, mocując się ze wspomnieniami. Zadzwonił telefon. Piotr sięgnął po słuchawkę i oprzytomniał natychmiast. Przewodnicząca Ligi Kobiet informowała, że zakończyła się u nich narada aktywistek i że ich gość, towarzysz Grela, odjechał właśnie do Komitetu.

„Grela u „ligówek"? w takiej chwili?" — pomyślał zdumiony — czyżby to oznaczało, że w Warszawie zapanował już spokój?"

Wszedł Grela, a tuż za nim sekretarka z herbatą i kanapkami. Przywitali się i zasiedli wokół okrągłego stolika. Piotr przyglądał się badawczo swojemu gościowi, czekając, aż tamten wyjawi mu cel swej nieoczekiwanej wizyty. Grela domyślił się tego i uśmiechnął z zażenowaniem.

— Wybacz, Piotr, że nie uprzedziłem cię o przyjeździe, ale te twoje kobiety bardzo mnie prosiły, abym z nimi pomówił, a tak naprawdę, to chciałem pooddychać u ciebie innym powietrzem niż w Warszawie.

— To dobrze — wyrwało się Piotrowi — dowiem się przynajmniej, czy Biuro Polityczne jeszcze istnieje.

Twarz Greli ściągnęła się nagle, widać było, że uwaga Borowskiego ubodła go bardzo. Sięgnął po czerwony telefon i połączył się z Reliszką.

— To ty, Edek? Tak, dzwonię z Krosnowic. Oni tutaj trzymają się dzielnie, ale pytają, co zamierza uczynić Biuro, dlaczego milczy. Czy chciałbyś z nimi mówić? — zamilknął, słuchał chwilę, a potem mruknął coś i odłożył słuchawkę.

— Kazał cię pozdrowić i zapewnił, że Wiesław zajmie stanowisko w tej sprawie jak tylko studenci powrócą do zajęć. On nie ma zamiaru polemizować z młodzieżą, ale chce ujawnić inspiratorów, dlatego czeka.

— Rozumiem — bąknął Borowski — przyda mi się ta wiadomość jutro na spotkaniu z rektorami.

Jego gość siedział zwarzony i nieskory do rozmowy, ale z tego co ujawnił, widać było, że Gomułka nie zamierzał stawiać w stan pogotowia ani partii, ani związkowców, jak gdyby obojętność wykazana przez załogi robotnicze była mu potrzebna dla podkreślenia społecznej izolacji, w jakiej znaleźli się strajkujący. W pewnej chwili spojrzał na zegarek i poderwał się z miejsca.

— Czas na mnie — rzekł, szykując się do odejścia. — Cieszę się, że udało ci się zapobiec ulicznym burdom. Jesteś chyba jedyny, któremu się to udało.

Piotr odprowadził Grelę do samochodu, jakby tym gestem chciał zatrzeć niemiłą atmosferę ich rozmowy. Tuż po jego odjeździe postanowił wrócić do domu, ale i tutaj nie mógł pozbyć się uczucia niepokoju, który nim owładnął.

— Chodź, przejdziemy się trochę — zaproponował Ani, która podniosła na niego oczy znad drutów i kłębków wełny.

— O tej porze sami? — spytała trwożnie, ale odłożyła robótkę i zaczęła się szykować do wyjścia.

Przeszli przez skrzyżowanie ulic i skierowali się w stronę parku, przylegającego do biblioteki. Alejki obeschły już po stopniałym śniegu i ostry zapach ziemi wisiał w powietrzu. Park był pusty. Piotr pociągnął Anię w kierunku wielkiego gmachu, którego parter połyskiwał rozświetlonymi oknami, ale i tutaj, na zewnątrz gmachu nie było nikogo, czyżby więc studenci zaprzestali już wystawiania wart strajkowych?

— Nie boisz się? — szepnęła Ania, ściskając jego rękę.

— Nie, Aniu — odparł, przyciągając ją do siebie — jeśliby kiedyś doszło do tego, wówczas odejdę, bo strach przed ludźmi oznacza, że się służyło fałszywej sprawie.

Westchnęła głęboko, przytulając się trwożnie do niego. Gdzieś na końcu ulicy błysnęły reflektory nadjeżdżającego samochodu, a z drugiej strony, skroś lipowej alei przejechał tramwaj. Zawrócili, nadstawiając twarze ciepłemu wiatrowi, wiejącemu z południa.

— Będzie wczesna wiosna w tym roku — stwierdził Piotr, wskazując na zwisające aż do ziemi pędy płaczącej wierzby, które pokryły się już drobnymi listkami i świeciły seledynowo w blasku latarni. Znowu znaleźli się na skrzyżowaniu ulic. Zapaliło się zielone światło i z przeciwległego rogu ruszyła garstka spóźnionych przechodniów. Obrzucili się spojrzeniami. Nagle jakiś niewysoki mężczyzna porwał z głowy futrzaną czapkę i skłonił się szerokim gestem. Piotr oddał ukłon, przeszedł kilka kroków, a potem obejrzał się nieznacznie. Niewysoki mężczyzna stał jeszcze na środku jezdni i odprowadzał ich zdumionym spojrzeniem.

— To rektor — rzekł Borowski — czyżby udawał się na „nocne Polaków rozmowy", czy też i jego wygnał niepokój na wieczorny spacer?

Następnego dnia odbyło się w Komitecie kolejne spotkanie z rektorami. Tym razem stawili się wszyscy. Piotr powitał zebranych i poprosił o ocenę sytuacji. Natychmiast zgłosił się rektor uniwersytetu, jakby i tutaj chciał zachować prymat swej uczelni i w krągłych zdaniach zapewnił o dyscyplinie, cechującej strajkujących studentów i o ich nadziejach na lepsze zrozumienie postulatów, które zgłosili. Powtórzył znane zastrzeżenia pod adresem prasy, chociaż sloganowe hasło: „prasa kłamie" uznał za nieuzasadnione i krzywdzące. Piotr wysłuchał cierpliwie tych wywodów i zapytał o rezultaty rozmów z Rewerą i jego kolegami. Ich nazwiska powtarzały się nadal w milicyjnych meldunkach, im również przypisywano wczorajszą próbę marszu na politechnikę. Rektor poczerwieniał, ale zaprzeczył kategorycznie, jakoby Rewera był organizatorem marszu. Obecni na sali wymienili między sobą ironiczne spojrzenia. Wszyscy wiedzieli o bliskich stosunkach łączących Rewerę-seniora z rektorem i o poczuciu bezkarności młodego chłopca, który imponował kolegom. Piotr przyjął zobowiązanie do odbycia kolejnej ostrzegawczej rozmowy, a potem wysłuchał pozostałych. Niemal wszyscy oceniali wczorajsze wydarzenia na politechnice jako przełom w dotychczasowym przebiegu strajku oraz wyrażali ostrożną nadzieję rychłego wznowienia przerwanych zajęć. Pozostał jeszcze rektor uczelni artystycznej o znanym w kraju nazwisku i wszystkie spojrzenia zawisły na jego twarzy, na której malowało się zadowolenie z efektu, jaki wywołała jego obecność. Rektor posłał Piotrowi jeden ze swych uśmiechów światowca, a potem oświadczył, że przyjechał z Warszawy, aby zamanifestować wobec swoich studentów pełne poparcie dla ich postawy i postulatów, a powiadomienie o tym sekretarza uważa za swój partyjny obowiązek.

Piotr ściągnął brwi. Zauważył natychmiast jak spojrzenia obecnych przeniosły się na niego, jak czekają na jego reakcję na to wyzwanie, czyżby spodziewali się sensacji? Podniósł głowę i poszukał wzrokiem oczu rektora. Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami, aż wreszcie nonszalancki uśmieszek zgasł na czerstwych policzkach, a rysy rektora stwardniały nagle.

— Dziękuję za szczerość — rzekł Borowski, odzyskując spokój. — No cóż, nie oczekuję od was pomocy, ale i nie sądzę, aby wasza postawa zaważyła na dalszym przebiegu wydarzeń. Dotyczy to także waszej uczelni — dodał chłodno, odwracając się do sekretarki, która nachyliła się i powiadomiła szeptem o pilnym telefonie od dziekana jednego z uniwersyteckich wydziałów. Piotr przeprosił zebranych i udał się do gabinetu. Ze zdumieniem usłyszał głos dziekana, łamiący się co chwila ze wzburzenia. Jego studenci żądają zwolnienia z aresztu Rewery, Domagały i Politowicza, a jeśli to nie nastąpi, grożą wyjściem na ulicę.

Piotr oniemiał na chwilę. Czyżby Myśliński złamał dane mu słowo i „zdjął" tę trójkę, nie powiadamiając go o tym?

— Proszę chwilę zaczekać — wymamrotał w słuchawkę i porwał za czerwony telefon.

— Nie, nie ma ich w areszcie — usłyszał — służba bezpieczeństwa została już poinformowana o wzburzeniu studentów i uważa zniknięcie Rewery za prowokację. Naturalnie rozpoczęli poszukiwania i będą go informowali na bieżąco o rezultatach.

Wrócił do przerwanej rozmowy. W gabinecie dziekana znajdowali się snadź studenci, bo w słuchawce słychać było podniecone głosy. Piotr podjął nagłą decyzję.

— Niech pan powtarza słowo po słowie, a ja będę mówił wprost do tych, którzy okupują pański gabinet. Oświadczam, że nikt nie aresztował Rewery i jego kolegów, a milicja nie ma jasnego miejsca ich pobytu. Biorę pełną odpowiedzialność za to oświadczenie. Proszę was, abyście zachowali spokój i pomogli w odnalezieniu kolegów oraz wyświetleniu powodu ich zniknięcia.

Słuchał, jak dziekan powtarza jego słowa, po których zapadła cisza. Piotr przycisnął słuchawkę do ucha i czekał, usiłując opanować drżenie rąk. Nagle usłyszał stłumiony gwar, a potem czyjś głos skierowany do dziekana:

— Kto nam zaręczy, że sekretarz mówi prawdę?

— Jemu można zaufać — doszedł go znajomy głos — zaczekajmy z tą sprawą do jutra.

Znowu zachrobotało w słuchawce, aż wreszcie dziekan podziękował mu za informację i powiadomił o odłożeniu terminu demonstracji.

Z najwyższym trudem opanował wzburzenie i powrócił na salę, gdzie trwała właśnie ożywiona rozmowa rektorów na temat przebiegu wczorajszego dnia. Niespodziewana wiadomość o tajemniczym zniknięciu trójki młodzieżowych liderów oszołomiła zebranych.

— Jeśli to rzeczywiście prowokacja, obliczona na wywołanie niepokoju, to zasługuje na najwyższe potępienie — odezwał się jakiś głos.

— Właśnie — podchwycił Borowski — a co pan o tym sądzi? — zwrócił się do rektora uniwersytetu.

— Nie mogę zająć stanowiska, dopóki sprawa nie jest ostatecznie wyświetlona — odpowiedział ostrożnie.

— Powtarzam raz jeszcze: nikt nie aresztował tych chłopców, a milicja przystąpiła do poszukiwań. O wynikach powiadomię panów bezzwłocznie.

Rozstali się pełni najgorszych przeczuć. Dzień mijał powoli, a trwające poszukiwania ciągle jeszcze nie dawały rezultatów. Dopiero następnego dnia około południa w gabinecie Piotra zameldował się Myśliński z wiadomością o odnalezieniu delikwentów.

— Mamy ich — oznajmił z ulgą w głosie. — Zadekowali się w Tomaszowie i bardzo się zdziwili, gdy nasi ludzie złożyli im wizytę. To cyniczni młodzieńcy, są rozczarowani zarówno faktem ich szybkiego odkrycia, jak i tym, że nie doszło do demonstracji, że nie polała się krew.

— Co zamierzacie z nimi uczynić? — zapytał Borowski.

— Możemy ich przetrzymać czterdzieści osiem godzin w areszcie, wypuścić i zamknąć ponownie. Możemy zawiadomić prokuratora. Przesłuchania nic nie dadzą, bo oni swój wypad do Tomaszowa przedstawiają jako niewinną eskapadę, a autorzy plotki o ich rzekomym aresztowaniu są trudni do zidentyfikowania. Dobra robota, jak na ludzi w ich wieku — dodał z przekąsem.

— Pozostaje jeszcze relegowanie z uczelni — wtrącił nagle Borowski. — Wypuść ich Tomek i przyślij do mnie.

— Chcesz z nimi rozmawiać? — zdumiał się Myśliński.

— Tak, chcę, aby zrozumieli, że prowokacja nie może ujść bezkarnie nikomu, że będą musieli za nią zapłacić.

Minęła dobra godzina, kiedy sekretarka wprowadziła ich do gabinetu. Piotr wskazał im krzesła, przypatrując się, jak zajmują miejsca, jak krzyżują nogi ubrane w narciarskie buty i splatają dłonie w pozie pełnej oczekiwania. Unikali jego wzroku, ale w ich spojrzeniach rzucanych ukradkiem znać było napiętą uwagę i podejrzliwą czujność.

— Który z panów nazywa się Rewera? — zapytał, spoglądając na nich uważnie.

— To ja — odezwał się przystojny chłopak, przegarniając odruchowo kosmyki blond włosów, opadające mu na czoło.

— A pan? — zwrócił się do szczupłego, niskiego szatyna o wąskich, zaciśniętych ustach — pan zapewne nazywa się Politowicz?

Młody człowiek przytaknął i znieruchomiał na krześle.

— Słyszałem — ciągnął Borowski — że jest pan uzdolnionym matematykiem. — A pan, panie Domagała — zwrócił się raptem do tego ostatniego z trójki — czy to względy koleżeńskie skłoniły pana do wzięcia udziału w tej wycieczce, czy też działał pan z równą premedytacją jak tamci?

Domagała spojrzał rozpaczliwie na kolegów i milczał, zaciskając kurczowo palce.

— Pan zapewne posądza nas o zamierzone działanie — wyrwał się Rewera, przychodząc w sukurs koledze — Otóż pojechaliśmy do Tomaszowa, nie zdając sobie sprawy z konsekwencji, jakie mogły wyniknąć na uczelni.

— Czyżby? — przerwał mu Borowski — nie musi się pan tłumaczyć, ja nie prowadzę dochodzenia. Mnie interesuje zapewnienie bezpieczeństwa waszym strajkującym kolegom i zachowanie spokoju w mieście. Zagraliście va banque i przegraliście. Czy wiecie, że grozi wam relegowanie z uczelni?

— Niczego nam nie dowiedziono — porwał się Rewera, ale Piotr przygwoździł go spojrzeniem. — Więc co mamy robić, co nam pan radzi? — spokorniał nagle i poruszył się niespokojnie.

— Zaprzestać dotychczasowej działalności i zrzec się roli liderów — odparł sucho Borowski — Żegnam panów.

Tak więc kolejna próba podsycania nastrojów zawiodła z kretesem, a w meldunkach z uczelni zaczęły się przewijać informacje o coraz liczniejszych głosach żądających przerwania strajku i wznowienia zajęć. Odnaleźli się wreszcie zetemesowcy. To oni zaczęli teraz nadawać ton dyskusji, mimo iż większość studentów oglądała się jeszcze na swych warszawskich kolegów. Po raz pierwszy od wielu dni Piotr postanowił wcześniej wrócić do domu. Nie ścigano go telefonami, więc wziął kąpiel, a potem rozciągnął się na kanapie, próbując czytać. Przyszedł młodszy syn Borowskich i włączył telewizor. Zabrzmiały fanfary, obwieszczające rozpoczęcie dziennika wieczornego i Piotr odłożył książkę. Nagle na ekranie ujrzał Miernika na mównicy otoczonej lasem sztandarów i zwartym tłumem ludzi, wypełniających rozległy plac. Padły ciężkie, dobitne słowa skierowane do nie wymienionych z imienia prowodyrów marcowych niepokojów. Naturalnie przemawiał w imieniu śląskich górników i hutników, naturalnie występował w obronie władzy ludowej i groził łamaniem kości tym, którzy ośmielają się atakować władzę.

C.D.N.